

DOSTOSOWAĆ DO POŁOŻENIA
NAPISU NA FRONCIE OKŁADKI

WOLNOŚĆ

PROJEKT: POLSKA

WOLNOŚĆ

DOSTOSOWAĆ DO POŁOŻENIA
NAPISU NA FRONCIE OKŁADKI

ANTOLOGIA

REDAKCJA MIŁOSZ HODUN

WARSZAWA 2012

Niniejsza publikacja nie powstałaby bez zaangażowania członków Stowarzyszenia Projekt: Polska, w szczególności Krzysztofa Pietraszewskiego i Joanny Grabarczyk, a także Tomasza Chabinki, Pawła Ciacka, Macieja Gila, Szymona Gutkowskiego, Alka Tarkowskiego i Daniela Wojtaka.

Chciałbym także podziękować Justè Cimermanaitè, Linei Frank, Misze Hafnerowi, Martynie Sztobie i Danicy Vihinen za bezinteresowną pomoc przy tworzeniu publikacji.

WSTĘP

W maju 2010 roku Fundacja Projekt: Polska zorganizowała kongres *Wolność w nowoczesnym świecie*. Podczas dwóch intensywnych dni wykładów, debat i paneli dyskusyjnych uczestnicy zebrani w Trybunale Konstytucyjnym i na Uniwersytecie Warszawskim starali się odpowiedzieć na pytanie, jaki jest stan wolności w Polsce 20 lat po odzyskaniu przez nasz kraj pełnej niepodległości. Zaprosiliśmy gości z różnych środowisk: naukowców, dziennikarzy, polityków, działaczy społecznych. Z kraju i zagranicy. Okazało się, że wszyscy postrzegali wolność jako wartość podstawową, na której musi opierać się nowoczesne społeczeństwo. Wolność polityczna, wolność gospodarcza, wolność tworzenia i wolność decydowania o sobie — o tym między innymi dyskutowali paneliści. Starali się dociec, co dziś oznacza dla nas to słowo. Czy po 20 latach wciąż potrafimy cieszyć się darem wolności? Czy umiemy dobrze ją wykorzystać? Pragnęliśmy, by kongres stał się inspiracją do myślenia o państwie jako o dobru wspólnym, które możemy razem pielęgnować dzięki wolności i za które każdy w granicach swojej wolności jest odpowiedzialny. Ponadto podczas kongresu chcieliśmy się policzyć. Zdefiniować, które organizacje, grupy

czy jednostki są zainteresowane budowaniem nowoczesnego państwa, kto w najbliższej przyszłości może stać się sojusznikiem konkretnych projektów. W ten sposób kongres stał się pomostem między teorią a praktyką.

Po sukcesie kongresu wiedzieliśmy, że nie wolno nam spocząć na laurach. Chcieliśmy określić ramy polskiej wolności na papierze. Tak narodził się pomysł *Antologii wolności*. Dlaczego antologia? Forma publikacji, w której zabierze głos wielu autorów reprezentujących różne punkty widzenia, wydała nam się najstosowniejsza. Wielogłos z jednej strony zawęży pole, definiuje nas w opozycji do innych środowisk, z drugiej pokazuje, że między nami samymi toczy się dyskusja oraz że istniejąca przestrzeń wspólna jest rozległa.

Do *Antologii* wybraliśmy tematy, które uważamy za najważniejsze wyzwania dla współczesnej Polski. Postawiliśmy pytania dotyczące państwa i prawa, gospodarki, więzi społecznych i kultury. Na każde odpowiedziało co najmniej dwóch autorów. Czasami ich propozycje różniły się perspektywą, czasami stanowczością i skrajnością poglądów, a czasem temperaturą emocji. Zawsze jednak były to odpowiedzi w duchu wolności. Niektórzy wskazywali konkretne propozycje, niezbędne, by dostosować Polskę do potrzeb nowoczesności. Z ich propozycji mogliby bezpośrednio czerpać rządzący. Inni jedynie precyzyjnie definiowali problem, co jest pierwszym krokiem, aby móc posunąć się o krok naprzód.

Czy można nazwać tę *Antologię* liberalną? Posłużmy się tu słowami prof. Zbigniewa Pełczyńskiego, patrona kongresu, który pisał tak: „Wolność, we wszystkich jej kształtach i wymiarach, jest niezbędnym, fundamentalnym elementem liberalizmu w sensie wielowiekowej, ewoluującej i sprawdzonej tradycji politycznej, gospodarczej i społecznej. W tym sensie nie jest ekskluzywną wła-

snością ruchów czy partii politycznych, które określają się jako liberalne lub jako takie są postrzegane”. Odpowiedź nie jest zatem jednoznaczna. Staraliśmy się stworzyć publikację o współczesnym liberalizmie, utożsamiając go z wolnością. Tak jak pisze profesor Pełczyński, wolności nie można zawłaszczać, przenika ona przez rozmaite ideologie i ruchy polityczne. Dlatego zaprosiliśmy do udziału w koncepcji *Antologii* autorów, którzy nie zawsze określili by siebie jako liberałów — ba!, często głośno by na takie określenie protestowali — ale którzy swoimi przekonaniem, przynajmniej w kwestiach, z którymi rozprawiają się na kartach *Antologii*, stają po stronie wolności. Wolność nie jest ekskluzywnie liberalna, ale liberalizm zawsze oznacza oddawanie pierwszeństwa wolności.

Jestem przekonany, że w ostatecznym rozrachunku udało nam się stworzyć antologię liberalną. Mam nadzieję, że pomoże ona odczarować słowo liberalizm w Polsce, gdyż — znów cytując profesora Pełczyńskiego — „Kłopot z używaniem terminów »liberalizm« i »liberalny« w Polsce polega na braku szerokiego, historycznego rozumienia tych słów. Zbyt często kojarzone są one z wąskim, skrajnym i stosunkowo niedawnym dogmatem ekonomicznym à la Margaret Thatcher i Ronald Reagan, ignorującym lub odrzucającym całe bogactwo tradycyjnego liberalizmu”. Chcemy przywrócić słowu liberalizm właściwe znaczenie i należyty szacunek. Pragniemy pokazać czytelnikowi, że rozwiązania liberalne to te, z którymi on niejednokrotnie się identyfikuje, a liberalizm może być zrozumiały i atrakcyjny dla zwykłych obywateli.

Dzięki współpracy z Europejskim Forum Liberalnym do uczestnictwa w projekcie *Antologii* zaprosiliśmy także przedstawicieli europejskich organizacji liberalnych. Z jednej strony ich teksty czytane jako całość po raz kolejny pokazują szerokie spektrum myśli opiewającej samodzielność i autonomię jednostki — od socjalliberalizmu

po libertarianizm. Z drugiej zaś, czytane jako części poszczególnych rozdziałów, powinny być traktowane jak lustro, w którym możemy się przejrzeć. Głosy z różnych stron Europy pozwolą nam na ocenienie krajowej sytuacji z zewnętrznego punktu widzenia. Czasami podpowiedzą nowe rozwiązanie, zawsze zmuszą do refleksji nad pytaniem, czy istnieją uniwersalne recepty.

Zapraszamy do lektury.

*STRACONE
POKOLENIE*

ŚMIECIOWE POKOLENIE

Ostatnio dużo mówi się o straconym pokoleniu. Nie chodzi jednak ani o *lost generation* z przełomu XIX i XX wieku, ani o walczące podczas II wojny światowej pokolenie Kolumbów. Stracone pokolenie to dwudziestolatkowie kończący właśnie studia i próbujący wejść na rynek pracy. Pracujący na tzw. śmieciowych umowach absolwenci kilku kierunków. Młodzi obywatele państw pierwszego świata.

Zdumiewające, jak bardzo w ciągu niecałych 100 lat zmienił się kontekst, w jakim używa się tego terminu. Pisarka Gertrude Stein po raz pierwszy miała się z nim zetknąć w pewnym francuskim warsztacie samochodowym, gdzie oddawała do naprawy swojego fordka T. Niezadowolona z pracy młodego mechanika, który właśnie wrócił ze służby podczas I wojny światowej, zwróciła się ze skargą do kierownika. Ten natychmiast skarcił obsługującego pisarkę chłopaka. „Wy wszyscy jesteście *génération perdue* — straconym pokoleniem” — miał wówczas powiedzieć. Stein wkrótce opowiedziała o zdarzeniu Ernestowi Hemingwayowi, dodając: „To właśnie to, czym jesteście. To właśnie to, czym wszyscy jesteście. Wszyscy młodzi ludzie służący podczas wojny. Jesteście

straconym pokoleniem. Nie szanujecie niczego. Zapijacie się na śmierć”. Hemingway początkowo nie chciał się z tym zgodzić. Tak przynajmniej wynika z jego wydanych pośmiertnie wspomnień *Ruchome święta*. Później jednak wykorzystał hasło „stracone pokolenie” w swojej powieści *Słońce też wschodzi*, dzięki czemu termin wszedł do powszechnego użytku.

Dziś pojęcie „stracone pokolenie” już nie deprecjonuje. To nie młodzi ludzie są przedmiotem krytyki społeczeństwa. Role się odwróciły. Teraz to społeczeństwo musi tłumaczyć się, dlaczego nie daje młodym ludziom wystarczających szans na rozwój, tak osobisty, jak i zawodowy. Czy szanse te są dzisiaj mniejsze niż kiedyś, jest kwestią dyskusyjną. Pewne jest natomiast, że zmniejszył się poziom życiowej stabilizacji: śmieciowe umowy pojawiły się w miejsce umów o pracę, śmieciowe związki (jak na przełomie lipca i sierpnia 2012 roku w „Gazecie Wyborczej” określił związki partnerskie dr Jarosław Flis) — zamiast małżeństw; częste stały się zmiany miejsca pracy i zamieszkania, poszukiwanie lepszego życia za granicą; trudne — także ekonomicznie — decyzje o sformalizowaniu związku czy kolejnym dziecku.

Spodziewać by się można, że ta moneta ma także drugą stronę. Że dzięki elastycznym formom zatrudnienia wzrośnie pionowa ruchliwość społeczna. Syn piekarza nie będzie musiał być piekarzem, syn rolnika — rolnikiem. Nawet syn prawnika niekoniecznie będzie skazany na zawód prawnika. W rzeczywistości w państwach Zachodu poziom pionowej ruchliwości społecznej od czasu II wojny światowej niemal się nie zmienił. Zmienia się natomiast poziom nierówności społecznych. Współczynnik Giniego, wskazujący poziom nierównomierności dochodów, wzrósł w Stanach Zjednoczonych (dla dochodów przed opodatkowaniem) z 0,386 w 1968 roku do 0,468 w roku 2008. W ostatnich latach wzrost

zanotowano też między innymi w Niemczech, Brazylii, Polsce, Chinach, Bułgarii i Australii.

Przypomnieć trzeba również słynną infografikę z jesieni 2011 roku, przedstawiającą rzeczywiste średnie dochody gospodarstw domowych w USA po opodatkowaniu w porównaniu z wynikami z roku 1979. Dochody 1% najbogatszych gospodarstw domowych wzrosły blisko czterokrotnie, ale 1% najbiedniejszych pozostały niemal bez zmian. Pozostałe gospodarstwa domowe miały pod koniec pierwszej dekady XXI wieku dochody około 1,5 razy większe niż w 1979 roku. Liberalni amerykańscy miliarderzy sami przekonują, że wysokość podatków dla najbogatszych trzeba po prostu podnieść. Nie może więc dziwić fakt, że w końcu doszło do wybuchu społecznego niezadowolenia. Gdy okazało się, że kolejne państwa muszą partycypować w ratowaniu instytucji finansowych, które są zbyt duże, żeby pozwolić im upaść, oraz że dokonujące ryzykownych operacji banki najchętniej prywatyzowałyby zyski i upubliczniały swoje straty, ruchy kontestujące obecny porządek zyskały na popularności.

Pojawiły się: hiszpański ruch 15-M, protesty w Grecji, Arabska Wiosna, islandzka rewolucja, portugalskie Geração à Rasca, nowojorskie Occupy Wall Street czy zamieszanie w Wielkiej Brytanii wywołane przez ruch Occupy London, który zdecydował się protestować obok katedry św. Pawła. Ruch oburzonych nie dotarł natomiast — poza kilkoma drobnymi incydentami — do Polski. I to też nie powinno dziwić. Jak wynika z *Diagnozy społecznej 2011*, w ostatnich latach nierówności społeczne zaczęły się w naszym kraju ponownie zmniejszać. Z perspektywy historycznej zaś, kiedy na Zachodzie po II wojnie światowej rozpoczynała się złota era kapitalizmu, w Polsce trwały najgorsze lata realnego socjalizmu. W 1989 roku wróciliśmy na ścieżkę integracji z Zachodem,

w 1999 wstąpiliśmy do NATO, w 2004 — do Unii Europejskiej, na przełomie 2007 i 2008 roku granice otworzyło nam członkostwo w strefie Schengen. Mówiło się wtedy raczej o pokoleniu wielkich szans. Wykształconym, ambitnym, znającym języki, spędzającym wakacje za granicą.

Jeśli chcemy zrozumieć pojęcie „polskiego straconego pokolenia”, powinniśmy sięgnąć do dwóch źródeł: twórczości Cool Kids of Death — młodego rockowego zespołu z Łodzi i manifestu ich lidera, Kuby Wandachowicza, zatytułowanego *Generacja nic* oraz powstałego pod wpływem protestów anti-ACTA manifestu *My, dzieci sieci* Piotra Czernieckiego, informatyka i poety z Gdańska. Warto też pamiętać o tzw. lemingach i znakomitej płycie *Gore. Pieśni buntu i niedoli XVI—XX w.* zespołu R.U.T.A.

„To pokolenie, które nazywam »generacją nic«, jest pokoleniem o tyle specyficznym, że podczas gdy represje towarzyszące życiu innych generacji miały związek z różnego rodzaju ograniczającym zniewoleniem (wojny, totalitaryzmy), to dziś młodość przegrywa z tą wolnością, o którą w przeszłości toczyła się walka. Wolność w naszych czasach zaczęła oznaczać intelektualną pustkę ludzi młodych, którzy nie chcą uczestniczyć w żadnym dyskursie” — pisał w 2002 roku Wandachowicz. Frontman Cool Kids of Death upatruje przyczyn tej sytuacji w czynnikach społeczno-ekonomicznych. W państwie bez pracy martwić się trzeba o etat (*sic!*), a nie o realizację romantycznych idei. Absolwenci studiów muszą szukać spełnienia, pracując dla mitycznego i niezbyt inteligentnego klienta. Mający mniej szczęścia (a może po prostu bardziej ambitni?) trafiają na bezrobocie. Młody inteligent nie znajduje schronienia nawet na wydziale filozofii państwowej uczelni.

Wandachowicz z 2002 roku wciąż wierzy w zmianę. „Hej, człowieku w pierwszym rządzie / Panie decydencie z agencji reklamowej /

Hej, panie menadżerze z MTV prezenterze / Słynna dziennikarko / Mamy butelki z benzyną i kamienie wymierzone w ciebie!” — śpiewa w piosence *Butelki z benzyną i kamienie*. Ostrzeżenie przed zbliżającą się rewolucją przeciwko wyższej klasie średniej czy pretensja do kolegów, którzy sprzedali swoją wyjątkowość za dobrze płatną posadę?

W 2011 roku Wandachowicz chyba ich już zrozumiał: łagodniejsze melodie, zamiast butelek z benzyną *Biała flaga*: „Szykuj na dziś swoją najlepszą białą flagę / Dwa kroki w przód dwa kroki w tył — na tyle masz odwagę”. Koniec otwartego buntu, czas na bycie obok. Panu Bogu świeczkę, diabłu ogarek. Ta strategia nie ma oczywiście szans w starciu z rzeczywistością: „Obywatelski donos napisał na mnie ktoś / Podobno ciągle słyszał mój podniesiony głos / Píše, że nie pamiętam ważnych dla kraju dat / Na czas nie spłacam rat za nowy wspaniały świat”. System domaga się afirmacji. Pewnie dlatego tak ważny jest tytułowy *Plan ewakuacji*. Marzenie, które warto mieć, idąc każdego ranka do pracy.

Myślę, że Wandachowicz przewidział bunt dzieci sieci. Ten najpoważniejszy objaw globalnego buntu przełomu pierwszej i drugiej dekady XXI wieku w Polsce. Wokalista przewidział nawet Czerskiego, autora manifestu *My, dzieci sieci*. Absolwent informatyki, który studiował filozofię. Programista, którego tomik wierszy ukazał się swego czasu nakładem Korporacji Ha!art. A dlaczego dzieci sieci zdecydowały się wyjść na ulicę? Piotr Czerski tłumaczył to w napisanym na początku 2012 roku manifestie: „Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że nasze rachunki płacą się same, jeśli tylko dysponujemy środkami na koncie; że założenie konta bankowego albo przeniesienie numeru telefonu do innego operatora to kwestia wypełnienia jednego formularza on-line i podpisu na umowie podsuniętej przez kuriera; że nawet podróż na drugi ko-

niec Europy z międzylądowaniem i zwiedzaniem miasta w połowie drogi można zorganizować w dwie godziny. Jako użytkownicy państwa jesteśmy więc coraz bardziej zirytowani archaicznością jego interfejsu. Nie rozumiemy, dlaczego zeznanie podatkowe składa się z kilku formularzy, z których główny ma ponad sto pól. Nie rozumiemy, dlaczego — absurdalny sam w sobie — obowiązek zameldowania się w jednym miejscu wymaga uprzedniego wymeldowania się w innym, jak gdyby jeden urząd nie mógł porozumieć się w tej sprawie z drugim bez naszego udziału. [...] Najważniejszą dla nas wartością jest wolność: słowa, dostępu do informacji, kultury. Mamy poczucie, że to dzięki tej wolności sieć jest tym, czym jest — i że obrona jej wolnościowego kształtu jest naszym obowiązkiem wobec kolejnych pokoleń, takim samym jak ochrona środowiska naturalnego”.

Do zapewnienia o podstawowym znaczeniu wolności podejść należy z pewnym dystansem. Żadne inne zagrożenie wolności nie wzbudziło u młodych ludzi takiej wściekłości jak propozycje zawarte w ACTA. Chodziło o wygodę. Utrzymanie tego, co udało się osiągnąć. Obronę azylu, który budowany jest przez stracone pokolenie w internecie. Ta zachowawczość — konserwatyzm można by powiedzieć — dzisiejszych dwudziesto- i trzydziestolatków może denerwować. Denerwuje prawicowych blogerów i publicystów. Nas — z wymienionych tu historycznych, ekonomicznych czy społeczno-kulturowych powodów — nie powinna dziwić. Śmieciowe pokolenie marzy o odrobinie stabilizacji.

Tomasz Chabinka — student ekonomii na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu oraz informatyki na Uniwersytecie Wrocławskim, członek Rady Stowarzyszenia Projekt: Polska i sekretarz wrocławskiego koła Stowarzyszenia, członek zespołu redakcyjnego magazynu „Liberté!”.

ANATOMIA OBURZENIA

W klasie maturalnej, choć byłem zajęty głównie olimpiadami przedmiotowymi i zabawą (właściwie w odwrotnej kolejności), zauważyłem pojawienie się nowego, tajemniczego przedmiotu: podstaw przedsiębiorczości. Dekadę temu, gdy liceum odzwierciedlało skostnienie systemu edukacji, nowych zajęć o futurystycznej niemal nazwie nikt nie potraktował poważnie. Zadania domowe z biznesplanów i analizy SWOT pisaliśmy jak wszystkie inne — na kolanie, tuż przed lekcją. Po dziesięciu latach nie mam jednak wątpliwości, że projekt wprowadzenia przedsiębiorczości do polskich szkół skupiał się na nauce umiejętności ważniejszych w dzisiejszym świecie niż wszystkie inne uczone w szkołach razem wzięte. Dowodów na to bez liku.

Jesienią 2011 roku nowojorska giełda, według amerykańskiego społeczeństwa siedziba głównych winowajców kryzysu finansowego, znalazła się pod swoistą okupacją. Ruch ows, czyli *Occupy Wall Street*, szybko przeistoczył się z zabawnej ciekawostki w zgromadzenie o potencjalnej sile sprawczej. „Okupantów” można najkrócej zdefiniować, odnosząc się do samego początku pokrzysovych demonstracji, czyli do hiszpańskich *Indignados* (Oburzeni).

Ludzi ows także oburzył korporacyjny zamach na kasę i bezkarność jego autorów, zawilość globalnych (a coraz częściej także osobistych) finansów, rosnąca dysproporcja w zarobkach Amerykanów oraz — jakże by inaczej — nieudolność i prywata polityków.

Głównym problemem ows, dużo większym aniżeli brak struktur i konkretnych postulatów, okazała się reakcja społeczna: nie tylko rekiny finansjery odebrały cały ruch jako krzyk niegotowych na wyzwania teraźniejszości nieudaczników. Gdy do mojego nowojorskiego akademika przyjechał były szef FED-u, Paul Volcker, żaden z moich kolegów nie przyznał się do uczestnictwa w ows albo choćby do odwiedzenia Oburzonych w ich miasteczku nieopodal Wall Street. Ruch przypominał bowiem wielu nowojorczykom pospolite ruszenie *loserów*, ludzi słabo rozeznanych w dzisiejszej rzeczywistości, często zawistnych, szukających wokół siebie — a nie w sobie — powodów swej niedoli. Co więcej, internauci szybko wykpiłi cały protest, zamieszczając zdjęcia protestujących ubranych w koszule z H&M, spodnie z Zary i buty Macy's, pstrykających zdjęcia canonami i olympusami — czyli kompletnie zależnych od korporacji, które chcą zwalczać.

Amerykański mit założycielski został ufundowany na dążeniu jednostki do wymarzonych celów i przewyciężaniu samego siebie, wcale nie hollywoodzką drogą „od pucybuta do milionera”, lecz ciężką codzienną pracą i wytrwałością gwarantującą efekty. Kultura masowa hołduje osiągnięciom i hołubi zwycięzców, między innymi dlatego tak wielkim uznaniem za oceanem cieszy się Lech Wałęsa — klasyczny *self-made man*. Dążenia te mobilizują do wysiłku i obiecują sukces w zamian za upór i pracę, a zniechęcają do nieuczciwości, szukania dróg na skróty i wywieszania białej flagi. Taki polski pozytywizm, wryty w mentalność całego narodu. Istnieje jednak ciemniejsza strona medalu, sprowadzająca się do

niechęci wobec tych, którym się nie udało. Niełatwo bezpośrednio powiązać mentalność z polityką ekonomiczną, ale słabiutko rozwinięty system rent i emerytur, brak powszechnej opieki medycznej z prawdziwego zdarzenia, wielkie miasta pełne bezdomnych oraz opór przed zrównaniem podatków dla najsprawniejszych przedsiębiorców to pośrednie owoce amerykańskiego indywidualizmu. Pozytywizm, który zbudował potęgę USA, otwiera też furtkę prostym wytłumaczeniom wszelkich niepowodzeń: skoro wysiłek zawsze prowadzi do pozytywnych rezultatów, to nie udaje się tylko zbyt leniwym.

Z perspektywy bogatych, finansowo niezależnych Amerykanów (Polaków, Greków, Hiszpanów...) najłatwiej zatem zamknąć sprawę konstatacją, że Oburzeni winni się oburzać jedynie na samych siebie — za swoją nieumiejętność odnalezienia się w nowych czasach, za częste luki w elementarnej wiedzy finansowej (połowa Amerykanów ma dziś ponadroczny dług na karcie kredytowej), za ciągłe życie ponad stan, wydawanie zamiast inwestowania oraz napędzanie szalonej kultury konsumpcyjnej, w którą sami dali się wciągnąć. Za brak podstaw przedsiębiorczości, krótko mówiąc.

Ruch *Occupy Wall Street* zyskał jednak bardzo poważnych sprzymierzeńców. Wraz z mieszkańcami miasteczka namiotowego ows oburzał się Paul Krugman, laureat Nobla w dziedzinie ekonomii, nagrodzony w kryzysowym 2008 roku, a także Jeffrey Sachs, światowej sławy ekspert rozwoju gospodarczego i współtwórca Planu Balcerowicza. Co jeszcze ważniejsze, najbardziej uznani indywidualiści (wręcz celebryci) biznesu współczesnej Ameryki, w tym magnat nieruchomości Donald Trump oraz guru finansów osobistych Robert Kiyosaki, winą za problemy obywateli nie obarczyli ich samych, lecz przestarzały system szkolnictwa, który nigdy nie kształcił w dziedzinie finansów i wpajał niewiele więcej niż

potrzebę znalezienia dobrej pracy i oszczędzania. Skrajne teorie podkreślają celowość systemowego przerabiania większości Amerykanów na kompletne finansowe ofiary. Jeszcze słynniejsi koledzy Trumpa i Kiyosakiego z samego szczytu drabiny społecznej Stanów nie od dziś wskazują na wykorzystywanie tego analfabetyzmu przez dobrze zorientowaną elitę. W swojej „obietnicy charytatywnej” z 2006 roku Warren Buffett opisał przewrotną rzeczywistość ekonomiczną, w której „ratujących życie innych nagradza się medalem, wspaniałych nauczycieli — laurką od rodziców, a tropiciele błędów w wycenie papierów wartościowych — sumami idącymi w miliardy”. Skoro inwestor wszech czasów alarmuje o nierównościach systemu i „kapryśnym rozdzielaniu długich słomek przez los”, coś musi być na rzeczy. Według największych zwycięzców kapitalizmu niepowodzeń milionów Amerykanów nie można tłumaczyć wyłącznie lenistwem i nieudolnością.

Amerykańska rzeczywistość finansowa jest fascynująca w swojej nieobliczalności. Regulująca finanse Ameryki od 1929 roku Rezerwa Federalna (tj. tamtejszy bank centralny) jest w zasadzie prywatną korporacją banków komercyjnych, której idei bardzo sprzeciwiali się w XVI wieku Ojcowie Założyciele. Zuccotti Park, położone nieopodal nowojorskiej giełdy epicentrum ows, nie jest wcale własnością publiczną, to tzw. POPS (Upubliczniona Własność Prywatna) należąca do potentata nieruchomości Brookfield Properties — klasycznego korporacyjnego „obiekta oburzenia”. Wyrzucenie protestujących z parku w listopadzie 2011 roku i sądowy zakaz biwakowania nie były aktem wrogości policji ani władz miejskich, tylko uprawnioną interwencją na prośbę właścicieli. Kuriozalne wydawać się mogą również realia dochodów i podatków: pół tysiąca najzamożniejszych Amerykanów dysponuje łącznie majątkiem większym niż cała biedniejsza połowa społeczeństwa. Jeff Sachs

przytaczał na spotkaniu z ludźmi ows powszechnie znane statystyki: o ile na początku lat 80. 1% najbogatszych Amerykanów zabierał do domów 9% dochodów całego kraju, o tyle dziś bierze aż 23%. Sekretarka Buffetta płaci większą od niego stawkę podatku dochodowego. Na pierwszy rzut oka Ameryka jest zatem skorporatyzowana do szpiku kości, a karty w tym finansowym ładzie są ostatecznie rozdane...

W przekazie ows i jego obrońców nie brakuje eksperckich postulatów zniesienia ulg najbogatszym i zwiększenia przejrzystości fiskalnej, nie ma w nim natomiast elementu, który wychował pokolenia Amerykanów na najpracowitsze społeczeństwo: odpowiedzialności za własną przyszłość. Warren Buffett wskazał na nierówności systemu i klasyczne szczęście — w 1930 roku miał jedynie niecałe 4% szans, by urodzić się w USA, pomogło mu też być białym mężczyzną — ale wykuwanie własnego losu pomimo trudności jest bliższe amerykańskim sercom niż spychanie odpowiedzialności na rząd, elity albo finansowe spiski. Nawet najczarniejszy scenariusz — prawdziwa zapaść dopiero przed nami, klasę średnią czeka zagłada, a kryzys z 2008 roku był skrupulatnie wyreżyserowany w biurach Wall Street — nie dopuszcza wymówek. Kluczowe wciąż okazuje się podejmowanie prób poprawy własnego losu przez wytrwałą pracę, przyswajanie praktycznej wiedzy czy podejmowanie ryzyka, czyli — używając młodzieżowego języka — ogarnięcie rzeczywistości. W rzeczy samej — nie ma innej drogi. Tezy o totalnej bezradności wobec systemu powojenne amerykańskie społeczeństwo, które „wyhodowało” więcej przedsiębiorców i *self-made* milionerów niż wszystkie inne społeczeństwa w historii, nie przełknie nigdy. W marcu 2009 roku, w samym środku kryzysu, „The Economist” w artykule o wymownym tytule *United States of Entrepreneurs* (*Stany Zjednoczone*

Przedsiębiorców) napisał: „Gdy w wielu krajach świata bankructwo oznacza społeczny wyrok śmierci, w Ameryce staje się zaszczytem”.

Skoro spisujemy *Antologię wolności*, nie wolno nam zapominać o tej finansowej (w Ameryce nazywanej *financial independence*, a więc finansową niezależnością). Jej brak ogranicza dziś człowieka nawet w przypadku, gdy zagwarantowane są jego pozostałe swobody. Nie nabywa jej się, jak innych, wraz z przyjściem na świat w Ameryce czy innych krajach Zachodu. Trzeba ją sobie wyrobić, wyrwać niełatwym czasem, i to niezależnie od dyplomu uczelni, miejsca urodzenia, tła społecznego itp. Pieniądze szczęścia nie dają, ale wolność, którą gwarantują, jest nie do przecenienia. Brak systemowego podejścia do edukacji finansowej to dziś ogromne wyzwanie i bolączka Ameryki, w Europie jest jeszcze gorzej. Wszak to Amerykanie wpisali w swą doktrynę państwową „Prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia”, a pojęcie „przedsiębiorczość” nadal ma większe znaczenie za oceanem niż w Grecji, Hiszpanii, Włoszech czy pozostałych krajach Starej Europy. W tym miejscu podziękujemy kapryśnemu losowi, że pozostawił nas w obrębie Nowej Europy i że przynajmniej część z nas wynosi z transformacji gasnący na Zachodzie entuzjazm wobec własnych możliwości i autentycznego inwestowania w przyszłość. Póki co moje pokolenie zdaje podstawy przedsiębiorczości na mocną polską piątkę.

Wojciech Skrzypczak — absolwent Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie, student nauk politycznych na Columbia University, libertarianin i początkujący nowojorczyk.

(NIE)ZATRUDNIENI MŁODZI LUDZIE

Problem bezrobocia wśród młodych ludzi osiąga różną skalę w poszczególnych państwach Unii Europejskiej. O ile w Hiszpanii i we Włoszech poziom bezrobocia jest bardzo wysoki, o tyle w Niemczech czy Holandii jest zupełnie odwrotnie. Firmy naszych zachodnich sąsiadów czasem muszą nawet walczyć o młodych, wykwalifikowanych pracowników, którzy stoją u progu zawodowej kariery. Na południu Europy bezrobocie wśród ludzi poniżej 30. roku życia sięga 41%, a w Niemczech zaledwie 4%. Skąd to zróżnicowanie? Jako że LYMEC (The European Liberal Youth) jest organizacją młodzieżową, bezrobocie wśród młodych ludzi to dla nas jeden z najważniejszych problemów. Dlatego też dwa lata temu w Rotterdamie zorganizowaliśmy wraz z Earth Liberation Front seminarium poświęcone temu tematowi.

Czego się nauczyliśmy?

Istnieje bezpośredni związek między ogólnym bezrobociem a stopą bezrobocia wśród młodych ludzi. Ta druga jest przeważnie wyższa w stosunku do pierwszej, ale jej wzrost lub spadek łączy się z ogólnym poziomem bezrobocia. Rozsądna polityka gospo-

darcza jest głównym sprzymierzeńcem w walce z tym problemem, a podstawowym warunkiem spadku bezrobocia zarówno wśród młodych ludzi, jak i w całym społeczeństwie jest wzrost ekonomiczny.

Binarny system edukacyjny wiąże młodych ludzi z rynkiem pracy

Istnieje znacząca różnica między państwami mającymi binarny system kształcenia, w ramach którego funkcjonują wyższe szkoły zawodowe, a tymi, które takiego systemu nie mają. Te pierwsze lepiej radzą sobie z przygotowaniem młodych ludzi do oczekiwań rynku pracy, nie kształcąc całej rzeszy historyków czy politologów w sytuacji, gdy potrzebni są inżynierowie. Reforma systemu kształcenia to drugi najważniejszy krok w kierunku zapewnienia pracy absolwentom. Rozwiązania, które zmuszają pracodawców do przyjmowania w pierwszej kolejności młodych ludzi, nie przyniosły zamierzonych efektów. Przeciwnie — spowodowały odwrotny skutek, chociaż mogłoby się wydawać, że same założenia były słuszne. Pomysły zakładające ingerowanie w kwestie gwarancji zatrudnienia czy też wprowadzające ustalenia dotyczące okresu ochrony pracownika przed zwolnieniem okazały się nieskuteczne, a młodzi ludzie nadal poszukują pracy.

Firmy zatrudniają, jeśli płacą

Dlatego nasze stanowisko zasadniczo różni się od propozycji socjaldemokratów czy Zielonych. Wszyscy liberałowie wiedzą, że zatrudnianie ludzi opłaca się tylko wtedy, kiedy jest ekonomicznie uzasadnione. Z tej perspektywy najlepszą strategią przeciwdziałania bezrobociu jest podjęcie starań o to, by gospodarka zaczęła się rozwijać, prawo pracy było elastyczne, a edukacja — kompatybilna

z oczekiwaniami rynku. Liberalowie ufają, że społeczeństwo samo wie, co jest dla niego najlepsze — musimy zatem stworzyć takie warunki, dzięki którym ludzie będą mogli wziąć życie we własne ręce!

tlum. Daria Hejwosz-Gromkowska

Alexander Plahr — były przewodniczący LYMEC-u, europejskiej federacji młodzieżowych organizacji liberalnych.

GROZI NAM POLITYCZNY PRZEWRÓT

Graham, byłeś kiedykolwiek bezrobotny?

WATSON: Na szczęście nie. Jednak moich dwóch braci i jedna z sióstr przez pewien czas doświadczyli, czym jest bezrobocie. To nie jest przyjemne uczucie.

Co jest najważniejsze w pracy?

Po pierwsze praca daje ludziom poczucie godności. Daje również status. Pozwala także na osobisty rozwój.

Dlaczego bezrobocie wśród młodych ludzi jest takim dużym problemem w Europie?

We wschodniej Europie wprowadzono politykę, która faworyzuje trzymanie miejsc pracy dla tych, którzy ją mają, kosztem tych, którzy są bez pracy. To bardzo protekcyjny sposób podejścia w stosunku do siły roboczej. Na szczęście w Wielkiej Brytanii poziom bezrobocia wśród młodych ludzi jest relatywnie niższy w porównaniu z resztą kontynentu. Nie wprowadzaliśmy takiego rodzaju rozwiązań, w konsekwencji utrzymując niski poziom bezrobocia wśród młodych ludzi.

Podczas naszego jesiennego kongresu Młodzi Europejscy Liberałowie dyskutowali nad rezolucją wzywającą do dostosowania szkolnictwa wyższego do potrzeb rynku pracy. Czy jest to konieczne, aby zredukować poziom bezrobocia wśród młodych ludzi?

Studiowałem lingwistykę. Coś, po czym — według niektórych ludzi — trudno znaleźć pracę. Jednak nigdy nie miałem z tym problemu. Sądzę, że musimy być w tym miejscu bardzo ostrożni, bo jeśli wszystkie uniwersytety przekształcimy w wyższe szkoły zawodowe, wszyscy zacniemy myśleć tymi samymi kategoriami. Dlatego potrzebni są także ci, którzy chcą studiować literaturę klasyczną.

Co Parlament Europejski może zrobić, aby stworzyć nowe miejsca pracy?

Jestem przekonany, że najważniejsze jest inwestowanie w infrastrukturę. Unia Europejska zainwestuje w najbliższych pięciu latach około 35 miliardów euro w transport publiczny, natomiast dodatkowe 10 miliardów przeznaczone zostanie na rozwój szybkiego, szerokopasmowego internetu. To pozwoli ludziom wejść na rynek ze swoimi produktami i usługami. Kolejne 10 miliardów wydamy na sieć dystrybucji energii, co z kolei doprowadzi do gwałtownego rozwoju energetyki odnawialnej, a to zapewni nowe miejsca pracy. Rozwój ekologii to ogromna szansa. Jeden z moich braci, który był przez pewien czas bezrobotny, prowadzi obecnie firmę zajmującą się instalowaniem paneli słonecznych.

Jak myślisz, co się stanie, jeśli nie poradzimy sobie z bezrobociem wśród młodych?

Historia nauczyła nas, że jeżeli przez długi czas utrzymuje się wysoki poziom bezrobocia wśród młodych ludzi, pojawia się nie-

bezpieczeństwo przewrotu politycznego. To zagrożenie dotyczy takich krajów jak Hiszpania.

tłum. Daria Hejwosz-Gromkowska

Graham Watson — członek Parlamentu Europejskiego, wybrany z okręgu południowo-wschodniej Anglii. W okresie 2002—2009 był liderem Porozumienia Liberalistów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE). Jako pierwszy w historii kandydat brytyjskich liberałów został wybrany do Parlamentu Europejskiego.

Julian Kirchnerr — redaktor naczelny pisma „Libertas”.

Powyższe dwa teksty ukazały się w magazynie „Libertas” (wiosna 2012) wydawanym przez LYMEC.

PRACA / PŁACA

CZAS NA REFORMY

Jednym z największych wyzwań, przed jakimi stoi dziś Europa, jest pilna potrzeba zwiększenia efektywności funkcjonowania rynku pracy¹.

Sytuacja na europejskich rynkach pracy w coraz większym stopniu przykuwa uwagę ekonomistów, komentatorów gospodarczych oraz dziennikarzy. W ostatnich miesiącach 2011 roku średnia stopa bezrobocia w UE-27 osiągnęła dwucyfrowy wynik (10,1%) i od tego czasu utrzymuje się na zbliżonym pułapie (10%, dane wg Eurostat, lipiec 2012). W wielu krajach, głównie południowej Europy, wskaźnik bezrobocia z wynikami przekraczającymi poziom 20% bije swoje historyczne rekordy! Głębsza analiza danych ekonomicznych opisujących sprawność funkcjonowania rynków pracy nie napawa optymizmem co do nadejścia rychłej poprawy. Wysoki udział długotrwale bezrobotnych, czyli osób pozostających poza rynkiem pracy przez ponad rok, w stosunku do wszystkich bezrobotnych świadczy o dużej uporczywości bezrobocia w Eu-

¹ Efektywność funkcjonowania rynków pracy rozumiana jest jako zdolność rynków do „oczyszczania się”. Wysoka stopa zatrudnienia oraz niska stopa bezrobocia wskazują na wysoką efektywność rynku pracy.

ropie. Z kolei niskie poziomy aktywności zawodowej w grupach wiekowych powyżej 55. roku życia oraz młodych pracowników w wieku około 20 lat wywołują szczególny niepokój, tym większy gdy zestawia się je z niekorzystnymi zmianami demograficznymi, z którymi Unia Europejska musi zmierzyć się w nadchodzących latach. W takiej sytuacji naturalne wydaje się poszukiwanie przyczyn oraz winnych tak trudnej sytuacji na rynku pracy. Głównego winowajcy najczęściej upatruje się w obecnym kryzysie finansowym. Tego typu tłumaczenie nie uwzględnia jednak wszystkich faktów. Kryzys finansowy z pewnością uwidocznił słabości europejskich rynków pracy, ale głównych źródeł ich problemów należy poszukiwać w cechach strukturalnych modelu regulacji rynku pracy. Kraje Unii Europejskiej przez wiele ostatnich lat zaniedbywały bądź odkładały niezbędne reformy, pozostawiając Europę z wadliwym i niedostosowanym do obecnych wyzwań otoczeniem instytucjonalnym rynku pracy, na które składają się: ustawowa płaca minimalna, opodatkowanie pracy, model negocjacji płacowych, aktywna i pasywna polityka rynku pracy oraz regulacje czasu pracy.

Niska efektywność rynków pracy występuje w krajach Unii Europejskiej od 30 lat. Od zakończenia II wojny światowej do końca lat 60. kraje europejskie rozwijały się bardzo szybko. Wysokiej dynamice wzrostu gospodarczego towarzyszył szybko rosnący poziom zatrudnienia i niskie bezrobocie. Sprzyjająca sytuacja gospodarcza i zwiększanie skali interwencjonizmu państwowego doprowadziły w drugiej połowie XX wieku do ukształtowania w Europie nowej formy państwa zwanego państwem dobrobytu lub państwem opiekuńczym. Sytuacja na europejskich rynkach pracy wyglądała wówczas lepiej niż w USA, jednak poczynając od połowy lat 70. uległa istotnemu pogorszeniu. Wraz ze spadkiem tempa wzrostu

gospodarczego w Europie dochodziło do obniżenia poziomu aktywności zawodowej społeczeństw oraz wzrostu bezrobocia. W tym samym okresie zaczęły się również uwidaczniać różnice w funkcjonowaniu rynków pracy poszczególnych krajów. Zróznicowanie sytuacji na rynkach pracy stało się wyraźne w latach 80., kiedy to europejski rynek pracy przegrał z amerykańskim pod względem stopnia efektywności funkcjonowania, a dystans między nimi tylko się zwiększał w kolejnych latach. Dane statystyczne wskazują, że w latach 1980—2010 średnia stopa zatrudnienia w Europie Zachodniej stopniowo stawała się o kilka punktów procentowych niższa, a stopa bezrobocia o kilka punktów procentowych wyższa niż w USA. W samej Unii Europejskiej coraz wyraźniej uwidaczniała się linia podziału między krajami Południa i Północy.

Pogłębiający się problem został już dawno dostrzeżony przez liderów europejskich. W Unii Europejskiej sposobem na odwrócenie niekorzystnych tendencji i poprawę sytuacji na rynku pracy miała się stać między innymi strategia lizbońska, przyjęta przez kraje członkowskie w 2000 roku. Jej celem, obok stworzenia w Europie do 2010 roku „najbardziej dynamicznej i konkurencyjnej gospodarki na świecie”, był wzrost poziomu aktywności zawodowej europejskich społeczeństw, w tym zwłaszcza podniesienie stóp zatrudnienia kobiet i osób z przedziału wiekowego od 55 do 64 lat. Jednak po dziesięciu latach realizacji słu jej ambitne cele dotyczące rynku pracy wciąż pozostają w większości na papierze. Tymczasem napisano nową strategię na kolejną dekadę, pod hasłem „Europa 2020” powtarzając wcześniejsze plany, zapowiedzi i obietnice reform.

Dzisiejsze wyniki europejskiego rynku pracy nie pozostawiają żadnych wątpliwości, iż państwa członkowskie nie mogą dłużej zwlekać ze zmianą polityki swoich rynków pracy. Europa potrze-

buje głębokiej reformy instytucjonalnej obudowy rynków pracy, zwłaszcza w tych krajach, gdzie rynek pracy jest najmniej efektywny. Zaliczają się do nich przede wszystkim państwa południowej oraz środkowo-wschodniej Europy, w tym również Polska.

Kierunek zmian nakreślają wieloletnie doświadczenia oraz wyniki licznych badań empirycznych. Główne wnioski z ich obserwacji są następujące. Po pierwsze konstrukcja systemów podatkowych oraz wysoka płaca minimalna zaliczają się do czynników odpowiedzialnych za utrzymujący się wciąż wysoki poziom bezrobocia w krajach Unii Europejskiej. Wskazuje to na potrzebę obniżania płac minimalnych, a także podatkowych obciążeń płacy i progresji podatkowej przy jednoczesnym stosowaniu podatków negatywnych, które mogą w sposób znacznie bardziej efektywny realizować wyznaczone cele. Po drugie należy podejmować działania na rzecz rozluźnienia krajowych regulacji dotyczących czasu pracy, co przyniesie pozytywne efekty w postaci wzrostu podaży pracy. Po trzecie tradycyjna ochrona miejsc pracy usztywnia rynek pracy i obniża efektywność jego funkcjonowania. Wskazuje to jednoznacznie na potrzebę uelastyczniania przepisów dotyczących stosunku pracy. Przepisy te należy traktować jako tylko jeden z komponentów strategii utrzymania wysokiego poziomu zatrudnienia, na którą składają się dodatkowo: system zasiłków dla bezrobotnych, ustawowe zabezpieczenia zatrudnionych oraz polityka aktywizacji. Wreszcie, po czwarte, silne związki zawodowe są jednym z istotnych elementów wpływających na sytuację na rynku pracy, powodując z jednej strony ograniczenie dysproporcji zarobków, a z drugiej — obniżenie poziomu zatrudnienia.

Kraje takie jak Dania, Holandia czy Niemcy, które dzięki reformom odnoszą sukcesy w podnoszeniu poziomu zatrudnienia, powinny stać się dla nas drogowskazem zmian. Należy przy tym

pamiętać, mając na uwadze wpływ poszczególnych instytucji na efektywność rynku pracy oraz zachodzące pomiędzy tymi instytucjami interakcje, że stosowanie zróżnicowanych kombinacji wymienionych czynników umożliwi osiągnięcie różnych efektów na rynku pracy. Zapewne ze względu na różnice kulturowe i odmienne tradycje społeczne niemożliwe jest dokładne przeniesienie modeli stosowanych w krajach osiągających najlepsze wyniki do krajów, w których rynek pracy jest nieefektywny. Nie istnieje również uniwersalny model rozwiązujący wszystkie problemy. Jednak dobry przykład płynący z państw z prawidłowo działającymi rynkami pracy powinien wskazywać kierunek pożądanych zmian, zwłaszcza że wszystkie państwa członkowskie Unii Europejskiej stoją przed tymi samymi lub podobnymi wyzwaniami: modernizacją gospodarki i adaptacją w warunkach globalizacji, szybkimi zmianami technologicznymi i rosnącą konkurencją.

Piotr Stolarczyk — doktor nauk ekonomicznych SGH, adiunkt na Wydziale Ekonomii i Zarządzania Uczelni Łazarskiego w Warszawie, wykładowca akademicki na kilku uczelniach w Polsce oraz za granicą. Autor wielu publikacji z zakresu polityki rynku pracy oraz polityki gospodarczej w UE.

OCHRONA SOCJALNA W LIBERALNYM SPOŁECZEŃSTWIE

„Nie ma żadnej sprzeczności między wolnym rynkiem a dążeniem do szerszych celów socjalnych”.

Milton Friedman, *Wolny wybór*

1. Liberalizm i ochrona socjalna

Za zasłoną niewiedzy, która przysłania debatę, istnieje niezwykle bogata tradycja liberalna ochrony socjalnej i opieki nad słabymi. Choć często pomijany, zróżnicowany program liberalizmu zaczął się od społecznego i moralnego ruchu politycznego. Od utylitaryzmu Johna Stuarta Milla do sieci bezpieczeństwa Milтона Friedmana ogromna liczba liberalnych myślicieli dostarczała nam wielu pomysłów na dobrobyt i odpowiedzialność społeczną. Musimy tylko pamiętać, że — według Adama Smitha — istotą ekonomii politycznej jest zapewnienie obywatelom niezbędnych środków do utrzymania się i wymaganych przychodów za świadczenie usług publicznych. To samo zauważa mentor współczesnego liberalizmu, Friedrich Hayek, gdy pisze, że „ochrona konkurencji nie jest sprzeczna z rozbudowanym systemem świadczeń

socjalnych”¹. Jednoznaczne jest zatem stwierdzenie, iż „odpowiednie zabezpieczenie przed skrajnym ubóstwem oraz redukcja niepotrzebnych wysiłków prowadzących do ciągłych rozczarowań powinny być naczelnymi celami polityki liberalnej”². W ogólnych koncepcjach liberalnych akcentuje się znaczenie uzyskania funkcjonalnego połączenia wolności gospodarczej ze sprawiedliwością społeczną, lub inaczej — efektywności ekonomicznej z solidarnością społeczną.

II. Od państwa opiekuńczego do społeczeństwa dobrobytu

Zabezpieczenie społeczne i państwo opiekuńcze to niekoniecznie kompatybilne pojęcia. Co więcej, często okazują się one nawet przeciwstawne. Znaczący wzrost wydatków publicznych na całym świecie w ostatnim stuleciu nie rozwiązał problemów ubóstwa i wykluczenia społecznego. Na poziomie makroekonomicznym przyczyniło się to do gwałtownego wzrostu deficytu budżetowego. Natomiast na poziomie mikroekonomicznym państwo opiekuńcze podkopało przedsiębiorczość, pogłębiło nierówności gospodarcze i społeczne, doprowadziło do marginalizacji dużych grup ludności („dwie trzecie społeczeństwa”) oraz umocniło określone grupy społeczne, funkcjonujące jako zorganizowane grupy nacisku i przeciwstawiające się próbom ekonomicznej modernizacji.

Kluczowe pytanie dotyczy nie celów polityki społecznej, lecz sposobów ich realizacji. Jak powiedział Hayek: „Ważny jest raczej charakter, a nie rozmiar rządowej działalności. Gospodarka rynkowa wymaga pewnych działań rządowych, a rynek może wspomóc niektóre działania państwa”.

1 Friedrich Hayek, *Droga do zniewolenia*, edycja grecka, Ateny 1985, s. 62. Polskie wydanie tłum. Krzysztof Gurba et al., przekł. przejrzał Miłowit Kuniński, Kraków 1996 i n.

2 Ibidem, s. 190.

III. Ochrona socjalna i zatrudnienie

Luki systemu zabezpieczenia społecznego, które uwidoczniły się w Grecji, są tam bardziej widoczne niż gdziekolwiek indziej z powodu niezapewnienia odpowiedniej podaży pracy dla obywateli. Znaczące jest to, że Grecja plasuje się w ogonie Europy, jeśli chodzi o wskaźniki zatrudnienia (zatrudnienie ogółem a poziom bezrobocia, bezrobocie wśród młodzieży i kobiet, długotrwałe bezrobocie). Znaczny wzrost gospodarczy w ciągu ostatnich 15 lat nie doprowadził do odpowiedniego zwiększenia liczby miejsc pracy. Stało się tak, ponieważ wzrostowi zapotrzebowania nie towarzyszy wzrost konkurencyjności. Tak więc w latach 1995–2001 średni poziom wzrostu gospodarczego w Grecji wyniósł około 3,3% (w Unii Europejskiej około 2,4%), podczas gdy średni wzrost zatrudnienia oscylował wokół 0,3% (w UE: 1,2%). Innymi słowy, główny problem tego kraju może być zdefiniowany jako „przyrost bezrobotnych”.

Spora liczba badań empirycznych i porównawczych dotyczących przyczyn „przyrostu bezrobotnych” skupia się na zakłóceniach rynków pracy spowodowanych drakońskimi przepisami chroniącymi stanowisko, a nie pracownika (rozporządzenia dotyczące zawodów, kosztów zatrudnienia i zwalniania, administracyjnych obciążeń dla przedsiębiorstw). Zwraca się uwagę na potrzebę większej liberalizacji greckiego rynku pracy — „imponujący jest poziom ścisłości i sztygłości regulacji”³.

Szczegółowe regulacje prawne w państwie opiekuńczym przyczyniają się do powstania dychotomii pomiędzy *insiderami* i *outsiderami*. To nie przypadek, że państwo, które reguluje i nadaje kierunek rozwojowi rynkowi pracy, w ogóle nie wykazuje zainteresowania samymi bezrobotnymi. Wydajność państwa opiekuńczego

3 Theodore Pelagidis, Michael Mitsopoulos, *Analysis of the Greek Economy: Rent-Seeking and the Reforms*, Athens 2006, s. 191.

w realizacji aktywnej polityki zatrudnienia i kształcenia jest oczywiście niewystarczająca, podczas gdy koszty ubezpieczenia od bezrobocia nie są pokrywane przez państwo, ale przez przedsiębiorstwa w postaci wysokich kosztów zwolnień. Wraz z nadmierną ochroną stałych form pracy możliwość wykorzystania specjalnych form zatrudnienia niepełnego i czasowego, które ułatwiają zatrudnienie poszczególnych grup społecznych, takich jak młodzież czy matki pracujące, była systematycznie ograniczana.

Międzynarodowa literatura z zakresu ekonomii pokazuje, że elastyczny rynek pracy w krótkim okresie służy bezrobotnym, a w dłuższej perspektywie wpływa na wzrost płac. Rynek pracy na czarno (brak ubezpieczenia, zatrudnianie nielegalnych imigrantów), który utrzymuje ogromne podziemie gospodarcze w Grecji, jest bezpośrednio związany z wysokimi kosztami legalizacji. Deregulacja rynku pracy z pewnością ograniczyłaby szarą strefę.

Wzrost gospodarczy Grecji nie osiągnie tempa sprzed lat, nawet jeśli recesję gospodarczą mamy już za sobą, i niekoniecznie będzie mu towarzyszył wzrost zatrudnienia, dlatego też należy skupić się na pracy jako drodze wyjścia z ubóstwa. W związku z tym powinniśmy przyjrzeć się skandynawskim modelom „elastycznego zatrudnienia”, które okazują się niezwykle wydajne w porównaniu z etatystycznymi gospodarkami południa Europy i gospodarką korporacyjną znad Renu. Na przykład duński model „bezpiecznej elastyczności” (*flexicurity*) ułatwia nie tylko zwalnianie, ale i zatrudnianie pracowników, a jednocześnie tworzy silną „siatkę zabezpieczeń” dla bezrobotnych, wspierając ich w szukaniu pracy. Chociaż prawie 30% Duńczyków zmienia miejsce pracy w ciągu roku, badania wskazują, że nie tracą oni poczucia bezpieczeństwa, w przeciwieństwie do pracowników z innych krajów, w tym Grecji,

której mieszkańcy — według danych Międzynarodowej Organizacji Pracy (ILO) — wciąż czują się niepewnie.

IV. Konkluzja

Udane przejście od nieefektywnego państwa opiekuńczego do funkcjonalnego i sprawiedliwego społeczeństwa dobrobytu pozwoli nam (by użyć słów francuskiego myśliciela liberalnego Guya Sormana) pogodzić wzrost gospodarczy z solidarnością i trwałością społeczeństw dobrobytu, zapewniających ekonomiczną godność wszystkich jej członków. Warunkiem koniecznym dla obrania tego kursu jest pozbycie się mentalnych barier, politycznego dogmatyzmu i ideologicznych obsesji, które dominują w debacie publicznej, uniemożliwiając osiągnięcie konsensusu w najważniejszych kwestiach strategicznych, które pomogą zreformować wysoce niewydajny system opieki społecznej w Grecji.

tłum. Natalia Witczyk

Dimitris P. Skalkos — politolog, dyrektor generalny Liberty Forum (KEFIM), greckiego liberalnego think-tanku.

KOBIETA
W SPOŁECZEŃSTWIE

RÓWNOUPRAWNIENIE NA RYNKU PRACY

Liberalne społeczeństwo wymaga od jednostki przejęcia odpowiedzialności za własny los. Ta odpowiedzialność jest konsekwencją wolności, wolności do życia w państwie, które nie ingeruje w indywidualne wybory ponad niezbędne minimum, a w sferze ekonomicznej nie hamuje aktywności swoich obywateli poprzez nadmierne obciążenia. Indywidualna odpowiedzialność ma jednak sens tylko wtedy, gdy państwo gwarantuje równe szanse, a sukces jest przede wszystkim efektem własnej pracy, a nie społecznych uwarunkowań. Brzmi jak oczywistość? Niestety dla ponad połowy społeczeństwa nią nie jest. Dyskryminacja spotyka kobiety w wielu obszarach życia: częściej są ofiarami przemocy, a państwo nadmiernie ingeruje w ich decyzje dotyczące zdrowia prokreacyjnego. Podstawową sferą nierównego traktowania kobiet pozostaje jednak rynek pracy. Mimo przeciętnie lepszych kwalifikacji kobiety zarabiają mniej od mężczyzn i trudniej jest im wspiąć się na szczyt kariery zawodowej. Liberałowie muszą porzucić wygodne przekonanie, że ten problem rozwiąże się sam. Dyskryminacja kobiet trwa za długo, a okres próbny dla leseferycznych rozwiązań w tym zakresie również już dawno minął.

Na drodze do równouprawnienia kobiet jeden ważny cel został osiągnięty — jest nim formalno-prawne zagwarantowanie równego traktowania pracowników obu płci na rynku pracy. Obowiązek zwalczania dyskryminacji płciowej oraz stosowania zasady „równa płaca za równą pracę” wynika z unijnego prawa traktatowego (odpowiednio art. 10 i art. 157 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej), zaś szczegółowe zasady definiuje prawo wtórne (Dyrektywa 2006/54 Parlamentu Europejskiego i Rady). Dyskryminacja kobiet na rynku pracy jest również przedmiotem konwencji międzynarodowych, w tym w szczególności Międzynarodowej Konwencji w sprawie Likwidacji Wszelkich Form Dyskryminacji Kobiet, uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne ONZ w 1979 roku. Prawodawstwo europejskie niewątpliwie w kompleksowy sposób ujmuje tę problematykę — jego przedmiotem jest dyskryminacja zarówno bezpośrednia, jak i pośrednia¹: kobietom gwarantuje się nie tylko równą płacę, ale i równy dostęp do rozwoju oraz awansu zawodowego, a także szczególną ochronę podczas okresu ciąży i macierzyństwa. Zgodnie z prawem europejskim państwa członkowskie muszą zapewnić możliwość dochodzenia do swoich praw, zaś ciężar dowodu leży po stronie podmiotu, któremu zarzucono działanie dyskryminacyjne.

Mimo dobrych regulacji prawnych sytuacja kobiet na rynku pracy — zarówno w Polsce, jak i w całej Unii Europejskiej — jest znacznie mniej korzystna, niż mogłaby być. Zgodnie z danymi Komisji Europejskiej za 2010 rok w Polsce poziom zatrudnienia kobiet jest o 14% niższy niż mężczyzn (58% vs 72%). Różnica w poziomie aktywności ekonomicznej kobiet i mężczyzn jest nad Wisłą zbliżona do średniej europejskiej, a zgodnie z danymi ZUS w ostatnim

1 Regulacje bądź praktyki pozornie neutralne, które stawiają osoby danej płci w szczególnie niekorzystnym położeniu.

dziesięcioleciu nie ulegała znacznym zmianom. Warto zauważyć, że wskaźnik zatrudnienia kobiet mających dzieci jest o 12% niższy niż kobiet bezdzietnych, zaś w przypadku mężczyzn obserwuje się tendencję odwrotną. W latach 2003—2010 w Polsce systematycznie utrzymywał się również nieco wyższy poziom bezrobocia wśród kobiet niż wśród mężczyzn (różnica mieściła się w przedziale od 0,5% do 2,0%). Równocześnie w 2010 kobiety świadczyły przeciętnie 23 godziny nieodpłatnej pracy tygodniowo, mężczyźni ponad trzykrotnie mniej².

Za wykonywaną pracę kobiety otrzymują wyraźnie niższe wynagrodzenie. Zgodnie ze statystykami agencji ONZ UNECE w 2010 roku w Polsce kobiety zarabiały miesięcznie przeciętnie o 15% mniej niż mężczyźni³. Według wycień Eurostatu w latach 2008—2009 przeciętna godzinna stawka wypłacana pracownikom była o 10% niższa niż stawka wypłacana ich kolegom. W 2010 roku różnica ta spadła do 5% i tym samym była ponad trzykrotnie niższa niż w Unii Europejskiej. Równocześnie kobiety stanowiły wyraźną mniejszość wśród osób na kierowniczych stanowiskach. W Polsce w 2009 roku zaledwie co trzeci kierownik lub dyrektor był kobietą — podobne proporcje obserwuje się w całej Unii Europejskiej⁴. W spółkach notowanych na warszawskiej giełdzie sytuacja przedstawia się jeszcze mniej korzystnie. Kobiety stanowią zaledwie 12% członków zarządów, a jedynie 6% spośród zarządów jest kierowanych przez kobiety⁵. W całej Unii Europejskiej wskaźnik uczest-

2 Dane przytoczone za stroną Komisji Europejskiej: www.ec.europa.eu/equalpay oraz za publikacją GUS *Kobiety i mężczyźni na rynku pracy*, Warszawa 2010.

3 Za bazą danych UNECE, dostępną na stronie www.unece.org.

4 *Report on Progress on Equality between Women and Men in 2010. The gender Balance in business leadership*, Komisja Europejska 2011.

5 Za raportem firmy Deloitte, *Kobiety w Zarządach. Globalna Perspektywa*, [na:] www.deloitte.com.

nictwa kobiet w zarządach spółek publicznych był nieco wyższy i wynosił 14%. Choć kobietom znacznie trudniej jest zdobyć kierownicze stanowisko, to po osiągnięciu tego celu zarabiają dużo mniej od swoich kolegów — w Polsce w roku 2006 pensje menadżerek w przedsiębiorstwach prywatnych były przeciętnie o jedną trzecią niższe niż płace mężczyzn. Tak istotną różnicę w dochodach menadżerów obu płci obserwowano jedynie w czterech innych krajach członkowskich Unii Europejskiej⁶.

W świetle danych o równouprawnieniu kobiet na rynku pracy Polska znajduje się w środku europejskiej stawki. To nie najgorszy wynik, ale też nie powód do dumy, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę cele wskazane przez Komisję Europejską (zatrudnienie kobiet na poziomie 75%, odsetek kobiet w zarządach notowanych publicznie spółek — 40%). Co można zatem zrobić, żeby kobiece potencjał był w pełni wykorzystywany na rynku pracy? Spośród wachlarza możliwości kluczowe są moim zdaniem dwie: umożliwienie łączenia kariery zawodowej i macierzyństwa oraz wsparcie dla przedsiębiorstw dających kobietom równe szanse na zatrudnienie i rozwój zawodowy.

Międzynarodowe porównania jasno wskazują, że kobiety częściej decydują się na dzieci, jeśli stworzy im się warunki powrotu do pracy. Kraje o wysokim poziomie zatrudnienia kobiet (na przykład Francja, kraje skandynawskie) cieszą się równocześnie wysokim wskaźnikiem dzietności. Dlatego dbałość o równouprawnienie kobiet na rynku pracy przyczynia się do (przynajmniej częściowego) rozwiązania problemów demograficznych. Na taką zależność wskazują statystyki, choć konserwatywni politycy próbują tłumaczyć relacje między tymi czynnikami całkowicie odwrotnie.

⁶ *The pay gap for women in decision-making positions*, Komisja Europejska, 2011.

Podstawową (choć nie jedyną, o czym dalej) przyczyną dyskryminacji kobiet na rynku pracy są ich rzeczywiste bądź potencjalne zobowiązania wynikające z posiadania dzieci. Przedsiębiorca — co zrozumiałe — chce uniknąć kosztów i kłopotów związanych z wielomiesięcznym brakiem doświadczonego pracownika w firmie. Dlatego polityka państwa powinna być tak kształtowana, aby koszty ponoszone przez firmę w przypadku, gdy rodzicem zostanie pracownica, nie różniły się znacząco od sytuacji, w której rodzicem zostaje mężczyzna. Równocześnie w odniesieniu do obu płci koszty wynikające z przywilejów dla młodych rodziców powinny być w pełni ponoszone przez państwo, nie zaś przerzucane na przedsiębiorcę.

Implikacją powyższego sposobu myślenia jest możliwie daleko idące zrównanie przywilejów rodzicielskich kobiet i mężczyzn, a zatem wydłużenie urlopu ojcowskiego. Zasada proporcjonalności między matką a ojcem powinna dotyczyć także urlopów branżowych z powodu choroby dziecka. Dodatkowe środki finansowe, potrzebne do pokrycia proponowanych rozwiązań, można znaleźć dzięki likwidacji innych, nieskutecznych instrumentów polityki prorodzinnej, takich jak becikowe, wspólne rozliczanie podatkowe małżonków (stanowiące *de facto* mechanizm zamykający w domach zwykle gorzej zarabiające żony) oraz ulgi podatkowe na pierwsze i drugie dziecko w przypadku najlepiej zarabiających. Te mechanizmy nie są żadną zachętą do posiadania dzieci (zwłaszcza pierwszego i drugiego), więc ich likwidacja powinna być oczywistym krokiem. Innymi — choć bardziej kontrowersyjnymi — źródłami finansowania przedłużonych urlopów ojcowskich są: skrócenie stosunkowo długich w porównaniu z innymi krajami urlopów macierzyńskich (przy zachowaniu pewnej elastyczności w przypadku kobiet karmiących piersią) oraz uregulowanie kwestii zwol-

nień lekarskich w okresie ciąży. Niektóre z przedstawionych pomysłów niekoniecznie zostaną przyjęte z entuzjazmem, ale trzeba pamiętać, że każdy przywilej, którym objęte są kobiety, działa na ich niekorzyść na rynku pracy. Oprócz zrównania przywilejów kobiet i mężczyzn w ramach polityki prorodzinnej konieczne jest oczywiście zapewnienie przez państwo dostępnej dla wszystkich, dostosowanej do godzin pracy rodziców opieki nad dziećmi, począwszy od wieku niemowlęcego. Krokiem w dobrym kierunku są również ułatwienia i wsparcie dla alternatywnych form opieki nad dziećmi (zatrudnienie opiekunek, żłobki domowe).

Same instrumenty ułatwiające łączenie rodzicielstwa i pracy zawodowej mimo wszystko nie wystarczą. Droga kobiet do kariery zawodowej jest utrudniona także z innych powodów — stereotypów, braku dostępu do nieformalnych sieci społecznych (tzw. *old boys networks*) czy wreszcie dlatego, że zbudowane przez mężczyzn struktury łatwiej przyswajają męski styl pracy i zarządzania. Rzeczywiste równouprawnienie nie sprowadza się do udowodnienia, że kobieta w pracy to mężczyzna w spódnicy. Tak zresztą nie jest — kobiety preferują nieco inny od mężczyzn styl zarządzania: bardziej demokratyczny, oparty na relacjach i cechujący się większą awersją do ryzyka⁷. Kobięcy styl zarządzania nie jest ani lepszy, ani gorszy od męskiego, ale z faktycznym równouprawnieniem będziemy mieć do czynienia dopiero wtedy, gdy będą one w równym stopniu predysponowały do osiągnięcia sukcesu zawodowego.

Podstawowym zadaniem w tej sytuacji jest przekonanie przedsiębiorstw, że wspieranie kobiet, tak aby stanowiły znaczną część kadry zarządzającej, nie jest działaniem charytatywnym, ale opłaca

7 Por. raport firmy McKinsey, *Women Matter*, 2010.

się z biznesowego punktu widzenia. Zgodnie z badaniami przeprowadzonymi przez firmę McKinsey firmy mające duży udział kobiet w zarządach⁸ osiągają znacznie lepsze wyniki finansowe niż te z wyłącznie męskimi zarządami (zysk operacyjny wyższy o 56%, wskaźnik rentowności kapitału wyższy o 41%). Jak podkreśla raport innej globalnej firmy doradczej, Deloitte⁹, kluczem do rozwiązywania kompleksowych problemów biznesowych jest różnorodność doświadczeń, kompetencji i stylów pracy w zespole.

W wielu przedsiębiorstwach oczywiste stało się inwestowanie w kobiety i dlatego systematycznie dokonuje się w nich analizy polityki personalnej pod kątem pełnego wykorzystania talentów podwładnych. Tym niemniej to państwo jest odpowiedzialne za pokazanie korzyści z inwestowania w kobiety, a zakres możliwych działań może obejmować szkolenia (dla przedsiębiorców i samych kobiet), doradztwo w zakresie *gender mainstreaming*, a także ulgi podatkowe czy preferencje w dostępie do środków unijnych dla firm, które zadeklarują osiągnięcie celów związanych z równouprawnieniem. Jeżeli jednak w perspektywie średniookresowej miękkie działania nie przyniosłyby efektów, a odsetek kobiet w gremiach zarządczych (przede wszystkim publicznych) nadal pozostawałby na tak niskim poziomie, należy rozważyć wprowadzenie obowiązkowych kwot. Z psychologii społecznej wiadomo bowiem, że dana grupa może wywierać realny wpływ na całą społeczność dopiero po przekroczeniu pewnej masy krytycznej. Obecnie nieliczne kobiety u szczytu władzy muszą w pełni dostosować się do reguł zarządzania preferowanych przez mężczyzn. Dopie-

8 Podstawą porównania było 25% firm z próby o największym udziale kobiet w zarządzie.

9 Raport firmy Deloitte, *The gender dividend: Making the business case for investing in women*, 2011.

ro gdy w zarządach i radach nadzorczych udział kobiet wzrośnie do 30—40%, będą one miały możliwość wpływu na te reguły. Jeśli inne rozwiązania zawiodą, kwoty mogą okazać się jedyną metodą uzyskania owej masy krytycznej.

Kamila Łepkowska — ekonomistka, socjolog, absolwentka Szkoły Głównej Handlowej i London School of Economics, pracownik Europejskiego Trybunału Obrachunkowego w Luksemburgu.

Opinie i poglądy wyrażone w niniejszym artykule są wyłącznie opiniami autorki i nie są wiążące dla Europejskiego Trybunału Obrachunkowego.

MATKA W SPOŁECZEŃSTWIE

W polskim społeczeństwie powszechnym zjawiskiem jest dyskryminacja matek. To zjawisko nie do końca jawne, gdyż rola społeczna matki teoretycznie jest uznawana za wartościową, ale za wartościową pod pewnymi ściśle określonymi warunkami. Matka musi wypełniać przypisane swojej roli obowiązki: zajmowanie się dzieckiem, dbanie o odpowiednie warunki domowe. Rola matki godzi się z rolą żony, a coraz częściej też i pracownicy, natomiast jeśli matka próbuje wejść w inną niż te wymienione role, otoczenie reaguje niepokojem. Jeżeli na przykład matka zaczyna zaspokajać swoje aspiracje i angażować się w działania niezwiązane z domem, wchodzić w sferę publiczną, często oceniana jest jako osoba nieodpowiedzialna, zaniedbująca swoje obowiązki. Dyskryminacja matek wiąże się między innymi z niedostateczną reprezentacją i uczestnictwem matek w sferze publicznej. Funkcjonujące w Polsce kulturowe ideały macierzyństwa jednocześnie stawiają matki na piedestale, ale i ściśle je kontrolują. Matkę każdy może ocenić, skrytykować, omówić jej prywatne zachowania i wybory, jakby były kwestiami publicznymi i podlegającymi dyskusjom publicznym.

Upolitycznianie macierzyństwa

Publiczność macierzyństwa nie jest zresztą niczym nowym. Macierzyństwo było upolityczniane i kategoryzowane przez jedyny słuszny dominujący w danej sytuacji społeczno-politycznej dyskurs od czasów Oświecenia¹. Państwo stara się wpływać na wizerunek matki i praktyki macierzyńskie, a kobiety jako adresatki polityki państwa były i są mobilizowane bądź zniechęcane (w zależności od sytuacji) do określonych praktyk i zachowań reprodukcyjnych i społecznych.

W czasach PRL silnie zakorzeniony wzorzec Matki Polki — gotowej do poświęceń, nieoczekującej gratyfikacji, negującej swoje potrzeby, został wzmocniony zjawiskiem „menadżerskiego matriarchatu”² — pracy na dwóch etatach, tytanicznej zaradności. Po zmianie ustroju w 1989 roku, w okresie transformacji sytuacja matek zmieniła się jeszcze przez radykalne wkroczenie władzy (poprzez dominujący dyskurs biomedyczny) w ich sferę domową. Wychowanie dzieci stało się racjonalizowanym naukowo elementem dyskursu zdrowia. Tym samym poprzez psychologię została powołana nowa, trudna do określenia, przestrzeń sprawowania władzy — zdrowa jednostka produkowana jest przez porady medyczne i psychologiczne w odpowiedzi na potrzeby systemu³. Zaradność

- 1 Katarzyna Stańczak-Wiślicz, *Matki biedne, nieszczęśliwe, złe. Luki dominującego dyskursu macierzyństwa w popularnych magazynach kobiecych*, [w:] *Pożegnanie z Matką Polką? Dyskursy, praktyki i reprezentacje macierzyństwa we współczesnej Polsce*, red. Renata Gryciuk, Elżbieta Karolczuk, Warszawa 2012, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego.
- 2 Anna Titkow, *Kobiety pod presją. Proces kształtowania się podstaw nowoczesnej tożsamości*, [w:] *Tożsamość polskich kobiet. Ciągłość, zmiana, konteksty*, Warszawa 2007, Wydawnictwo IFIS PAN.
- 3 Por. Michel Foucault, *Bezpieczeństwo — terytorium — populacja. Wykłady z Collège de France 1977 / 1978*, tłum. Michał Herer, Warszawa 2010, Wydawnictwo Naukowe PWN; tegoż, *Narodziny biopolityki. Wykłady z Collège de France 1978 / 1979*, tłum. Michał Herer, Warszawa 2011, Wydawnictwo Naukowe PWN.

i podporządkowanie Matki Polki zostały dodatkowo wzmocnione tym psychologiczną tendencją, upatrującą przyczyn wszelkich dziecięcych porażek w działaniach matek. Julia Kubisa za Adrienne Rich zwraca uwagę, że tradycyjna instytucja macierzyństwa jest doświadczeniem konstruowanym przez społeczeństwo, a nie przez same matki, i jest niezwykle opresyjna. W modelu matki psychologizującej ta opresja jest równie widoczna, a postęp jest pozorny — kobiety-matki mogą pracować, ale ich własna ekspresja jest kontrolowana przez poczucie winy⁴.

Bo mama ma prawa

Te dominujące dyskursy macierzyństwa stawiają kobietom wielkie wymagania. Przy tym do niedawna także środowisko feministyczne traktowało temat macierzyństwa bardzo marginalnie, widząc w macierzyństwie z kolei tylko źródło zniewolenia. To powodowało, że właściwie w całej dyskusji nie istniały głosy samych matek, brakowało przestrzeni na własne doświadczenie macierzyństwa. Nie było pozytywnych modeli, które wiązałyby się z autonomicznością i niezależnością matek, wzorców, które podkreślałyby ich autentyczność. Na takim braku wyrosła Fundacja MaMa, która stara się wypełniać zaistniałą lukę. Za mocnym hasłem „Bo mama ma prawa” stoi bunt, chęć realnej zmiany rzeczywistości, krytykowania działań instytucji publicznych, nazywania problemów, które dotąd były uważane za oczywisty element codziennego życia. Działaczki Fundacji MaMa bazują w dużej mierze na własnych doświadczeniach, ale też na różnorodności macierzyńskich doświadczeń. W nich, w oddaniu głosu samym matkom, różnym matkom, upatrują możliwości zmiany. Stąd takie projekty jak publikacja

⁴ Julia Kubisa, *Feministyczne macierzyństwo: AKCJA! Nowe formy feministycznego aktywizmu na przykładzie Fundacji MaMa*, [w:] *Pożegnanie z Matką Polką?...*, dz. cyt.

*Co to znaczy być matką w Polsce?*⁵, pokazująca zróżnicowanie macierzyństwa we współczesnej Polsce poprzez oddanie głosu wykluczonym z głównego dyskursu matkom: niepełnosprawnym, wychowującym niepełnosprawne dzieci, homoseksualnym, uchodźczyniom, bezrobotnym, czy *Miasto oczami kobiet* — odwołująca się do często nieuświadomionych i nierealizowanych w przestrzeni miejskiej zróżnicowanych potrzeb kobiet. Niezwykle istotne było zachęcenie matek do mówienia własnym głosem, „wyjścia na ulicę”, zrzeszania się, wspólnego działania, lobbowania na swoją rzecz. Od 2006 roku fundacja promowała ideę lokalnych klubów mam, prowadziła projekty („Lokalne kluby mam”) zachęcające i uczące, jak takie kluby zakładać, jakie podejmować działania. Jednocześnie rozpoczęła aktywne kampanie na rzecz zmiany wizerunku matek w różnych sferach życia (prywatnej, zawodowej, społecznej, publicznej). W efekcie tych działań oraz zmian społecznych, jakie następowały w tle, matki zaczęły pojawiać się w przestrzeni publicznej, a tym samym ją zmieniać. Zwróciły uwagę na wszechobecne bariery architektoniczne, które uniemożliwiają poruszanie się z wózkami dziecięcymi i małymi dziećmi, dzięki czemu powstaje dziś coraz więcej miejsc przyjaznych rodzicom z małymi dziećmi (kawiarni, klubów, a wreszcie także urzędów czy miejsc kultury). Ta obecność w miejscach publicznych szybko jednak zaczęła być negatywnie odbierana społecznie. W ten sposób matki z grupy zawsze głośno omawianej i mającej swoje ważne miejsce w świadomości społecznej, ale do niedawna prawie całkowicie przypisanej sferze domowej (i okołodomowej, tzn. miejscom przeznaczonym dla nich np. placom zabaw), nagle stały się grupą określaną jako ekspansywna. Tymczasem coś, co przez część społeczeństwa

5 Nawiązująca do książki *Co to znaczy być kobietą w Polsce*, red. Anna Titkow, Henryk Domański, Warszawa 1995, Wydawnictwo IFIS PAN.

odbierane jest jako ekspansja w przestrzeni, jest po prostu obecnością w miejscach do niedawna matkom nieprzypisanych — na ulicach, w urzędach, w pracy, w galerii sztuki.

Publiczne / niepubliczne

Według badań przeprowadzonych w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN w zespole prof. Anny Titkow w 2007 roku bezpośrednich przyczyn wrogiego nastawienia do matek w miejscach publicznych można szukać w konkretnych sytuacjach. Słyszy się np.: „dzieci hałasują”, „dzieci brudzą”, „galeria to nie miejsce dla dzieci”, „urząd to miejsce na poważne sprawy”, „karmienie jest obsceniczne”. Kultura masowa lansuje też seksualny wizerunek kobiecej cielesności, piersi są więc seksualne, a odsłanianie ich niewłaściwe. Wyniki te potwierdzają także inne badania⁶. Wydaje się, że niechęć do matek w przestrzeni publicznej ma wspólny mianownik, którym jest właśnie silny konstrukt kulturowy przypisujący macierzyństwo do sfery domowej. Próba wyjścia poza tę sferę jest odbierana jako zachowanie agresywne, coś nienaturalnego, wręcz fanaberia. Internet i prasa pełne są komentarzy dotyczących obecności matek w życiu publicznym, czy to karmiących piersią, czy to polityczek pojawiających się z nowo narodzonym dzieckiem w przestrzeniach reprezentacyjnych (np. parlamencie), czy też matek w wózkami „przepychających się w autobusie”. Przykładowe wypowiedzi z forum: „Mnie też wkurzają te matki z wózkami co się pchają w zatłoczone autobusy”, „publiczne manifestowanie że ma się dziecko i jest się matką karmiącą to dziecku nie jest to potrzebne ale tylko matce bo ono ma w nosie gdzie je i myślę że w ciszy w domu w spokoju lepiej się czuje jak doi cyca”. Wiadomości te i komen-

⁶ Np. raport: Małgorzata Sikorska i in., *Z macierzyństwem na co dzień*, Warszawa 2011.

tarze nacechowane są silnymi emocjami, często agresją. Doskonałym przykładem jest też tekst prof. Zbigniewa Mikolejki, który ukazał się w „Wysokich Obcasach Extra” nr 04 / 2012 i wywołał burzliwą dyskusję. Tekst jest skrajnie dyskryminujący i obraźliwy. Co jest w świetle omawianych mechanizmów interesujące, to fakt, że został on opublikowany w mainstreamowym, kulturalnym kobiecym magazynie — nie zaś w mizoginicznym piśmie wydawanym poza głównym obiegiem i czytany jedynie przez krańcowo radykalnych czytelników (analogiczny artykuł agresywny na tle np. etnicznym lub szykanujący osoby niepełnosprawne zostałby przez mainstream rozpoznany jako dyskryminujący i nie doczekałby się publikacji na łamach tego typu prasy, mainstream odrzuca bowiem rzeczy, które rozpoznaje jako skrajne).

W przestrzeni „pomiędzy”

Fundacja MaMa wzięła ten problem na warsztat, rozpoczynając w 2009 roku projekt *Sztuka Matek*, który oparty jest na wystawie prac 16 uznanych artystek młodego pokolenia, będących matkami. Wybrane zostały artystki znane i uznane, ale w niektórych wypadkach zajęcie się tematem macierzyństwa na długo wykluczyło ich twórczość z salonów sztuki. Barię w dopuszczeniu macierzyństwa / codzienności na salony jest postrzeganie sztuki przez pryzmat pierwiastków męskich. Tradycyjnie ze znaczeniem pojęcia *artysta* kojarzy się twórczość (tworzenie, stwarzanie), uniesienia, bycie ponad ziemskimi normami, egocentryzm, zabawa. Pojęcie *matka* i szerzej — *kobieta* łączy się natomiast z codziennością, organizacją, poświęcaniem się dla innych, krzątaniem się, menadżerowaniem życiem codziennym. Twórczość, uniesienia, wena są przypisane sztuce i mężczyznom. Domowe pielesze, bezpieczeństwo, opiekuńczość, stałość przynależą do sfery kobiet i macierzyństwa,

będąc jednocześnie zaprzeczeniem tego, co przypisane jest sztuce. Macierzyństwo może być więc uprawomocnione jako temat dla malarzy, ale nie dla samych matek-artystek.

W tym podziale zawarte są stereotypy kobiecości i męskości, które w obecnych czasach transformacji społecznych ulegają zmianom i rozmyciu w wielu innych sferach życia. Jednak nadal na granicy podziału na publiczne i prywatne, konstrukty te są słabo uświadomione (często tłumaczy się je błędnie np. biologią czy fizjologią), a przez to są podtrzymywane i umacniane. Jak twierdzą Elżbieta Zierkiewicz i Izabela Kowalczyk w tekście *Sztuka codzienności*⁷, schematy myślowe dotyczące podziału na publiczne i prywatne są niełatwe do wyeliminowania. We wstępie do katalogu wystawy *Sztuka Matek*⁸ Izabela Kowalczyk zauważa, że kobiety-artystki zawsze tworzą w przestrzeni „pomiędzy” — pomiędzy sztuką a domowymi obowiązkami, pomiędzy byciem artystką a byciem matką. Przywoływana przez Kowalczyk Hillary Robinson, krytyczka sztuki i badaczka zajmująca się związkami sztuki i polityki, określa kategorię „kobieta-artystka” jako transgresyjną, wewnętrznie sprzeczną. Znaczenia określające kobiety oraz artystę wchodzą ze sobą w konflikt.

Tytuł wystawy i projektu ma zwracać uwagę na „sprzeczność samą w sobie”, dawać do myślenia, być zgrzytem, czymś uwierającym. Tymczasem początkowe reakcje na wystawę i jej tytuł pokazują, jak bardzo macierzyństwo, kojarzone z codziennością, jest ze sztuki wykluczane jako temat niegodny, niski, uszeregowany pośród kobiecych pogaduszek, robótek domowych, jak trudno jest przyjąć jego sprzeczne z tradycyjnym znaczenie. Wystawa spotka-

7 Izabela Kowalczyk, *Matki-Polki, Chłopcy i Cyborgi. Sztuka i feminizm w Polsce*, Poznań 2010, wyd. Galeria Miejska „Arsenał”.

8 Izabela Kowalczyk, *Matki, artystki, negocjatorki...*, [w:] *Sztuka Matek*, katalog wystawy, Wrocław 2011, wyd. Fundacja MaMa.

ła się z bardzo szerokim odzewem, jednak nadal, mimo wielu tekstów (w tym Izabeli Kowalczyk, Sylwii Chutnik, Pawła Leszkowicza, Katarzyny Haber, Marii Woś, Doroty Koczanowicz) oraz wsparcia Narodowej Galerii Sztuki Zachęta, nie udało się do końca zdjąć z wystawy odium „kobiecych robótek”. W każdym kolejnym miesiącu, w którym była ona pokazywana, była też na dzień dobry witana pytaniami o to, jak artystki godzą życie rodzinne z twórczością, jak udaje im się, tworząc, wychowywać dzieci (takie pytania padały najczęściej z ust dziennikarzy, ale i niektórych krytyków sztuki). Dziennikarze i krytycy rozmawiający z twórczyniami wystawy szybko (lub od razu) przechodzili z tematów przypisanych wysokiej sztuce do spraw domowych, „niższych”, sugerujących istotność wystawy na poziomie jedynie społeczno-prywatnym: „Jak matki sobie radzą”, „Co kobiety myślą o...”, „Co na to Pani dzieci?”. Takie wypowiedzi i pytania za każdym razem umiejscawiają temat macierzyństwa w sferze domowej, w sferze codzienności, nie dopuszczając go do bycia częścią sfery publicznej, czymś równoprawnym, tematem wystarczająco poważnym dla sztuki.

Praca domowa kobiet

Przyglądając się temu, jak ewoluują znaczenia, można nadal zauważyć pewne prawidłowości. Tradycyjne opozycje: męskość — kobiecość, publiczne — prywatne, kultura — natura, sztuka — codzienność, według których kobiecość spełnia się przede wszystkim w codziennej krzątaniu, są wprawdzie nieco zmieniane przez kulturę popularną i przeciwstawiane nowo tworzonym konstruktor (np. kultura domowa — businesswoman). Jednak mimo że współczesność ukazuje często nieadekwatność takich tradycyjnych podziałów, to jednak w głębokiej sferze są one bardzo silnie zakorzenione, a przez to nie zostały wyeliminowane z powszechnego myślenia.

Uległy przesunięciu, lecz nie eliminacji. Konsekwencją tego jest dalsze traktowanie matek pojawiających się w sferze publicznej przedmiotowo, a nie podmiotowo.

Blisko związany z postrzeganiem tego, co męskie, w kategoriach publicznych, a tego, co kobiece, w niepublicznych jest niski status pracy domowej kobiet — jej niedoceniecie, gdy jest wykonywana nieodpłatnie i niskie opłacanie, gdy jest pracą zawodową (prowadzenie domu, opiekowanie się kimś). Inicjatywa Fundacji MaMa powołania Koła Gospodyń Miejskich i stworzenia Listy Czynności Domowych mają na celu przede wszystkim przełamywanie stereotypów na temat kobiet formalnie niepracujących i kobiet pracujących na przynajmniej 2 etatach. Chodzi o to, by pokazać, że nieodpłatna praca to również praca, która wymaga inwencji, siły, że zasługuje na szacunek. Fundacji zależało na wywołaniu dyskusji, choćby w domach, o tym, jaka jest realna sytuacja kobiet bez oficjalnego etatu. MaMa prowadzi spotkania dla kobiet, na których rozmawia o doświadczeniach godzenia roli matki z byciem kobietą aktywną domowo i zawodowo. To dobry moment, aby odmitologizować przemilczaną pracę domową kobiet, poczuć wsparcie innych matek. Jednak zmiany, które fundacja postuluje, są inicjowane nie tylko przez inicjatywy oddolne, ale także przez naciskanie na władze lokalne i centralne. Fundacja przekazała parlamentowi i kancelarii szefa rady ministrów rekomendacje dotyczące pracy domowej kobiet, w których zwraca uwagę na kwestie: sprawiedliwości społecznej, ekonomii oraz edukacji. Chce zmienić dyskurs dotyczący wizji współczesnej kobiety, a także postrzegania kobiet przez pryzmat podziału publiczne — niepubliczne.

Patrycja Dołowy — doktor nauk biologicznych, artystka fotografka, działaczka społeczna, wiceprezeska Fundacji MaMa.

LIBERALNY FEMINIZM

Feminizm opiera się na wartościach liberalnych, ponieważ zakłada, że kobiety powinny być traktowane jako jednostki. Zatem wiele osób pyta: po co nam feminizm, czy nie wystarczy nam sam liberalizm? W przeciwieństwie do liberalizmu feminizm to nie ideologia, lecz narzędzie stworzone po to, by lepiej zrozumieć strukturę społeczeństwa.

Historia liberalizmu jest ściśle powiązana z historią feminizmu; oba ruchy miały tych samych adwokatów. Pod koniec Oświecenia, w XVIII wieku Mary Wollstonecraft, pionierka liberalizmu i filozofka, walczyła o prawa kobiet. Co więcej, popierała postulat edukacji dla dziewcząt i pragnęła, by mężczyźni przestali dyskryminować je ze względu na płeć. Niewiele kobiet miało szansę zdobyć wykształcenie w tamtych czasach. W 1869 roku John Stuart Mill, liberał i filozof, opublikował feministyczny traktat *Poddaństwo kobiet*. Tak jak jego poprzedniczka opisywał nieocenioną rolę prawa kobiet do decydowania o sobie samych.

Wciąż uważa się, że samowystarczalność jest najlepszym sposobem na zapewnienie równości płci. Wczesne feministki, takie jak anarchistka Voltairine de Cleyre, pomimo niechęci do kapi-

talizmu uważały, że to droga do wolności: „Ona nie jest już chronionym zwierzęciem; ona staje się jednostką. Ona cierpi i marzy o »prawach«. Ona chce być widziana nie tylko jako żona, matka, siostra, córka, ona powstaje sama, staje się silna i dostrzegając własną siłę, żąda równości”.

Państwo ma ogromny wpływ na finanse kobiet. Ludzie reagują instynktownie na strukturę motywacyjną społeczeństwa. W związku z tym feministyczne socjolożki podzieliły państwa na trzy kategorie ze względu na występowanie bodźców hamujących kobiecą samowystarczalność. Model głowy rodziny charakteryzuje się uprzywilejowaniem mężczyzn poprzez sztywny podział pracy ze względu na płeć. W modelu ról płci różnice społeczne opierają się na różnicach między kobietami a mężczyznami. Model indywidualistyczny zakłada, że kobieta i mężczyzna są współodpowiedzialni finansowo i dzielą obowiązki rodzinne. Poszczególnym krajom europejskim można przyporządkować różne modele, co wpływa na pozycję kobiety na rynku pracy.

Należy pamiętać o tych różnicach, poruszając temat płci na szczeblu europejskim. Politycy europejscy kilkakrotnie starali się włączyć w walkę o równość płci, lecz efekty tego były — delikatnie to ujmując — skromne. Ostatnim przykładem był film namawiający kobiety do studiowania inżynierii. Sam film, jak się okazało, promował stereotypy dotyczące płci i bardziej zniechęcał, niż zachęcał. Kolejnymi kwestiami, którymi zajęli się politycy, były obowiązkowy urlop macierzyński i kwoty w radach nadzorczych. Żadna z tych propozycji nie jest liberalna, ponieważ każda zakłada, że potrzeby wszystkich kobiet wynikają z tych samych doświadczeń, cech osobistych i pragnień. Idąc dalej — że wszystkie kobiety powinny być reprezentowane jako monolityczna grupa i na przykład zmuszane do zostania w domu po porodzie.

Liberalnym feministkom trudno zgodzić się z większością pomysłów polityków na wprowadzenie równości. Zwykle pogarszają tylko sytuację poprzez dalszą polaryzację płci. Jasnym tego przykładem jest debata o kwotach, która narzucając równą reprezentację płci, utrwała podział na mężczyzn i kobiety na rynku pracy czy w polityce.

Tak jak marksista Antonio Gramsci uważał, że klasa pracująca nie jest w stanie przeciwstawić się kapitalistom posiadającym władzę nad sumieniami robotników, tak też zwolennicy kwot twierdzą, że kobiety same nie są w stanie wywalczyć dla siebie pozycji kierowniczych. Cechy przywódcze tym samym są przypisywane wyłącznie mężczyznom, a kobiety muszą przystosować się do męskich reguł gry.

W Szwecji przyznano prawa wyborcze w 1907 roku, niezależnie od klasy czy bogactwa. Było to motywowane prawami człowieka. Natomiast argument za przyznaniem praw kobietom głosił, że nowa sytuacja wniesie jakiś specjalny *kobiecy* pierwiastek do polityki. Ten sam argument, o wniesieniu niedookreślonych cech kobiecych przeciwstawianych cechom męskim, jest obecny w dzisiejszej debacie o kwotach. Liberalna równość nie jest równością rezultatów, jest równością praw. Feminizm to prawo, by być postrzeganym jako jednostka, a nie przez pryzmat płci.

Kobiety stanowią większość na wszystkich uniwersytetach w Europie z wyjątkiem wydziałów inżynieryjnych i fizyczno-chemicznych, ale wciąż mniej kobiet niż mężczyzn znajduje zatrudnienie. Badania Uniwersytetu w Umeå pokazują, że wzrost zatrudnienia kobiet z obecnego (62%) do poziomu zatrudnienia mężczyzn (76%) spowodowałby, że PKB Unii poszybowałby o 27% w górę. W czasach gospodarczego niepokoju Europa powinna uczyć się od Szwecji:

- Zamiast wspierać finansowo kobiety zajmujące się domem poprzez ulgi podatkowe dla rodzin, w których jeden z małżonków jest nieaktywny zawodowo, należy polepszyć dostęp do żłobków i przedszkoli. Powinny być dostępne dla wszystkich, tak by każdy z rodziców mógł pracować.
- Bardziej równomierne wykorzystanie urlopu rodzicielskiego jest konieczne dla zmniejszenia nierówności pomiędzy kobietami a mężczyznami na rynku pracy.
- Lepsza opieka dla osób starszych, ponieważ dziś to głównie dorosłe córki zajmują się bezpłatną pielęgnacją rodziców.

Jeśli Europa ma być zwycięzcą ery globalizacji, nie możemy sobie pozwolić, by mieć najlepiej wyedukowane kury domowe na świecie. Każdy kraj członkowski musi podjąć kroki pasujące do jego sytuacji ekonomicznej i społecznej. Jeśli nie chcemy, by Europa stanęła przed wyborem pomiędzy wzrostem ekonomicznym a wzrostem populacji, wykształcone młode kobiety nie powinny być ograniczone wyborem: albo dziecko, albo kariera. Kobiety są zbyt cennym atutem, by je stracić.

tłum. Miłosz Hodun

Linda Nordlund — absolwentka nauk politycznych na Uniwersytecie w Uppsali, feministka, przewodnicząca Liberalnej Młodzieży Szwecji.

Ebba Tornérhielm — medioznawczyni, politolożka, feministka, sekretarz generalna Liberalnej Młodzieży Szwecji.

*NOWE MODELE
RODZINY*

DLACZEGO LEGALIZACJA ZWIĄZKÓW PARTNERSKICH JEST W POLSCE POTRZEBNA?

Debata o związkach partnerskich w Polsce trwa już prawie dekadę. To dzięki niej w zeszłym roku pod obrady Sejmu trafiła propozycja ustawy o związkach partnerskich. Dlaczego ta tematyka jest przedmiotem tak wielkich sporów społecznych?

Historia ruchu LGBTQ (osób homoseksualnych, biseksualnych, transpłciowych i *queer*) trwa od co najmniej 1969 roku. 28 czerwca tego roku — data ta uznawana jest za swoistą cezurę — w barze Stonewall Inn w Nowym Jorku miały miejsce zamieszki, które rozpoczęły emancypację ruchu i stopniowe wyzwalamie osób LGBTQ ze stereotypów. W Polsce dopiero od 1989 roku możemy obserwować powolne zmiany w tej kwestii — począwszy od nieśmiałych żądań legalizacji organizacji gejowsko-lesbijskich z początku lat 90. po większe wydarzenia, jak coroczne Parady i Marsze Równości odbywające się w kilku miastach.

Kraje Europy Zachodniej odrobiły już większą część lekcji co do tego tematu. Po usunięciu w 1990 roku przez Światową Orga-

nizację Zdrowia homoseksualizmu z klasyfikacji chorób i problemów zdrowotnych wiele rządów rozumiało, że odmienna orientacja seksualna nie jest ani fanaberią, ani zaburzeniem, stąd prośby wniosek — osobom homoseksualnym należą się takie same prawa jak osobom heteroseksualnym.

Pierwsze związki partnerskie na świecie wprowadziła w 1989 roku Dania. Kolejne kraje, przede wszystkim należące do Unii Europejskiej, stopniowo zmieniały prawo w tym zakresie. Obecnie już 16 (z 27) państw UE uznaje jednopłciowe związki partnerskie lub małżeństwa.

Jeśli chodzi o inne kraje, legalizacja związków jednopłciowych (w formie konkubinatów, związków lub małżeństw) również okazała się możliwa: w USA w dziewięciu stanach, w Ameryce Południowej w pięciu krajach, a także w Australii, Nowej Zelandii, RPA i Izraelu. Widać więc tendencję w zrównywaniu praw obywatelskich — dążą do tego kraje o dojrzałych systemach, które starają się szanować wszystkich obywateli.

W Polsce kwestię regulacji związków jednopłciowych jako pierwsza podjęła w 2003 roku senator Maria Szyszkowska. Ówczesny projekt ustawy przewidywał rejestrację związku jedynie dla par jednopłciowych. Po zaaprobowaniu go przez Senat w grudniu 2004 roku niestety nie doszło do pierwszego czytania w Sejmie. Przez kolejne lata coraz więcej mówiło się o prawach osób homoseksualnych, ale dopiero w 2009 roku kwestia regulacji związków partnerskich wróciła na wokandę. W czerwcu 2009 roku powstała nieformalna Grupa Inicjatywna ds. Związków Partnerskich (www.zwiazkipartnerskie.info), złożona z kilku działaczy LGBT. Za cel postawiła sobie ona ponowne rozpoczęcie ogólnopolskiej debaty dotyczącej możliwości prawnej regulacji związków partnerskich. W 16 największych miastach kraju grupa zorganizowała publiczne

spotkania poświęcone związkom partnerskim, rozpoczęła również działalność lobbingsową.

Początkowo zainteresowanie polityczne tą tematyką było nikłe, ale po pewnym czasie udało się pozyskać jedyne go partnera gotowego do współpracy. 2 marca 2010 roku odbyło się pierwsze spotkanie z Klubem Parlamentarnym SLD. Ruszyły prace nad projektem ustawy, najpierw pod patronatem Izabeli Jarugi-Nowackiej, a po jej tragicznej śmierci 10 kwietnia 2010 roku — Katarzyny Piekarskiej i Sławomira Kopycińskiego. Zwieńczeniem tych prac było złożenie w Sejmie 17 maja 2011 roku projektu ustawy o umowie związku partnerskiego. Posłem-sprawozdawcą był Ryszard Kalisz.

Tematyka związków partnerskich weszła w kolejną fazę — politycznego i medialnego zainteresowania. W trakcie kolejnych wyborów samorządowych, prezydenckich i parlamentarnych kandydaci i kandydatki byli pytani o ich stosunek do prawnego uregulowania sytuacji par jedнопłciowych. Warto odnotować tu kilka sprzyjających faktów: w Warszawie w 2010 roku radnym miasta został zadeklarowany gej Krystian Legierski (reprezentujący partię Zieloni 2004), a w wyborach parlamentarnych w 2011 roku do Sejmu zostali wybrani: również zadeklarowany gej Robert Biedroń i osoba transpłciowa Anna Grodzka (oboje z partii Ruch Palikota). Obecność osób LGBT w polskich władzach stała się punktem zwrotnym.

Rok 2012 przyniósł dalsze zmiany w kwestii związków partnerskich. W Sejmie przedstawiono aż dwie propozycje ustaw regulujących relacje partnerskie między dwiema osobami. W przygotowanie obu projektów było zaangażowanych wiele osób ze środowiska LGBT. Powstała koalicja Partnerstwo dla Związków (www.partnerstwodlazwiazkow.pl), w skład której weszły różne grupy, organizacje i osoby, którym zależy na zmianie prawa. Obie

ustawy zostały zgłoszone przez dwa kluby parlamentarne — SLD i Ruch Palikota. Pierwszy projekt nawiązywał do tego z 2011 roku i opierał się na koncepcji francuskiego PACS (umowa cywilna). Drugi tworzył nową instytucję prawną — związek partnerski. Różnice pomiędzy zgłoszonymi projektami dotyczyły głównie rozwiązań prawnych. Oba zostały jednak negatywnie zaopiniowane przez sejmową komisję ustawodawczą. 24 lipca podczas głosowania w Sejmie odrzucono możliwość pierwszego czytania ustaw. Tym samym po prawie dziesięciu latach osiągnięto jak dotąd największy sukces — projekt formalnej regulacji związków dotarł do Sejmu, choć nie mógł zostać zaprezentowany publicznie. Rok wcześniej udało się jedynie złożyć projekt takiej ustawy.

Należy podkreślić, że wyżej wymienione pomysły (poza pierwszym autorstwa prof. Marii Szyszkowskiej) dotyczyły związków jedno- i różnopłciowych, czyli objęły zarówno pary hetero-, jak i homoseksualne.

U podstaw tego pomysłu leży koncepcja szeroko rozumianej równości — aby każdy, niezależnie od płci, miał równy dostęp do takich samych praw. Mimo że osoby heteroseksualne mogą zawrzeć związek małżeński, podjęto decyzję utworzenia instytucji związku partnerskiego dla wszystkich. Związane jest to właśnie z nowoczesną koncepcją równego traktowania wszystkich możliwych grup i osób — wszystko po to, by uniknąć wykluczania i ograniczania dostępu do określonych praw.

Według Spisu Powszechnego z 2002 roku w Polsce żyje 400 tys. osób, które pozostają w relacjach nieformalnych (z czego w połowie takich związków wychowywane są dzieci). I jest ich coraz więcej. Wszystkie te osoby — żyjące zarówno w relacjach różnopłciowych, jak i jedнопłciowych — dzięki przedłożonym ustawom miałyby możliwość zalegalizowania swoich związków.

Jakie właściwie uregulowania zostały zaproponowane w ustawach (dotyczy to trzech ostatnich projektów z lat 2011—2012)? Projekty te regulowały sferę życia, która dla nieformalnych par tej samej płci pozostaje zupełnie niedostępna. Łącznie jest to kilkanaście zmian. Najważniejsze z nich to:

- *Prawo do pochówku zmarłego*

Według obowiązującego prawa tylko rodzina (decydują więc więzy krwi) może tego dokonać, nawet do czwartego stopnia pokrewieństwa.

- *Prawo do dziedziczenia*

Sporządzenie testamentu tylko częściowo rozwiązuje problem. Spadkobierca/-czyni, który/-a był/-a ze zmarłym/-ą w nieformalnym związku, jest zobowiązany/-a do zapłacenia nie tylko najwyższego podatku (20%) od spadków, lecz także zachowku na rzecz osób, które dziedziczyłyby, gdyby testament nie został sporządzony.

Projekt ponadto przewidywał: prawo do ubiegania się o obywatelstwo, prawo do wspólnego opodatkowania, prawo do odmowy składania zeznań obciążających partnera/-kę, prawo do bycia pełnomocnikiem procesowym partnera/-ki, prawo do korzystania z zabezpieczenia socjalnego partnera/-ki, prawo do renty rodzinnej lub emerytury po zmarłym partnerze/-rce, prawo do wstąpienia w stosunek najmu po zmarłym partnerze/-rce.

Jak widać, są to kwestie dotyczące praw podstawowych. W żadnej z proponowanych ustaw nie ma zapisów dotyczących adopcji lub przysposobienia dzieci — autorzy projektów zdają sobie sprawę, iż jest to temat bardzo ważki, ale wprowadzenie zapisów dotyczących tego problemu mogłoby spowodować przesunięcie akcentów w debacie (ok. 80% ankietowanych w różnych badaniach z ostatnich lat sprzeciwia się możliwości adopcji dzieci przez pary jedнопłciowe). Dostępne dane (raport nt. sytuacji osób LGBT przygotowany

przez KPH i Lambdę Warszawa za lata 2005—2006) mówią jednak o około 15 tys. dzieci wychowywanych przez pary jedнопłciowe.

Ze społecznego punktu widzenia mamy duży problem — w Polsce istnieją poważne nierówności w kwestiach prawnych. Mimo deklarowanej równości (zawartej w Konstytucji RP) niektórym obywatelom ewidentnie odmawia się nawet częściowego wyrównania praw w kwestii dostępu do legalnych związków partnerskich. A przecież mogłyby być one wprowadzone zgodnie z obowiązującym prawem — w konstytucji co prawda zapisana jest szczególna ochrona małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, ale nie ma zakazu tworzenia innych legalnych związków. Według ostatnich sondaży (OBOP w 2011 roku) ponad połowa ankietowanych jest zdania, że osoby pozostające w związkach partnerskich powinny mieć prawo między innymi do dziedziczenia. Partia rządząca (PO) zauważyła, że jest to temat bardzo gorący. Dlatego też ogłosiła, że przygotowuje własny projekt regulujący kwestię związków partnerskich (ma zostać oficjalnie zaprezentowany we wrześniu). Widać więc, że w obecnej chwili tematyka związana z legalizacją wspólnego życia jest jedną z kluczowych spraw społecznych w Polsce.

Politycznie jest to kwestia dość jasna — za wprowadzeniem w życie ustawy o związkach partnerskich wyraźnie opowiadają się partie SLD i Ruch Palikota; zdecydowanie przeciwne są PiS i PSL. PO jest podzielona — za legalizacją jest kilkudziesięciu posłów z nurtu liberalnego.

Wiele osób ciągle czeka i ma nadzieję, iż w niedługim czasie będą mogły zalegalizować swoje związki partnerskie, brak takich uregulowań jest bowiem białą plamą w polskim ustawodawstwie.

Yga Kostrzewa — rzeczniczka Lambdy Warszawa, członkini Grupy Inicjatywnej ds. Związków Partnerskich.

PRAWO DO ADOPCJI

W dyskusji o adopcji dzieci przez osoby homoseksualne bardzo często pojawia się argumentacja, w której prawom LGBT przeciwstawia się prawa dziecka. Albo, albo — powiada się. Musimy wybierać. Nawet jeśli lesbijki i geje mogą być prywatnie dobrymi rodzicami, to przecież ich dzieci będą na pewno wyśmiewane lub prześladowane w szkole czy na podwórku. Z jednej strony mamy abstrakcyjne prawa mniejszości, z drugiej — realne ludzkie cierpienie. Dopóki nie zmieni się mentalność, dopóty z rozmową o adopcji musimy poczekać. A mentalność nie zmienia się przecież tak prędko.

Prawa dziecka to bardzo poważna sprawa. Jeśli istnieje wątpliwość, czy umożliwienie adopcji parom tej samej płci jest korzystne z punktu widzenia dobra dziecka, to trzeba się temu bardzo uważnie przyjrzeć. Sceptycy uważają, że jeśli nie pozwolimy na adopcję dzieci parom jedнопłciowym, to unikniemy sytuacji, w której dzieci te będą dręczone przez rówieśników. Innymi słowy, sposobem na zapobieganie dręczeniu dzieci przez rówieśników ma być niedawanie pretekstu do dręczenia. Jeśli nie będzie dzieci par homoseksualnych, to nie będzie wyśmiewania dzieci z powodu sek-

sualności rodziców. Proste? Niby proste, ale zobaczymy, jak by to działało w innych przypadkach.

Mam przyjaciela, który był w podstawówce dręczony przez rówieśników jako Żyd. Nie, nie to, żeby jakoś wyróżniał się wyglądem. Po prostu jego rodzice byli Żydami, co kolegom w szkole się nie podobało. Potrafię to sobie wyobrazić, bo sam chodziłem przez jakiś czas do jednej klasy z Romem. „Chodziłem” to zresztą za dużo powiedziane. Kolega pojawił się na lekcjach parę razy w ciągu roku. Nie był szczególnie lubiany: „To Cygan, a do szkoły chodzi w kratkę!”. Sam go zaakceptowałem dopiero, kiedy ciocia wytłumaczyła mi, że bycie Cyganem to nic złego, a chodzenie do szkoły w kratkę to zapewne sprawka rodziców. Ale nie każdy ma mądrą ciocię, a zjawisko niechęci do Romów to niestety realny problem. Co by było, gdybyśmy spróbowali rozwiązać ten bolesny problem w podobny sposób jak problem wyśmiewania dzieci par homoseksualnych? Czy należałoby zabronić mniejszościom narodowym i etnicznym posiadania dzieci, aby uchronić je przed dręczeniem w szkole? Czy w takich przypadkach również mamy do czynienia z konfliktem między prawami mniejszości a prawami dziecka? Brzmi drastycznie, ale jeśli chcemy rozumieć prawa dziecka w taki sposób, jak rozumieją je przeciwnicy prawa do adopcji przez osoby LGBT, to nie mamy innego wyjścia. Logika zobowiązuje.

To jednak nie wszystko. Miałem też w szkole kolegę, który był rudy. Oj, ten to dopiero nie miał życia. Po roku rodzice przenieśli go do innej szkoły, albo może wyjechali za granicę, nie pamiętam. Inny kolega był z kolei gruby. Ten miał łatwiej. Niektórzy się nawet z nim bawili. Fakt, czasem zdarzało się, że pobiła go grupka szkolnych chuliganów, ale to zdarzało się nie tylko jemu. Właściwie każdy chłopiec, który słabiej sobie radził na wuefie, mógł się spodziewać, że prędzej czy później ktoś go trochę poturbuje. Najlepiej

pod tym względem miały dzieci niepełnosprawne, bo w ogóle do szkoły nie chodziły, to i nikt ich nie bił. O tym, że istnieją, wiedziałem od zaprzyjaźnionych nauczycielek, które popołudniami udzielały im lekcji w domu. Wtedy myślałem, że to bardzo smutne. Dziś jednak — zwłaszcza gdy czytam wypowiedzi przeciwników adopcji dzieci przez rodziny jedнопłciowe, głęboko zatroskanych o los, jaki czekałyby te dzieci w szkole i na podwórku — zaczynam się zastanawiać, może to jest jakiś model... Gdyby dla rudyh, otyłych, niepełnosprawnych i gorzej radzących sobie na wuefie stworzyć system nauczania domowego? Albo jako tańszą namiastkę chociaż osobne szkoły? Dzieci nie byłyby już w szkole dręczone, a wiadomo, że mentalność nie zmienia się z dnia na dzień.

Na szczęście możemy na kwestię praw dziecka spojrzeć w inny sposób. Nie musimy godzić się z mentalnością podwórka. Możemy zakwestionować codzienną przemoc, którą wypełniony jest świat dzieciństwa: przemoc w rodzinie, w grupie rówieśniczej czy pełną wzajemnej przemocy hierarchię w relacjach między nauczycielami a uczniami. Już dziś możemy wprowadzić do szkół edukację nastawioną na docenianie różnorodności, asertywność, współpracę, umiejętność komunikowania swoich emocji. Kierunek wskazują pilotażowe programy prowadzone przez niektóre NGO. Na przykład Feminoteka od kilku lat prowadzi szkolenia WenDo dla gimnazjalistek, wychodząc z założenia, że odpowiedzią na przemoc wobec dziewczynek powinno być nie ubieranie wszystkich w mundurki i instalowanie wszędzie kamer, lecz nauczenie dziewczynek, jak na agresję skutecznie reagować. Podobnie Fundacja Porozumienie bez Przemocy od lat stara się uczyć nauczycieli i nauczycielki oraz uczniów i uczennice umiejętności porozumiewania się w sposób wolny od słownej i emocjonalnej przemocy, budujący między ludźmi więzi zaufania i zrozumienia, a nie hierarchii.

Gdyby szkolenia takie uczynić obowiązkowym elementem edukacji, jako coś w rodzaju szkolnego bhp, wówczas nie tylko nasze szkoły i podwórka, ale całe społeczeństwo wyglądałoby inaczej.

Rozmowa o prawie do adopcji musi być od początku powiązana z ogólniejszym pytaniem o to, jaki świat chcemy dla dzieci — naszych i nie naszych — budować. Czy jesteśmy gotowi podjąć pracę nad tym, by był to świat przyjaźniejszy i mniej zhierarchizowany? Uznanie prawa do adopcji przez osoby LGBT to także zobowiązanie do budowania społeczeństwa, w którym każde dziecko — żydowskie i romskie, rude i otyłe, niepełnosprawne i obdarzone bujną wyobraźnią — będzie się czuło bezpiecznie. Nie musimy chować głowy w piasek. Mamy wybór. Możemy akceptować pełną przemocą realność szkoły i podwórka. Wtedy zarówno prawa osób LGBT, jak i prawo dziecka do bezpiecznego świata traktujemy jako kwestie, które „mogą poczekać”. Albo możemy już dziś działać na rzecz prawa osób LGBT do adopcji. W ten sposób dajemy sobie jeszcze jeden powód, by pracy nad stworzeniem dla dzieci lepszego świata nie odkładać na jutro.

Adam Ostolski — socjolog, publicysta, członek Zielonych 2004 i redakcji Krytyki Politycznej.

Dziękujemy autorowi za zgodę na przedruk. Artykuł pochodzi ze specjalnego wydania „Zielonych Wiadomości” przygotowanych przez Zielonych 2004 na EuroPride. Cały numer do pobrania ze strony: Zieloni 2004.

KOŚCIÓŁ
I RELIGIA

POLSKIE NAMIĘTNOŚCI, CZYLI KRÓTKO O RELACJACH PAŃSTWO — KOŚCIÓŁ KATOLICKI

W Polsce ton wypowiedzi wobec Kościoła katolickiego jest bądź agresywny, bądź całkiem usłużny. Dwie strony sporu rzadko dziś uwzględniają zniuansowaną historię, zgodnie z którą przed 1989 rokiem Kościół wspierał dążenia wolnościowe, następnie zaś ewoluował wraz z polską demokracją. Po walce o przetrwanie w czasach stalinizmu stał się najważniejszą, niezależną od komunistycznych władz instytucją. W pewnych okresach — jak na przykład po wprowadzeniu stanu wojennego — był jedyną jawnie funkcjonującą ostoją wolności. Właśnie poprzez związki z Kościołem zachowywano ten cenny dar czy też uczono się korzystania z niego w warunkach opresji. Dowodem na to pozostają choćby drugoobiegowe publikacje demokratycznej opozycji, która od lat 70. szukała ideowego i politycznego porozumienia z Kościołem katolickim.

Zarówno lewica, jak i prawica zdawały sobie sprawę z ważkości religii przeciwstawianej komunistycznej utopii. Polacy poznali ten konflikt nie z teoretycznych rozważań, lecz na własnej

skórze. Kto zapomina o nie tak dawnej przeszłości, nie zrozumie specyfiki dzisiejszych problemów.

Rok 1989 przyniósł kres komunistycznego państwa. Jedną z nielicznych sprawnie działających instytucji pozostawał wówczas Kościół katolicki. Sytuacja wewnętrzna kraju istotnie się zmieniła — w miejsce dwubiegunowych zmagania politycznych, wyznaczonych przez opozycję „my” i „oni”, pojawiła się tłumiona uprzednio barwna wielość poglądów. Nowe państwo miało zagwarantować miejsce dla każdego obywatela i jego przekonań. W kontekście relacji państwo — Kościół wyraz daje temu art. 25 ust. 2 Konstytucji RP z 1997 roku, głoszący, że: „Władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych, zapewniając swobodę ich wyrażania w życiu publicznym”.

Niezależnie od obowiązujących przepisów wszystkim nam powinno zależeć na ścisłym rozdziale Kościoła od państwa. Nie może być on jednak rozumiany w oderwaniu od polskiej specyfiki i nie powinien degenerować się w wulgarny antyklerykalizm. Liberalowie powinni dbać o ramy liberalnej demokracji, w których odbywają się najważniejsze spory światopoglądowe. Te żarliwe dyskusje nie wygasną, bo — jak poucza nas historia i terażniejszość — do tychczas nie wygasły nigdzie na świecie. Dla liberałów oczywiście miłe są te rozwiązania, które gwarantują jednostce wolność wyboru. Jednak nieraz mogliśmy się przekonać, że nawet przegrana w sporach światopoglądowych nie jest końcem świata, ale początkiem lobbowania za zmianami w ustawodawstwie. Dbanie o liberalny kościec naszego prawa oraz interpretowanie relacji pomiędzy państwem a instytucjami kościelnymi to nieustający proces. Dobitnie przekonują o tym niedawne kontrowersje (o paneuropejskiej zaiste skali) w sprawie *Lautsi przeciwko Włochom*. Soile Lautsi,

pochodząca z Finlandii obywatelka Włoch, stwierdziła, że krzyż w szkole publicznej narusza prawo do zapewnienia wychowania i nauczania jej dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem religijnymi i filozoficznymi oraz wolność sumienia i wyznania. Jej protesty zawiodyły ją aż do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, gdzie w dwóch instancjach... wydano dwa sprzeczne ze sobą wyroki (*sic!*). Trudno chyba o lepszą metaforę sytuacji, w której aktualnie znajdujemy się wraz z pozostałymi państwami Starego Kontynentu. Grzegorz Brzozowski z „Kultury Liberalnej” na marginesie tych sporów przypominał, że: „jedyną pewną stawką takich sporów zdaje się, niestety, właśnie budowanie wokół krzyża (lub jego zdjęcia) kapitału politycznego określonych stronnictw — a w tak pojętym sporze interes obywateli schodzi na dalszy plan”.

Spoza sporów o wieszanie krzyży w instytucjach publicznych czy, jak aktualnie w Polsce, o dopuszczalność stosowania metody *in vitro* warto dojrzeć inne kwestie. Jerzy Giedroyc, intelektualny patron polskiej wolności, wyraźnie wskazywał, że są takie sytuacje, w których interes państwa polskiego i interes Kościoła katolickiego mogą wchodzić w konflikt — na przykład polityka zagraniczna na Wschodzie czy sprawa odzyskiwania majątku przez Kościół i oddawanie budynków, w których wcześniej urzędowała administracja państwowa.

To są konkrety, które mogą przekonać obywateli, że nie chodzi o walkę z Kościołem spod znaku ordynarnych antyklerykałów, ale o pracę nad sensownym budowaniem państwa polskiego, które zapewnia niezbędną przestrzeń wolności dla każdej Janiny Nowak i każdego Jana Kowalskiego. Granice wolności nie mogą być z założenia dziurawe i niewyraźne. A jednocześnie „wolność nieczym nieograniczona staje się pojęciowo niemożliwa”, jak przy-

pominał Leszek Kołakowski, mówiąc, że „państwo radykalnie liberalne to utopia, która obraca się przeciw sobie”.

Właśnie dlatego poznanie kontekstu, w którym realizują się nasze działania, jest tak istotne. Doskonale wiemy, że nawet pojęcia „państwa minimum” czy „maksimum” są nieostre i każdorazowo wymagają dookreślenia. Ważne jest zatem doświadczenie danej wspólnoty, które pojęcia z liberalnego katalogu zapełnia treścią.

Jarosław Kuisz — adiunkt na Wydziale Prawa i Administracji UW, wykładowca w Kolegium MISH UW, redaktor naczelny tygodnika internetowego „Kultura Liberalna”.

Paweł Marczewski — adiunkt w Instytucie Socjologii UW, zajmuje się historią myśli społecznej i politycznej. Współzałożyciel i redaktor tygodnika „Kultura Liberalna”, członek redakcji kwartalnika „Przegląd Polityczny”, stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

Rozbudowany i zmieniony wyimek z tekstu pt. *O liberalizm Europy Środkowo-Wschodniej*, dostępnego w tygodniku internetowym „Kultura Liberalna” pod adresem: <http://kultura-liberalna.pl/2010/12/12/kuisz-marczewski-o-liberalizm-europy-srodkowo-wschodniej/>

MUR ROZDZIAŁU

Rok 1802. Prezydent USA Thomas Jefferson w odpowiedzi na list Danbury Baptist Association pisze: „Będąc przekonanym, że religia jest kwestią pomiędzy człowiekiem a jego Bogiem i jedynie przed nim człowiek jest odpowiedzialny za swoją wiarę, natomiast rząd ma obowiązek skupić się na działaniach, a nie opiniach, uważam, że akt woli całego amerykańskiego narodu, który zdecydował, że »Kongres nie może stanowić ustaw wprowadzających religię lub zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych«, oznacza wybudowanie muru pomiędzy Kościołem a państwem”.

Zwrot Jeffersona wyznacza narodziny jednego z najbardziej radykalnych pomysłów, jakie odziedziczyliśmy po rewolucji amerykańskiej. Mianowicie: zasada tolerancji religijnej jest nieodpowiednia, religia powinna być uznawana za sprawę prywatną oraz nie może kolidować z ustawodawczą i wykonawczą działalnością państwa. Powinien istnieć „mur rozdziału pomiędzy Kościołem a państwem” — neutralny mur, który strzeże zarówno liberalnego charakteru państwa, jak i swobód religijnych.

Zasada podziału nie neguje zasady tolerancji religijnej. Przeciwnie — wzbogaca ją. Nie pozwala ani na ekstremizm teokracji,

ani na interwencję Kościoła w procesie legislacyjnym państwa. Nie narzuca siłą ani świeckości (rodzaj francuski), ani ateizmu (rodzaj stalinowski). (Ustrój radziecki nie mógł wybrać drogi neutralności i, podążając za swoimi dogmatami, zdecydował się na bezpośrednią interwencję: zderzył się z religią i zniósł wszelkie przejawy tolerancji religijnej. Celem było zastąpienie metafizycznych dogmatów istniejących religii agresywną doktryną komunistycznej utopii). Tradycja liberalna nie stoi w bezpośrednim konflikcie z religiami. Nie sprzeciwia się także ich stałemu rozwojowi i wzrostowi liczby wiernych. Dzięki temu „mur rozdziału” nie jest identyfikowany jako ograniczenie dla religii przez państwo, ale jako ograniczenie ram, w których państwo może stanowić prawo. *Lemon Test* (1971), który definiuje konstytucyjne granice władzy ustawodawczej w USA, jest prawdopodobnie najbardziej wszechstronnym zastosowaniem zasady rozdziału. Prawo, aby być zgodne z konstytucją, musi: a) mieć świecki legislacyjny cel, b) nie mieć podstawowego wpływu ani na postęp, ani na hamowanie religii oraz c) nie powodować nadmiernego „uwikłania rządu” w religię.

Nie ma wątpliwości, że religie są ważnymi elementami tradycji społeczeństwa i że mają one wpływ na rozumienie pojęcia moralności. W liberalnym społeczeństwie, w którym brakuje struktur centralnych do kierowania jego rozwojem, tradycja jest spoiwem łączącym obywateli, a także sferą, dzięki której rozwijają oni swoje instynkty, poglądy i pomysły. Pomimo że radykalne zerwanie z tradycją może być zagrożeniem dla liberalnej kultury, negatywne skutki, jakie mogą wywołać anachroniczne instytucje, nie mogą pozostać niezauważone. A przenikanie się Kościoła i państwa jest właśnie takim anachronicznym procesem — ogranicza nie tylko religię w wąskich ramach określanych przez wybory zmieniających się większości, lecz także jakkolwiek postęp społeczny,

który jest możliwy tylko w drodze otwartego dialogu i w duchu sceptycyzmu. Rządy prawa to zjawisko dynamiczne, ewoluujące i, co oczywiste, niezgodne z rozległymi przywilejami kościelnymi.

Tam gdzie państwo odgrywa rolę partnera lub patrona Kościoła, pierwszą ofiarą tego układu jest poszanowanie indywidualnych praw obywateli. Nie odnoszę się tu do krajów, gdzie reżimy teokratyczne wykazują kompletny brak szacunku dla demokracji pod byle pretekstem. W krajach tych pojawienie się religijnego fanatyzmu było prawdopodobnie nieuniknione. Jego natychmiastowym rezultatem stała się nieskrępowana przemoc, którą odczuli nie tylko obywatele tych krajów. Masowy terror sponsorowany przez władze, deptanie praw kobiet, tolerancja wobec barbarzyńskich zwyczajów, zakaz zabiegów *in vitro* i aborcji, ograniczenie badań naukowych — to w teokracjach częste zjawiska. Nie można nie wspomnieć, że liberalne zachodnie demokracje poniosły klęskę, jeśli chodzi o wspieranie praw obywatelskich w krajach, w których są one zagrożone. (Ta słabość częściowo spowodowana jest przez krajowe elity religijne, które promują swego rodzaju relatywizm kulturowy).

Nawet w przypadku krajów, gdzie wolność religijna jest przestrzegana, naturalną konsekwencją przywilejów dla Kościołów jest nieunikniony konflikt z zasadą równych praw i częstokroć z wolnością wypowiedzi — być może najważniejszym filarem demokracji liberalnej. Otwarta krytyka nie zawsze jest mile widziana przez zorganizowane religie, ponieważ może zagrażać ich uprzywilejowanej pozycji. Zatem zabrania się prozelityzmu i wprowadza cenzurę w postaci zakazu bluźnierstwa i zniesławiania religijnych dogmatów. Strażnicy moralności absolutnej nie mogą zaakceptować niczego, co wykracza poza metafizyczne kategorie ich myślenia.

Oczywiście ludzie mają prawo do pozostania wiernym swoim wyborom moralnym w życiu prywatnym, ale przestrzeń publicz-

na musi pozostać otwarta na dyskurs polityczny i walkę idei. Szacunek dla różnych systemów moralności oraz eliminacja wszelkich działań związanych z tłumieniem wolności słowa to podstawowe czynniki umożliwiające taki dyskurs. Liberalne demokracje, jeśli mają nadal rozwijać poczucie sprawiedliwości, nie mogą przetrwać bez poszanowania różnorodności i indywidualności. Społeczeństwo ciągłego i otwartego dialogu nie może współistnieć z narzuconymi przez państwo religijnymi monopolami.

Specjalne przywileje mogą być jednak szkodliwe dla samych Kościołów i roli społecznej, którą chcą one ucieleśniać. Adam Smith w *Bogactwie narodów* przedstawił szereg dowodów wskazujących na to, że Kościół Anglii stał się obojętny wobec potrzeb Brytyjczyków z powodu swojej uprzywilejowanej pozycji, którą gwarantował mu rząd. Autor przekonywał, że jedynym sposobem, aby poradzić sobie z lenistwem przywództwa Kościoła, jest odebranie tych przywilejów i zachęcanie do konkutowania z innymi Kościołami. Ekonomista Gary Backer mówi, że rola Kościoła, mierzona liczbą osób, które często do niego uczęszczają, jest znacznie większa tam, gdzie istnieją Kościoły konkurencyjne, niż w krajach z jednym monopolistycznym Kościołem. To, że liberalizm nie stoi w konflikcie z religiami, jest oczywiste. Mimo że kilka religii ze względów teologicznych koliduje z koncepcją społeczeństwa otwartego, tradycja liberalna unika krytyki religijnych obywateli. Dopóki ich działania mieszczą się w granicach poszanowania wolności indywidualnej i państwo nie bierze udziału we wspieraniu lub prześladowaniu żadnej religii, liberalna postawa jest postawą neutralności.

Większość filozofów reprezentujących tradycję liberalną ma tendencję do umiarkowanego agnostycyzmu, a nie do dogmatycznego wyznawania jakiegokolwiek religii. Byłoby hipokryzją nie odnotować

tego faktu. To dość oczywiste: ich filozofia popiera otwartość, stanowi zaprzeczenie historycyzmu i stoi w opozycji do jakiegokolwiek formy absolutnej interpretacji moralności i prawa. W liberalizmie zasada poszanowania indywidualności i wolności przekonań ma przewagę nad wszelkimi osobistymi wyborami filozoficznymi. Stąd też dla liberałów oskarżanie religii lub bezpośredni konflikt z wyborami religijnymi obywateli są po prostu niewyobrażalne.

Konflikt staje się jednak nieunikniony, gdy zagrożone są prawa obywatelskie i otwarte społeczeństwo. W ostatnich latach, niestety, pojawiła się tendencja, aby zmiękczać zasadę oddzielania Kościoła od państwa, przez co w pewnym stopniu wraca się do epoki religii państwowej i specjalnych przywilejów. Poprzez zakaz bluźnierstwa i zniesławiania religii oraz ściganie „mowy nienawiści” zorganizowane Kościoły starają się unikać wolnego, nieskrępowanego dyskursu. W ramach ONZ próbę takiego działania zainicjował blok islamski — dotyczy ona zakazu „zniesławiania” i ochrony przed krytyką, która spada na islam w ostatnich latach, częściowo ze względu na tolerancję terroryzmu i łamanie praw człowieka. Pierwotnym celem tego wniosku było nie tylko uciszenie wszystkich głosów, które nie zgadzają się z absolutyzmem moralności religijnej, lecz także uprawomocnienie walki z krytyką, która mogłaby stanowić zagrożenie dla monopolu islamu w danym kraju. Liberałowie próbują na arenie międzynarodowej odwrócić tę tendencję. Bez tworzenia szerszej koalicji społeczeństw jest mało prawdopodobne, że uda się zapobiec legalizacji cenzury.

Oddzielenie Kościoła od państwa nie ma na celu aktywnego wspierania jakichkolwiek przekonań. Co do zasady nie może być interpretowane jako atak na jakikolwiek Kościół czy wiarę. Najważniejsze jest zapewnienie ochrony wolności osobistej i prawa do samodzielnego decydowania o sprawach wiary — a to będzie

możliwe dopiero, gdy wiarę zacznie się traktować jako coś prywatnego. Głównym wyzwaniem stojącym przed liberalizmem jest więc uwolnienie religii od państwowej kontroli i uwolnienie państwa świeckiego od sfery metafizyki.

Georgios Sarigiannidis — pisarz polityczny, były przewodniczący greckiej libertariańskiej partii politycznej Liberalny Sojusz, współpracownik greckiego liberalnego think-tanku Forum dla Grecji.

NOWOCZESNY
PATRIOTYZM

PATRIOTYZM WSPÓŁPRACY, PATRIOTYZM SPORU

Przeszłość nie jest zamkniętym monolitem, ale żywą i podlegającą interpretacjom tkanką. Spójrzmy więc na nią krytycznie.

Najbardziej rozpowszechniony model patriotyzmu w Polsce to zbiór mitycznych i ikonograficznych motywów zanurzonych w odniesieniach do przeszłości. Krew na śniegu — biało-czerwona flaga. Bycie „Polakiem małym” z wiersza Władysława Bełzy. Romantyczne wyobrażenie o moralnej wygranej pomimo faktycznej klęski (powstania narodowe).

Taki patriotyzm, zwany niekiedy republikańskim, żąda większego oddania wspólnocie niż swoim własnym sprawom. Jest prawie ponad ludzkie siły, a jednak przekonuje, że poświęcenie to radosne oddanie siebie. Naturalna jest dla niego silna koncentracja na historii. Taka instynktowna miłość do ojczyzny, jak pisał niegdyś Alexis de Tocqueville, nie rozumuje, ale „czuje, wierzy, działa”. Zaś Michael Walzer ostrzegwał, że oparta jest ona zawsze na — nieważne jak szlachetnych — kłamstwach. Patriotyzm taki kwitnie zwykle w krajach będących w trudnej sytuacji, niepewnych jutra, biednych. Jednak Polacy mają to szczęście, że nie żyją już w trud-

nych czasach. W październiku 2009 roku podano, że znaleźliśmy się wśród najbogatszych państw świata. Ostatnie 20 lat, mimo wszystkich niepowodzeń i niedoskonałości, to sukces polskiej demokracji i wolności. Czas nauczyć się nowego patriotyzmu.

Jak miałyby on wyglądać? Proponujemy dwa nowe rozumienia patriotyzmu, lepiej odpowiadające momentowi, w którym się znaleźliśmy. Po pierwsze patriotyzm współpracy. Jeśli patriotyzm jest z jednej strony przywiązaniem do narodowych bohaterów, mitów i ikonografii, a z drugiej — myśleniem o współczesnym interesie kraju i społeczeństwa, to te dwa podejścia są ze sobą sprzeczne. To tak, jakby wizja firmy była inna niż jej cele. Tym, co w arbitralnym konstrukcie, jakim jest „ojczyzna”, jest realne, są ludzie. Inny mi słowy — polskim aktywem *hic et nunc* jesteśmy my sami. Oznacza to, że jeśli my będziemy się rozwijać, razem z nami będzie się modernizować Polska. Pojęcie współpracy sprowadza się do najprostszych codziennych decyzji i działań. Zróbmy więc taki test: zaplanujmy i zrealizujmy coś wspólnie z sąsiadami. Coś, na czym być może inni skorzystają bardziej niż my. Okaze się, że to trudna próba. Czasem zupełna bezinteresowność jest łatwiejsza niż współpraca w celu osiągnięcia korzyści, jeśli już w punkcie wyjścia nie są one równe. Jednak taki sprawdzian bardzo by nam się przydał. Kiedy nie mówimy: „Moje dziecko jest w ostatniej klasie, więc dlaczego miałbym przejmować się dalszymi losami szkoły?”, ale próbujemy zrobić coś wspólnie — wtedy mamy szansę rozwinięcia patriotyzmu współpracy u najmłodszych.

Aby takie postawy utrwały się, potrzebna będzie gruntowna przebudowa polskiej szkoły. W toku edukacji przez kilkanaście lat uczymy się, jak spodobać się nauczycielowi i być pierwszym w klasie, a nie, jak radzić sobie wśród równych. Dzieci, które dzisiaj chodzą do szkoły, w przyszłości będą miały do czynienia ze

zglobalizowanym światem wielu kultur i wielu języków. Jako solistom będzie im trudno sobie w nim poradzić. Co innego, gdy nauczą się ze sobą współpracować. Zaliczanie grupowe niektórych przedmiotów — to byłby bardzo dobry początek.

Po drugie patriotyzm sporu. Zaznaczmy: konstruktywnego. Nie chodzi bynajmniej o kłótnie, które dziś najczęściej prowadzimy w sferze publicznej, o to, kto jest lepszym, a kto gorszym Polakiem, kto jest bardziej prawy, a kto jest zdrajcą. Przypomnijmy słynne wezwanie Thomasa Jeffersona: „Nie każda różnica opinii jest różnicą podstawowych zasad”. Amerykanie, jak podpowiada nam Jefferson, mogą spierać się o opinie, wiedząc, że ostatecznie wyznają te same zasady.

W Polsce wciąż definiujemy się w pierwszym rządzie nie jako demokraci, konserwatyści czy liberałowie, ale przede wszystkim jako Polacy. Z braku rzetelnych i spokojnych sporów o opinie kłócimy się o prawdziwość swojej tożsamości. Zupełnie tak, jakbyśmy mogli ją sobie wybrać. I jakby można było ją w przejrzysty sposób zdefiniować. Stąd propozycja patriotyzmu sporu, który byłby dyskusją o opiniach (choć czasem pewnie także wielką debatą o podstawowych zasadach). O przykłady znów nietrudno. Wiele mogłaby nam dać dyskusja na temat historii, w której tkwią przecież głębokie źródła naszej tożsamości i poglądów, czy też wręcz zmiana nauczania i myślenia o historii w ogóle. Polacy, jak reszta Europy, coraz lepiej zdają sobie dziś sprawę, że przeszłość nie jest zamkniętym monolitem, ale żywą i podlegającą interpretacjom tkanką. Spójrzmy więc na nią krytycznie. Zamiast mówić tylko o bohaterach przegranych powstań porozmawiajmy też o tych momentach w historii, w których popełniliśmy poważne błędy. Spierajmy się o interpretacje kluczowych wydarzeń. Warto przypomnieć o tolerancji i wielokulturowości Polski — i jednocześnie krytycz-

nie przeświecić związane z nimi idealizacje i mity. Właściwie rozumiany spór z czasem może nauczyć nas pewności siebie i tolerancyjności, pozwolić nie tylko wypracowywać wspólne stanowiska, lecz także budować je.

Sięgnijmy ponownie do historii, by zobaczyć, że ostatnie trzy dekady polskiej historii można zinterpretować jako kolejne kompromisy, zawierane często w bardzo trudnych warunkach. Na tym polegały między innymi „Solidarność” i Okrągły Stół. Z tą właśnie myślą organizowaliśmy w tym roku Kongres Wolności, który był nie tylko spotkaniem, lecz także dyskusją różnych środowisk liberalnych. Zastanowieniem się, gdzie w Polsce wolności ciągle brakuje i jak najlepiej można ją wykorzystać.

Spory o opinie warto kontynuować na poziomie europejskim. Wybitny filozof niemiecki Peter Sloterdijk proponował, by za mit założycielski Europy uznać historię Eneasza: człowieka, który zostawił wszystko i wyjechał, by założyć nowe miasto. Polacy, tak samo jak inne europejskie narody, mogą dziś „wyemigrować” (choć jednocześnie, do pewnego stopnia, pozostać sobą). Wyemigrować: ze swoich wąskich narodowych tożsamości do szerokiej, opartej na więzce najważniejszych zasad tożsamości europejskiej.

Zatem pakujmy się i jedźmy. Pamiętając jeszcze o jednym. Liberalizm — możliwe, że i liberalna demokracja — to system polityczny zmierzający po pierwsze do wzajemnego oświecania się obywateli poprzez Millowską wymianę opinii, a po drugie do stopniowego zaspokojenia ich potrzeb. Niesie on ze sobą również poważne zagrożenie — jego racjonalność współistnieje z pewnym chłodem i nieprzystawaniem do skomplikowanej ludzkiej natury. Tymczasem katastrofy naturalne, zamachy i wypadki losowe mają potężną moc oddziaływania na jednostki, przekształcania w niespodziewany sposób nastrojów społecznych, zmieniania biegu

historii. Słowem, wrywania nas z błogostanu racjonalnego porządku. Jeśli zdamy się wówczas tylko na emocje, okazemy się szczególnie podatni na wysiłki wszelkiej maści demagogów i politycznych hochsztaplerów.

To, czego potrzebujemy, to trening w oswojaniu emocji rozumem i szacunek dla opinii, których w pierwszym odruchu nie byłibyśmy skłonni zaakceptować.

Liberalizm potrzebuje serca. Patriotyzm współpracy, patriotyzm sporu — mogą być tym sercem.

Karolina Wigura — socjolożka i dziennikarka, adiunktka w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, członkini Rady Programowej Kongresu Kobiet, członkini redakcji „Kultury Liberalnej”.

Szymon Gutkowski — matematyk, dyrektor generalny agencji reklamowej DDB, przewodniczący Stowarzyszenia Projekt: Polska, społeczny doradca Prezydenta RP.

Tekst powstał z okazji Kongresu: Wolność w Nowoczesnym Świecie, który odbył się w Warszawie w dniach 21—23 maja 2010 r. z inicjatywy Fundacji Projekt: Polska. Tekst ukazał się w „Gazecie Wyborczej”.

TRAMWAJ ZWANY PATRIOTYZMEM

„Łatwo jest mówić o Polsce, trudniej dla niej pracować, jeszcze trudniej umrzeć, a najtrudniej cierpieć”. To zdanie, napisane na ścianie więzienia Gestapo w alei Szucha, było jednym z tych, które najbardziej zapadły mi w pamięć w czasach harcerstwa. Trafiłem do fajnej drużyny, dla której tradycja Szarych Szeregów była ważniejsza niż wytyczne dotyczące wychowania w duchu socjalistycznym.

Później przypomniałem sobie te słowa, kiedy na samym początku stanu wojennego, w styczniu 1982 roku, poszukiwałem piwnic, w których można by gromadzić papier dla podziemnych wydawnictw. Trafiłem do różnych ludzi, często niezwykle szacownych pracowników naukowych, intelektualistów, osób otwarcie deklarujących niechęć do Związku Radzieckiego, PZPR i ich militarnych awantur. Jakież było moje zdziwienie, rozczarowanie i wkurzenie, kiedy znakomita ich większość odmawiała mi pod najdziwniejszymi pretekstami (choć nikt nie przyznał się do tego, co wydawało mi się najbardziej oczywiste — do strachu). Najczęściej powtarzało się uzasadnienie, że nie mogą mi pomóc, „bo trzeba chronić substancję narodową”. Nie rozumiałem, co ma substancja narodowa do kilkudziesięciu ryz papieru w komórce. Czy tę substancję

trzymali w piwnicy i bali się, że papier ją przygniecie? Do dziś nie jest to dla mnie jasne. Ale nie jest też dla mnie jasne, czy gdyby wszyscy przyłączyli się do solidarnościowego podziemia, do Polski nie wkroczyliby wówczas Ruscy. Swoje zdanie na ten temat na pewno miałyby margrabia Wielopolski. Ale on już nie żyje.

Pamiętam zresztą, że po wprowadzeniu stanu wojennego liczące kilka osób podziemne organizacje studenckie i uczniowskie powstawały jak grzyby po deszczu. Ich członkowie spotykali się i stanowczo deklarowali prowadzenie wojny z komuną. Nadawali tym zrzeszeniom bardzo efektowne nazwy. Zauważyłem pewną prawidłowość: im bardziej egzaltowana, wojownicza i patriotyczna była ta nazwa, tym mniej wysiłku organizacja była gotowa włożyć w działania podziemia.

Tymczasem po 1990 roku ludzie, którzy w trudnych czasach zachowywali się wspaniale, przestali odróżniać interes społeczny od własnego. Wiedza, jak zorganizować podziemną drukarnię, okazała się bardzo przydatna do tego, żeby założyć firmę i wyciągnąć maksimum korzyści z tego, że koledzy z podziemia podejmowali decyzje w administracji czy samorządach. Wiem, że to krzywdzące, bo dotyczy mniejszości ludzi z podziemia, ale tak się składa, że po Okrągłym Stole trafiłem do Urzędu Ochrony Państwa i musiałem różne brudy oglądać na co dzień. Było to tym bardziej denerwujące, że działo się nadal w otocze patriotycznych haseł. Wtedy dotarło do mnie, że prawdziwy patriotyzm w czasach pokoju i stabilizacji polega na zarabianiu pieniędzy i uczciwym płaceniu podatków. Nie umiałem jednak tych wniosków przełożyć na konkretne zachowanie. Gdybym dzisiaj odpowiadał za nabór do służb wymagających szczególnych kwalifikacji, osoby o najlepszym przygotowaniu, deklarujące, że chcą służyć ojczyźnie, odeślałbym do... biznesu.

Początek lat 90., ale też druga połowa pierwszej dekady XXI wieku, nauczyły nas, że obnoszenie się z gębą pełną frazesów nie oznacza patriotyzmu, lecz koniunkturalizm. Czy jednak cisza i skupienie oznaczają gotowość do poświęcenia dla ojczyzny? Tego nie wiem.

Być może odpowiedzią na brak wystarczającego zaangażowania w sprawy publiczne jest budowa społeczeństwa obywatelskiego. Ale to zależy od tego, jak się to społeczne zaangażowanie buduje. Na pewno nie ma to nic wspólnego z organizowaniem akcji w rodzaju: urząd skarbowy na wesoło. Już prędzej opieka nad cierpiącymi w hospicjum. A z całą pewnością wspólne, świadome zaangażowanie w poprawę bezpieczeństwa, poziomu edukacji czy stanu służby zdrowia.

Wzory patriotyzmu, które wpajano nam w szkole, opierają się na postawach żołnierzy kolejnych powstań. Dlatego lekceważymy ofiary takich ludzi jak Piotr Stańczak, który nie był żołnierzem, ale geologiem. Nie pojechał walczyć z terroryzmem, lecz szukać minerałów. Zginął w sposób, od wspomnienia którego najdzielniejszym wojskowym przechodzą dreszcze po plecach. O tym, że gdyby do najbiedniejszych krajów wysłać zamiast tysięcy żołnierzy setki takich Piotrów Stańczaków, to mogłoby się okazać, że wojna z terroryzmem nie byłaby potrzebna — wolimy nie myśleć.

Czy chcę przez to powiedzieć, że polscy żołnierze pojechali do Iraku i Afganistanu niepotrzebnie? Że odmawiam im patriotyzmu? Jestem od tego daleki. Nie będę powtarzał frazesów o międzynarodowych zobowiązaniach, bo to argument do bólu zużyty. Tym bardziej że się z nim zgadzam. Ale pomysł, że polskie wojsko powinno jechać na te misje, które mogą przynieść naszej gospodarce jakąś korzyść, uważam za kompromitujący (i skompromitowany). Odłóżmy na bok Irak i Afganistan. Polscy żołnierze byli też na Haiti i w Czadzie. W żadnym z tych krajów polska gospodarka nie

miała żadnych interesów. Na Haiti żołnierze GROM-u byli dlatego, że obywatele tego państwa trzeba było bronić przed ich własnym prezydentem — bezwzględnym dyktatorem. W Czadzie konieczna okazała się ochrona uchodźców z Darfuru. Jaki argument posłał tam polskich żołnierzy? Widzę tylko jeden: etyczny. Czy ma to coś wspólnego z patriotyzmem? A może udział w misji wojskowej z pobudek etycznych jest tak samo uzasadniony, jak udział związany z interesem gospodarczym. A może nawet bardziej. Szczególnie w Polsce, która niezwykle dużo zawdzięcza pomocy międzynarodowej podyktowanej odruchem sumienia.

Józef Piłsudski powiedział, że „wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość”. Poglądy polityczne podporządkował patriotyzmowi. Takie to były czasy. A na którym przystanku powinien wsiąść współczesny patriota? Chyba na przystanku: budowa dobrobytu i umiejętność dzielenia się (niekoniecznie ze współobywatelami).

Piotr Niemczyk — w latach 80. działacz NSZZ „Solidarność”, były wiceminister gospodarki, były wiceszef Urzędu Ochrony Państwa.

LIBERALNA DEFINICJA NACJONALIZMU

Liberalizm oferuje kilka teorii na temat relacji pomiędzy wolnością osobistą i wolnością narodową. Chociaż nie zabrania on silnej identyfikacji z krajem, którego obywatelstwo się posiada, niektórzy twierdzą, że wolność osobista jest nie do pogodzenia z nacjonalizmem, mimo że tego ostatniego ani nie definiują, ani nie przedstawiają różnych jego rodzajów. Stoją oni na stanowisku, że liberalizm jest przeciwieństwem nacjonalizmu, ponieważ jest zorientowany na jednostkę, na wolność osobistą, a nacjonalizm — na wspólnotę. Nie można by się z nimi kłócić, gdyby nacjonalizm rzeczywiście oznaczał całkowite i niedobrowolne podporządkowanie jednostki kolektywnemu projektowi, gdyby oznaczał dążenie do jakiegoś niedemokratycznie wybranego celu.

Nie zgadzam się z esencjalistycznymi koncepcjami narodu, które definiują go sztywno jako element niezmienny, oparty jedynie na legitymacji historycznej, definiowany poprzez cechy obiektywne, jak język, terytorium czy kultura. Cechy te są istotne, ponieważ stanowią punkt wyjścia do stworzenia narodu dobrowolnego. Inaczej mówiąc, to dzięki nim obywatele mogą wyrażać swoją wolę powołania demokratycznego narodu.

Liberalny nacjonalizm opiera się na szacunku dla dobrowolnych porozumień pomiędzy jednostkami i dla ich demokratycznych decyzji. W związku z tym sprzeciwia się niedemokratycznym kryteriom pojęcia narodu reprezentowanym przez nacjonalizmy państwowe, takie jak hiszpański czy francuski, które stoją na stanowisku, że istnienie przez 500 lat państwa dowodzi istnienia jednego narodu na ich terytorium. Jednakże gdybyśmy przyjęli, że bycie nacjonalistą oznacza walkę o prawa większości obywateli zamieszkujących dane terytorium do zrzeszania się, samorządności i demokratycznego stanowienia o sobie, łącznie z decyzją o dzieleniu się lub własnej suwerenności, wówczas bez wątpienia nazwałbym siebie nacjonalistą.

Liberalizm i polityczna walka o uznanie praw narodów nie są ze sobą sprzeczne, lecz wzajemnie się wzmacniają. Wolne jednostki zrzeszają się w sposób naturalny, tworząc wspólnoty narodowe, których rozwój wspomaga rozwój ich samych. Wolności osobiste wraz z prawami człowieka, które są nieodłącznie związane z liberalizmem, są bezużyteczne tam, gdzie państwo zawodzi i gdzie nie istnieje stowarzyszenie wolnych ludzi zdolne do powołania państwa, które chroniłoby własność prywatną i gwarantowało bezpieczeństwo.

My wszyscy, przekonani, że wolność osobista jest wartością nadrzędną, sympatyzujemy z narodami ukształtowanymi poprzez samoistną i dobrowolną interakcję między ludźmi — z narodami samoistnymi, które nie są owocem niedemokratycznych decyzji, wytworem inżynierii społecznej narzuconej przez siłę aparatu państwowego. Fakt, że mówi się językiem galicyjskim od Ribadeo po Tui i od Fisterry po O Barco de Valdeorras (najdalej wysunięte punkty na mapie Galicji), nie jest związany z tym, że ktoś tak odgórnie zarządził. Natomiast fakt, że mówi się po hisz-

pańsku od A Coruñy po Murcję, a po francusku od Brestu po Perpignan, jest pokłosiem interwencjonistycznej decyzji, oczywiście antyliberalnej, uderzającej w jednostki, narzuconej przez władzę niewybraną demokratycznie. To przykład nacjonalizmu nie do pogodzenia z liberalizmem.

Liberalizm zatem powinien identyfikować się z narodami powstałymi w wyniku ludzkiego współdziałania, a nie inżynierii politycznej, której nie da się pogodzić z wolnością.

W związku z powyższym da się wyróżnić dwa rodzaje nacjonalizmu, w zależności od jego stosunku do wolności osobistej, a w konsekwencji — do liberalizmu. Ludwig von Mises twierdzi, że „naród potwierdza codziennie swą egzystencję poprzez chęć współpracy politycznej w ramach państwa [...], naród nie ma więc prawa powiedzenia prowincji: należysz do mnie [...]. Prowincja składa się ze swych mieszkańców. Jeśli ktoś w takim układzie ma prawo być wysłuchanym, są to właśnie mieszkańcy. Decyzje o granicach powinny rozstrzygać się w plebiscytach”. Mises tym samym przyznaje mieszkańcom prawo do samodecydowania. W *Narodzie, państwie i gospodarce* (1919) zrównuje istnienie narodu ze wspólnotą językową i mówi o wolności narodów jako o naturalnym przedłużeniu wolności indywidualnej. Jest to przykład myślenia liberalnego, które przyjmuje język jako czynnik decydujący o przynależności narodowej i jednocześnie nie uwzględnia elementów rasowych.

Austriacki autor definiuje dwie kategorie nacjonalizmu: liberalny bądź pacyfistyczny oraz militarystyczny bądź imperialistyczny. Ten drugi oznacza podporządkowanie całego terytorium zdobywcy, natomiast nacjonalizm liberalny „przeciwstawia mu zasadę samostanowienia ludów, w konsekwencji — prawa człowieka. Żaden lud i żadna jego część nie powinna tkwić wbrew swej woli

w związku państwowym, który odrzuca. Naród polityczny oznacza wyraz wspólnoty tych, którzy w duchu wolności chcą utworzyć Państwo”. Liberalny nacjonalizm jest z założenia pacyfistyczny i w jego ramach pojęcie narodowości nie jest tworzone przeciwko innym narodom, lecz przeciw tyranowi utożsamianemu z państwem, które ogranicza prawo do samostanowienia. Takim tyranem może okazać się większość państwowa wobec mniejszości narodowych. Hiszpania jest tego najlepszym przykładem. Suwerenem są obywatele państwa, co umożliwiła ograniczanie przez większość prawa do samostanowienia grupom, które są mniej liczne. A ponieważ grupom tym ogranicza się prawo do wyrażania swoich postulatów, nie wiadomo, jaki jest ich stosunek do pozostania w obecnych ramach państwowych. Nie istnieje w liberalnym nacjonalizmie sprzeczność pomiędzy nacjonalizmem a kosmopolityzmem. Liberalizm jest narodowy i kosmopolityczny jednocześnie. Jest także rewolucyjny, dążąc do obalenia władzy, która sprzeciwia się jego zasadom, i zarazem pacyfistyczny. Pragnie bowiem świata, w którym każdy naród może wybrać ramy państwowe; w którym szanuje się prawa człowieka, eliminując konflikty wojenne oraz promując współzależność handlową i wymianę gospodarczą korzystną dla wszystkich uczestników — a to utrwała pokój.

Jak na dłoni widać, że liberalizm stoi po stronie narodów bez państwa, takich jak Galicja, Szkocja, Galia, Katalonia, Kurdystan, Sahara, Quebec, Korsyka, Flandria, i ich praw do stworzenia struktur państwowych lub wypracowania innej formuły istnienia w ramach państwa poprzez referendum o samostanowieniu.

Liberalne zasady obowiązują także te kraje, które same wywalczyły powstanie własnej formy państwowej, takie jak Polska, Portugalia, Dania, Holandia, Słowenia czy Estonia. Nielatwo pogodzić

myślenie liberalne z obroną nienaruszalności granic, w szczególności w tych państwach, które same doświadczyły trudnych procesów samostanowienia. Jednakże także te narody, które same w trudzie wybiły się na niepodległość, nie mogą ograniczać prawa do samostanowienia grup zamieszkujących ich terytorium.

Niektórzy starają się sprowadzić prawo do samostanowienia do absurdu, głosząc, że jest to proces każący dzielić się bez końca. Takie myślenie jest bliskie nacjonalistom historycznym, a nie liberałom, którzy nigdy nie będą się sprzeciwiać woli większości co do swobodnego decydowania o własnym losie. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że samostanowienie nie jest synonimem niepodległości, lecz uznaniem prawa do decydowania o ustroju prawno-politycznym, w tym o dzieleniu lub nie własnej suwerenności. Suwerenność ta może zostać nawet zupełnie scedowana na inny podmiot, dlatego też idea Unii Europejskiej jest całkowicie zgodna z zasadą o samostanowieniu. Jest jedną z możliwości.

Wychodząc z założenia, że to język i kultura są podstawowymi elementami definiującymi samoistnie powstałe narody, możemy wskazać różne sytuacje: taką, w której w granicach jednego państwa istnieją różne wspólnoty językowe (Szwajcaria), oraz taką, w której naród niemiecki (definiowany lingwistycznie) jest podzielony na co najmniej trzy państwa (Niemcy, Austria, Szwajcaria). Zatem sam fakt, że Galicja i Portugalia oraz Flandria i Holandia posługują się tym samym językiem, nie prowadzi do konkluzji, że powinny one być połączone w jedno państwo. Kształt struktury państwowej musi być uzależniony od woli mieszkańców. Trzeba jednak podkreślić, że język nie jest ograniczeniem dla grup, które chcą same decydować o sobie w referendum, choć nie należą do wspólnoty lingwistycznej. Język to jedynie punkt odniesienia, który pomaga nam rozróżnić grupy narodowe. Nigdy

nie powinien stać się przeszkodą, w szczególności gdy jakaś część społeczności została wykluczona ze wspólnoty językowej w wyniku historycznych procesów dostosowawczych, tak jak w przypadku Galicji narzucenie języka hiszpańskiego nie może być argumentem z jednej strony za utrzymaniem jego monopolu w szkolnictwie, a z drugiej — przeciwko korzystaniu z języka galicyjskiego.

Kolejnym istotnym składnikiem nacjonalizmu liberalnego jest pełna wolność handlowa między narodami. Zamykanie granic, tworzenie barier dla wymiany dóbr i wprowadzanie protekcjonizmu prowadzi do organizacji gospodarki i społeczeństwa na zasadach autarkii, która jest jednoznaczna z radykalnym ubożeniem i powrotem do poziomu rozwoju z epok minionych. Jest to związane z międzynarodowym podziałem pracy. Żadna część globu nie dysponuje obecnie wystarczającą ilością środków produkcji, by sprostać potrzebom nowoczesnej ekonomii. Każde państwo zamknięte będzie poddawane ciągłej presji ze strony innych państw, by otworzyć granice w celu powiększenia rynków i pozyskania środków produkcji, co w konsekwencji doprowadzi do konfliktów i wojen. Mając powyższe na względzie, łatwo zrozumieć, że nacjonalizm protekcjonistyczny prowokował wielkie wojny — czego najjaskrawszym przykładem są nazistowskie Niemcy — i wciąż przyczynia się do powstawania konfliktów. Idea wolnego handlu między narodami to idea pokoju, podczas gdy idea autarkii i socjalizmu jest jednoznaczna z konfliktem i wojną.

Ostatnim składnikiem nacjonalizmu liberalnego jest swoboda migrowania oparta na podstawowych zasadach prawa, w szczególności prawa własności. Najważniejsze problemy związane z emigracją, jak narastanie fali ksenofobii i przemocy, które niosą za sobą ogromne koszty społeczne i polityczne, są spowodowane przez ludzi walczących o utrzymanie swojego dobrobytu rozumianego

jako prawo własności. Państwa nie powinny zamykać granic dla imigrantów, jeśli tylko są oni w stanie utrzymać się samodzielnie. Krótko mówiąc, państwo liberalne nie może ani zwalczać, ani zachęcać do migracji.

tłum. Miłosz Hodun

Carlos Vázquez Padín — galicyjski politolog i administratywista, założyciel liberalnego think-tanku Galidem oraz partii Convergencia XXI.

NARKOTYKI

WOLNOŚĆ TO ROZSADEK

Alkohol, papierosy i narkotyki pozwalają na osiągnięcie przyjemności i poprawę wydajności, ale są też używane jako lek na problemy i ból. Rozsądnie jest z nimi nie przesadzać. Ale dlaczego do jednych mamy pełny dostęp, a inne są restrykcyjnie zakazane?

Substancje stereotypowe

Zacznijmy od kilku faktów łamiących stereotypy na temat poszczególnych substancji psychoaktywnych. W Wielkiej Brytanii zbadano¹ wpływ 20 takich substancji na osoby je spożywające. Przy długotrwałym stosowaniu za najbardziej szkodliwe dla zdrowia uznano papierosy, potem heroinę, alkohol i marihuanę. Porównując alkohol, papierosy i marihuanę, za najbardziej fizycznie i psychicznie uzależniające uznano papierosy, za najmniej — marihuanę. Analogicznie rozkładają się koszty leczenia skutków używania poszczególnych używek. Alkohol powoduje zdecydowanie większe szkody społeczne niż marihuana i papierosy.

1 David Nutt, Leslie A. King, William Saulsbury, Colin Blakemore, *Development of a rational scale to assess the harm of drugs of potential misuse*, *Lancet* 2007, s. 369: 1047—1053.

Kampanie i operacje

Jak na dostępną wiedzę reaguje państwo polskie? Przestrzega przed alkoholem między innymi kampanią *Wyhamuj w porę*, a przed papierosami — naklejkami informującymi o zagrożeniu rakiem płuc. Natomiast użytkowników narkotyków straszy ustanowioną dziesięć lat temu karą za posiadanie każdej ilości substancji (Ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii). W rezultacie policja ściga przede wszystkim ludzi młodych i osoby uzależnione — ich łatwo namierzyć. Badania Instytutu Spraw Publicznych² i prof. Krzysztofa Krajewskiego³ potwierdzają, że takie działania powodują wykrycie niewielu handlarzy, nie zmniejszają ani podaży, ani popytu, za to kosztują niewspółmiernie dużo. Co więcej, wspomniana ustawa łamie bardzo ważną zasadę proporcjonalności kary do popełnionego czynu, bo czy groźba trzech lat więzienia za posiadanie skręta jest odpowiednia?

Globalna wojna

Polska praktyka reprezentuje ten rodzaj polityki narkotykowej, którego kluczowym elementem w ostatnich dziesięcioleciach była globalna wojna z narkotykami. Państwa w niej uczestniczące wydają co roku, między innymi poprzez ONZ, gigantyczne i wciąż rosnące sumy (USA w okresie 2000—2008 przeznaczyło 75 miliardów dolarów) na walkę z produkcją, przemytem, handlem i konsumpcją środków uznanych za zakazane — całkowicie bez efektu. Wiele wskazuje na to, że obecna strategia nie może zakończyć się sukcesem — wielkie

- 2 Ewelina Kuźmicz, Zofia Mielecka-Kubień, Dorota Wiszejko-Wierzbička, Raport *Karanie za posiadanie. Artykuł 62 ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii — koszty, czas, opinie*, Instytut Spraw Publicznych, 2009.
- 3 Krzysztof Krajewski, Raport z badań *Sprawy o posiadanie narkotyków w praktyce sądów krakowskich*, 2008.

operacje policyjne i wojskowe, a także masowe zatrzymywania, karanie i więzienie uzależnionych przynoszą efekt przeciwny do zamierzonego. Obecnie na świecie żyje około 210 milionów użytkowników, ceny narkotyków nigdy nie były tak niskie, a powierzchnia upraw opium wzrosła w ostatniej dekadzie o ponad 100%. Epidemia HIV (tylko za naszą wschodnią granicą mieszka około dwóch milionów osób uzależnionych od narkotyków i zakażonych wirusem) także świadczy o nieskuteczności globalnej polityki narkotykowej. W takich warunkach użytkownicy narkotyków chowają się przed policją, wymieniają między sobą igłami, nie mają dostępu do leczenia.

Redukcja szkód

Inną politykę stosują między innymi kraje „starej” Unii Europejskiej czy Australia. Na podstawie doświadczenia, badań, a przede wszystkim w zgodzie z prawami człowieka powstały odpowiednie metody pomocy uzależnionym, leczenia, a także unikania i minimalizowania zagrożeń związanych na przykład z HIV. W wielu krajach Europy Zachodniej udało się wśród osób iniekcyjnie używających narkotyków ograniczyć skalę zakażeń wirusem do poziomu błędu statystycznego dzięki zapewnieniu powszechnego dostępu do igieł i strzykawek oraz innych usług służących redukcji niebezpieczeństw związanych ze stosowaniem narkotyków. W Polsce punkty wymiany igieł i strzykawek — odkąd restrykcyjne prawo odstrasza ich klientów — mają coraz mniejsze pole do działania. Uznawane za najskuteczniejsze w walce z uzależnieniem od opiatów (na przykład heroiny) leczenie metodą substytucyjną prowadzone jest w Polsce na minimalną skalę. Metoda ta polega na podawaniu metadonu, który nie wywołując „odlotu”, pozwala poradzić sobie z efektem odstawienia narkotyku. W Niemczech leczy się w ten sposób ponad 70 000 osób, tzn. 40% uzależnionych,

w całej Unii 700 000 ludzi, natomiast w Polsce może z niej korzystać 1700 osób, co przekłada się na około 5% potrzebujących.

Abstynencja rządu

Mała skala tych działań w Polsce wiąże się z nastawieniem, że skoro narkotyki są nielegalne, to jedynie abstynencja jest słuszna, także jako forma leczenia. Badania mówią o nieskuteczności tej metody. Rozsądek podpowiada, że celem każdego leczenia powinno być polepszenie jakości życia pacjenta. Uzależnienie to przewlekła i nawracająca choroba. Droga do trzeźwości to często długie lata, które dla wielu są koszmarem kolejnych prób nieskutecznego leczenia i nieufnego, moralizatorskiego traktowania przez personel medyczny. W tych przypadkach używanie narkotyków nie może być karane. W jakiej jeszcze dziedzinie medycyny wyrzuca się chorego z leczenia za symptomy choroby, z której się leczy?

Narkofobia niektórych lekarzy i polityków blokuje dostęp ogółu społeczeństwa do środków przeciwbólowych zawierających opium czy konopie indyjskie. Także tu abstynencja jest ważniejsza niż pomoc w cierpieniu.

Polityka narkotykowa powinna być kształtowana na podstawie dobrych praktyk — rozsądnych, sprawdzonych i skutecznych. Hungarian Civil Liberties Union, węgierska organizacja pozarządowa, przeprowadziła w Polsce, Czechach, Bułgarii, Danii, Holandii, w Szwecji i na Węgrzech badania dotyczące nastawienia ludzi do regulacji prawnych związanych z narkotykami. Pokazały one, że brak zainteresowania substancjami psychoaktywnymi wśród badanych to przede wszystkim wynik troski o własne zdrowie, a nie strach przed policją⁴. Prowadzone w wielu metropoliach działania

⁴ Raport *Public Poll Survey on Drug Policy Attitudes in 6 EU Member States*, Hungarian Civil Liberties Union, 2009.

antynikotynowe powodują drastyczny spadek liczby palaczy. Bez ścigania za paczkę papierosów.

Kasia Malinowska-Sempruch — Dyrektor Międzynarodowego Programu Polityki Narkotykowej w Open Society Institute. Jest współtwórcą pierwszego narodowego programu walki z AIDS w Polsce w latach 1996—1999.

Jan Dąbkowski — Stowarzyszenie Młodych Dziennikarzy „Polis”.

HARD CORE POLAND

Wolność piastuje wśród wartości liberała miejsce nadrzędne. W naturze każdego człowieka miłującego wolność zasiane jest ziarno krnąbrności, które kiełkuje za każdym razem, gdy tłamsi się jego samodzielność w działaniu, decydowaniu o sobie samym i swoim życiu.

Liberalna postawa wymaga nie tylko odwagi, aby sprzeciwić się sztywnym konwenansom, obligatoryjnym opiniom i działaniom, które szkodzą autonomii jednostki, lecz także roztropności, by w walce o dobro indywiduum nie gwałcić dobra zbiorowego. Rozumienie państwa jako tworu, który dąży do coraz większej kontroli nad swoimi obywatelami, każe nam, środowiskom liberalnym, tworzyć bufor chroniący wolność. Wspólnym mianownikiem łączącym wszystkich postępowców jest przekonanie, że człowiek ma prawo żądać od państwa, by pozostawiło w jego gestii decyzje dotyczące prywatnych spraw, by nie był poucзany i ubezwłasnowolniany tak długo, jak jego postępowanie nie zagraża wolności drugiego człowieka.

Spojrzenie liberała na sprawę legalizacji narkotyków

Kontrowersje w środowiskach liberalnych budzi kwestia narkotyków, które w modelowym kapitalizmie byłyby towarem jak każdy inny, a ich ceny sterowane byłyby tylko za pomocą mechanizmów rynkowych. Jednakże potencjalne skutki użytkowania substancji psychoaktywnych w postaci uzależnienia, mogące prowadzić do degeneracji życia społecznego, sprawiają, że legalizacja posiadania i obrotu wszelkimi środkami odurzającymi budzi sprzeciw części środowisk liberalnych. Przyjmując wolność jednostki za punkt odniesienia w rozważaniach na temat legalizacji narkotyków, należałoby uznać, że państwo nie ma moralnej legitymacji, by ingerować w tak osobistą sferę życia obywatela, jaką jest stosowanie substancji odurzających. Zwłaszcza w sytuacji, gdy nie sprzeciwia się ono samej istocie aktu, a jedynie formie. Preferowane przez państwo, a w konsekwencji powszechne używki, takie jak alkohol czy nikotyna, nie są mniej szkodliwe niż na przykład marihuana, która znajduje się na liście substancji zakazanych. W słynnym już raporcie Światowej Organizacji Zdrowia na temat wpływu marihuany na zdrowie człowieka możemy przeczytać, że jest mniej szkodliwa od alkoholu i papierosów. Jak przyznają autorzy raportu, akty przemocy po jej spożyciu są znacznie rzadsze niż po alkoholu. Nadużywanie tytoniu, alkoholu i marihuany może prowadzić do uzależnienia, ale tylko alkohol wywołuje zespół odstawienia, czyli tak zwany głód. Zżywana rozsądnie marihuana jest więc praktycznie nieszkodliwa. Nie może być zgody na sytuację, w której państwo akceptuje obywateli raczących się alkoholem, zaś palących marihuanę skazuje na banicję i śmierć cywilną. Jest to przejaw hipokryzji i jednocześnie łamanie podstawowych praw wolności obywatelskiej w imię bezsensownej walki o wymuszenie abstynencji. To atak aparatu państwowego na własnych

obywateli, którego skali i konsekwencji nie sposób usprawiedliwić żadnym rozsądnym argumentem. Sprzeciw liberałów wobec zmian obecnego *status quo* byłby więc świadectwem obłądy, a jedyny dopuszczalny spór może dotyczyć formy modyfikacji obowiązujących przepisów.

Hard Core Poland

W naszym kraju istnieje jeden główny sposób myślenia na temat zakazanych używek, który ogranicza się do stwierdzenia, że substancje niereglamentowane przez państwo należy za wszelką cenę wyeliminować ze społeczeństwa: zburzyć wytwórnie, zniszczyć plantacje, pozamykać handlarzy i zastraszyć potencjalnych odbiorców. Brak edukacji społeczeństwa, a często wręcz podyktowana politycznym pragmatyzmem dezinformacja, skutkuje powstaniem całkowicie błędnych opinii o marihuanie i jej użytkownikach. Obowiązujące w Polsce przepisy, zezwalające na karanie więzieniem każdego, kto posiada nawet śladowe ilości narkotyków, są ewenementem na skalę europejską i w efekcie okazują się krzywdzące dla tysięcy młodych ludzi. Ignorancją wykazują się ci, którzy niczym mantrę powtarzają, że delegalizacja jest w stanie zapobiec rozprzestrzenianiu się narkomanii. W zderzeniu z rzeczywistością pogląd ten okazuje się surrealistyczny. Potwierdzenie znajdziemy zarówno w naszym kraju, gdzie w błyskawicznym tempie rozwinął się rynek legalnych substancji psychoaktywnych, tak zwanych dopalaczy, których zażywanie niejednokrotnie jest bardziej szkodliwe dla zdrowia niż ich czarnorynkowych odpowiedników, jak i w krajach, które podobnie jak Polska stosują rygorystyczne metody walki z narkotykami. Na przykład w Meksyku kartele narkotykowe terroryzują społeczeństwo w takim stopniu, że prezydent Felipe Calderón po nieskutecznej walce

rozważa legalizację miękkich narkotyków, co ma zmniejszyć zyski karteli z ich sprzedaży. Sytuacja jest na tyle dramatyczna, że od 2006 roku walka z organizacjami przestępczymi w Meksyku doprowadziła do śmierci 28 tys. osób. Należy przyjąć do wiadomości, że polityka sankcji karnych nigdzie na świecie nie przynosi pożądanego efektów. Wystarczy przypomnieć sobie skutki nieudanego eksperymentu — prohibicji alkoholowej, która obowiązywała w USA w latach 1920—1933. Pomimo oczywistych faktów przemawiających za nieskutecznością metod karnych środowiska konserwatywne, jeśli tylko rozpoczyna się dyskusja o potrzebie zmiany obecnej polityki narkotykowej, biją w patriotyczny bęben i kropią święconą wodą tych, którzy w „szatański” sposób chcą upowszechnić „handel śmiercią”. Brak edukacji i dialogu społecznego w kwestii stosowania środków odurzających sprawia, że Polska staje się bliższa Białorusi niż krajom członkowskim UE. W większości państw Unii Europejskiej posiadanie narkotyków nie jest karane, a osoby uzależnione nie są poddawane moralnemu i prawnemu osądowi, lecz traktowane jak chorzy, którym za pomocą terapii pomaga się wrócić do normalnego życia. Doprawdy zdumiewający jest fakt, że pomimo wielu pozytywnych przykładów skutecznego radzenia sobie z kwestią narkomanii żaden organ państwowy nie zdecydował się na zmianę obecnej sytuacji — nie trzeba wywarzać otwartych drzwi, wystarczy zaimplementować metody stosowane na przykład w Portugalii, Holandii czy Szwajcarii.

Legalizacja — panaceum na całe zło?

Sytuacja, w której każdego roku budżet państwa wydaje około 80 milionów złotych tylko po to, by pozamykać w więzieniach tysiące młodych ludzi, których jedynym przewinieniem było posiada-

nie suszu konopnego, jest zła — tu nie powinno być żadnych wątpliwości. Przeciężni obywatele często trafniej przewidują nadchodzące zmiany w społeczeństwie niż przedstawiciele elit. Na świecie obserwujemy renesans zainteresowania marihuaną i jej właściwościami medycznymi, co wpływa na zmianę nastawienia do tej substancji. W Polsce da się zauważyć coraz większy opór wobec obowiązujących przepisów, do głosu dochodzi pokolenie wolnych Polaków, którzy mają odwagę do stawiania niewygodnych pytań i upominania się o swoje prawa. Z roku na rok rośnie liczba osób uczestniczących w Marszu Wyzwolenia Konopi. Społeczeństwo chce wyrwać się z ciasnego gorsetu stereotypów i żąda podejścia naukowego, racjonalnego. Odpowiedzialne państwo powinno zając się nie karaniem, lecz edukacją obywateli i tworzeniem przejrzystego rynku dla obecnie zakazanych używek. Redakcja pisma „idealistka” postanowiła przeliczyć, ile na legalizacji *cannabis* zarobiłby Skarb Państwa. Przychody z tytułu koncesji, VAT-u i akcyzy oraz wszystkie dodatkowe wpływy w postaci CIT-u przedsiębiorców i PIT-u pracowników dałyby łącznie około 10 miliardów złotych rocznie. Jest to suma niebagatelna, której znaczną część można by przeznaczyć na wspieranie organizacji społecznych specjalizujących się w terapii osób uzależnionych. Rzetelna edukacja młodzieży jest skuteczniejszą metodą w walce z problemem narkomanii niż restrykcyjne prawo, które praktycznie nie zmniejsza ani popytu, ani dostępności substancji psychoaktywnych.

Należy mieć na uwadze, że wolny i odpowiedzialny wybór obywatela będzie miał sens dopiero wtedy, gdy zagwarantowany zostanie mu dostęp do pełnej informacji na temat środków odurzających. Liberałowie powinni zatem aktywnie wspierać działania organizacji pozarządowych (Polska Sieć ds. Polityki Narkotykowej), które trafnie punktuja nieudolność państwa w tym obszarze,

a jednocześnie przedstawić alternatywne rozwiązania dla dzisiejszej polityki antynarkotykowej.

Przemysław Kozłowski — absolwent Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, doradca kapitałowy, członek Rady Stowarzyszenia Projekt: Polska.

ZALEGALIZUJMY JE! — O ALTERNATYWIE, KTÓRA DEFINIUJE PAŃSTWO PRAWA

Istnieje wiele książek na temat legalizacji narkotyków, wszystkich narkotyków — prezentowane w nich podejście powinno zacząć wyznaczać kierunek rozwoju liberalnej polityki promującej praworządność. W ostatnim czasie zarówno publikacje, jak i opinie polityków stały się bardziej zdecydowane. Dzieje się tak pomimo dominującego w mediach populizmu i kampanii antynarkotykowej rozpoczętej przez byłego prawnika narkotykowych karteli, Richarda Nixona. Przegrana wojna z używkami pozostaje koszmarem, z którym musimy się zmierzyć na jawie.

Prawa obywatelskie są zagrożone. Postęp medyczny wstrzymany. Rośnie przestępczość. Mamy za to pralnie brudnych pieniędzy oraz inwestycje, które przyczyniły się do upadku naszych gospodarek. Państwa nie mają kontroli nad jakością produktów, które ich obywatele będą konsumować, nie czerpią także zysków z podatków, lecz zamiast tego patrolują, a w konkretnych przypadkach angażują wojsko, trybunały, system więziennictwa oraz szpitale, które aktywnie starają się (bez rezultatu, należałoby dodać) przeciwdziałać „białej śmierci”.

Warto tu odnieść się do dwóch znakomitych książek. Pierwsza z nich — *La Solución: Legalización* — to szczegółowa praca o jasnym przekazie. Napisana została przez Araceli Manjón-Cabeza, była dyrektorką hiszpańskiego Biura ds. Narkotyków oraz zastępczynią sędziego Baltasara Garzóna w Sądzie Najwyższym. Tytuł książki jest jednocześnie programem. Na 300 stronach publikacji, odwołując się do swoich doświadczeń, autorka opisuje różne zjawiska związane z narkotykami: od prohibicji do realnych problemów, z którymi musimy się zmierzyć. Nie tylko przedstawia absurdalność różnych rozporządzeń, w tym Konwencji Narkotykowej, będącej punktem odniesienia dla działań w zakresie przeciwdziałania narkomanii na całym świecie, lecz także przywołuje przegrane wojny narkotykowe: w Meksyku, Stanach Zjednoczonych czy Kolumbii. Cabeza stara się uniknąć bezpośredniego odwoływania do praw człowieka, jednak widać wyraźnie, że główną inspiracją była dla niej praworządność, która kształtuje lub też powinna kształtować nasze demokracje.

Poza tym przeczytałem też książkę *Zalegalizujmy je!* znanego francuskiego prawnika Francisa Caballero. Opisuje on podejście wobec problemu konopi w prawie francuskim, a także przedstawia prawne rozwiązania, które miałyby zakończyć prohibicję marihuany i jej pochodnych. Ponadto dokonuje analizy całości kształtu sytuacji związanej z narkotykami — od konsumpcji do dystrybucji, od produkcji do komunikacji. Nie powinno więc dziwić, że rząd w Urugwaju pragnie wprowadzić w życie propozycje Caballera.

Warto również polecić inne publikacje, które w moim przekonaniu są swoistą biblią swobód obywatelskich oraz praw człowieka: *The Food of the Gods* Terence'a McKenny oraz *The Emperor Wears No Clothes* Jacka Herera.

2 Podobnie jak w wielu innych społecznościach, tak też w Portugalii liberałowie muszą się zmierzyć z dwiema głównymi siłami konserwatystów w walce o prawa jednostki. Zarówno konserwatyści o faszystowskiej mentalności jak i komuniści zasiadający po dwóch stronach sceny politycznej odrzucają indywidualność i wybór. Walka tocząca się o zalegalizowanie narkotyków to główna polityczna batalia, w której zamknięte umysły muszą zmierzyć się z otwartym społeczeństwem. Wraz z pojawieniem się nowej polityki w Hiszpanii (w której wydawane są luksusowe magazyny o marihuanie) nastąpił też czas polityków, którzy inaczej podchodzą do kwestii narkotyków. Konsument nie jest już uznawany za przestępcę, a posiadanie i używanie marihuany lub jej pochodnych przestało być wykroczeniem, zmieniło się także podejście wobec osób, które sięgają po „twarde” narkotyki (ich użycie postrzegane jest w kategoriach medycznych, a nie kryminalnych). Jedną z konsekwencji zmiany prawa, poza uczuciem ulgi wśród użytkowników, jest zmniejszenie liczby popełnianych przestępstw związanych z narkotykami z 40% do 25%. Spadła również liczba więźniów skazanych za posiadanie używek oraz osób uzależnionych od heroiny.

Zakończmy wojnę i rozpocznijmy wprowadzanie polityki.

Taki jest cel społeczeństwa otwartego.

3 To jest łatwa kwestia, ale zajmijmy się nią: Po pierwsze, musimy się zastanowić, w jaki sposób rozpętano wojnę narkotykową. Zaczęła się ona na poziomie politycznym, gdy konserwatywni liderzy (komuniści lub prawoskrzydłowi) do jednego worka wrzucili wszystkie używki (poza tytoniem i alkoholem), decydując, co jest dobre, a co złe dla jednostki, i nie uwzględniając prawa do samodzielnego podejmowania decyzji czy też

kulturowych czynników. Co ważne, swoich decyzji nie byli w stanie poprzeć żadnymi dowodami naukowymi.

tłum. Daria Hejwosz

Antonio Eloy — portugalski działacz społeczny, były wykładowca ekonomii i socjologii, konsultant w dziedzinie energii i ochrony środowiska.

*FINANSOWANIE
KULTURY*

ŚWIAT BEZ SZTUKI

Gdy zaczynałam pisać ten artykuł, próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam w kinie? W galerii? W teatrze? Na czym? Co widziałam? Co mnie wzruszyło? Co zdenerwowało? Co było obojętne? Tydzień. Miesiąc. Ponad dwa miesiące temu. Tydzień temu byłam w kinie. Miesiąc temu w galerii. Ponad dwa miesiące nie byłam w teatrze. Kino mam po drugiej stronie ulicy. Galerię — dwa przystanki autobusowe od domu. Teatr, ten, do którego najczęściej chodzę — w odległości 20 minut tramwajem.

Mieszkam w dużym mieście. Z kultury mogę korzystać codziennie. To luksus, który wydaje się oczywisty. Tę oczywistość gwarantują mi ludzie. Ci, dla których sztuka jest nie tylko pasją, ale i życiem. Codziennością.

Dostęp do kultury gwarantuje (też) konstytucja. Według artykułu 6. Rzeczpospolita Polska stwarza warunki upowszechniania i równego dostępu do dóbr kultury, będącej źródłem tożsamości narodu polskiego, jego trwania i rozwoju.

Rada Europy w dokumencie *Prawo każdego człowieka do uczestnictwa w kulturze* uznała dobra kultury za „kluczowe w systemie praw człowieka”, ponieważ dostęp do sztuki oraz swoboda wypo-

wiedzi artystycznej i kulturalnej przyczyniają się do rozwoju krytycznego myślenia, lepszego zrozumienia między ludźmi i wzajemnego szacunku. W konsekwencji następuje wzmocnienie demokratycznego obywatelstwa, spójności społecznej, wspólnego życia w harmonii oraz pokoju między narodami.

Jak liczy się kultura?

Można odnieść wrażenie, że sztuka jest znaczącym elementem polityki Polski i Europy.

Tym bardziej że o kulturze mówi się coraz częściej właśnie w czasie kryzysu. Według Moniki Smoleń-Bromskiej, podsekretarza stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, inwestycje w kulturę przyczyniają się do ekonomicznego rozwoju. Krzysztof Dudek, dyrektor Narodowego Centrum Kultury, stawia tezę, że kultura jest jednym z podstawowych czynników rozwoju gospodarczego i może być antidotum na zapaść gospodarczą w Europie¹.

Zatem kultura się liczy, bowiem — jak zauważa Zbigniew Libera — „nasz kraj nie ma niczego do zaoferowania poza sztuką”. Dlatego państwo potrzebuje artystów, „bo niczego innego w tym kraju się nie wytwarza, czym można byłoby się pochwalić”². Obecność artystów za granicą jest „cholernie honorowa”. Można byłoby więc odnieść wrażenie, że artysta to osoba uprzywilejowana.

Tymczasem po międzynarodowych wystawach artystom pozostają jedynie symboliczne przywileje, a poza tym nic. Artysta jest biedny.

- 1 Odwołuję się do wypowiedzi dr Moniki Smoleń-Bromskiej i Krzysztofa Dudka z panelu dyskusyjnego *Kultura jako stymulator kreatywności i innowacyjności w regionie*, który odbył się 6 września 2012 r. w ramach Forum Ekonomicznego w Krynicy Zdroju.
- 2 Z wypowiedzi Zbigniewa Libery na walnym zebraniu Obywatelskiego Forum Sztuki Współczesnej na temat *Czy artysta musi być biedny i kto jest temu winien?*. Narodowa Galeria Sztuki Zachęta, Warszawa, 31 marca 2012 r.

To przyczyna tego, że w maju 2012 roku artyści zastrajkowali, wspierani przez różne instytucje i galerie państwowe. Drzwi Zachęty, Centrum Sztuki Współczesnej i Muzeum Sztuki Nowoczesnej zostały zamknięte. Ten gest rozpoczął debatę na temat biedy artystów.

24 maja był dniem bez sztuki.

Jak liczą się artyści?

„Żądamy rozpoczęcia prac nad stworzeniem takiego systemu, który nie wyrzucałby artystów poza nawias społeczeństwa!” — tak apelowali artyści w gazetce strajkowej.

Artyści, którzy wzięli udział w strajku, chcą, żeby państwo opracowało system gwarantujący im ubezpieczenia zdrowotne i emerytalne mimo nieregularnego wpłacania składek. Według nich to absolutne minimum.

Jednocześnie apelują do tych, którzy zarządzają galeriami i instytucjami kultury: artysta powinien być opłacany. Udział w wystawie to nie tylko prestiż, lecz także forma zarabiania pieniędzy. „Jestem artystą, ale to nie znaczy, że pracuję za darmo” — tak deklaruje Zbigniew Libera.

I faktycznie — Libera nie pracuje za darmo. Muzeum Sztuki Nowoczesnej odkupiło od norweskiego kolekcjonera jego pracę *Lego. Obóz koncentracyjny* za 55 000 euro.

Na rynku sztuki są pieniądze i kolekcjonerzy. A także artyści, którzy zarabiają. Ale to uprzywilejowana i bardzo wąska grupa. Taka sytuacja istnieje, ponieważ — jak zauważa Kuba Szreder — fundamenty świata sztuki są zbudowane na gigantycznych nierównościach.

Dlatego wsparcie rynku sztuki i obrotu dziełami powinno być ważnym elementem polityki kulturalnej państwa. W interesie pu-

blicznym jest umożliwienie obrotu dziełami sztuki, który pozwoliłby na tworzenie cennych zbiorów (państwowych i prywatnych), jednocześnie zabezpieczając byt artystów.

Artysta ready made

Od 1917 roku sztuka uległa poważnemu zakwestionowaniu. Byt artysty został podany w wątpliwość. Gest wysłania pisuaru na wystawę — uświęcony.

Marcela Duchampa interesowały „idee, a nie same twory wizualne”. Każdym kolejnym gestem oddawał „malarstwo w służbę myśli”, aż myśli całkowicie ją podporządkował. Tradycyjne myślenie o sztuce zostało nieodwracalnie zakwestionowane i zrewolucjonizowane.

Dla niektórych to był koniec sztuki. Od 100 lat artyści, krytycy i zwykli obserwatorzy zmagają się z nieustannie zmieniającą się definicją (lub jej brakiem) sztuki. W dobie cyfrowej reprodukcji każdy może być artystą. Toteż artystów jest coraz więcej. Kultura upowszechnia się, zmieniają się jej formy. Od *ready made*’ów, przez konceptualizm, pop-art, video-art po instalacje, czyli „sztukę po sztuce” — zjawisko artysty i jego dzieła jest kwestionowane lub afirmowane według coraz mniej czytelnych zasad.

„Okrutna ekonomia rynku sztuki” i kuratorzy decydują, co jest sztuką, kto zostaje artystą, kto zajmie uprzywilejowane miejsce. Dlatego gdy zapytałam moich znajomych, absolwentów szkół artystycznych, czy będą strajkować, powiedzieli, że raczej nie. Bo oni nie mają pretensji do rządu (strajkujący apelowali do rządu), ale do tych, którzy dokonują selekcji.

Ci „niewyselekcjonowani” zaczynają wierzyć w mit artysty — biednego, samotnego geniusza, który mierzy się z powierzchnią płótna, przekonany o własnej wyjątkowości. W samotności.

Ryzyko bycia artystą

Każdy, kto wybiera studia artystyczne, poświęca się pracy artysty albo pracuje na rzecz kultury, wie, że są to zajęcia niedochodowe. Do opinii publicznej docierają informacje, że praca Zbigniewa Libery została sprzedana za duże pieniądze, ale niewiele osób zdaje sobie sprawę, że te pieniądze nie trafiają do jego kieszeni. A nawet jeśli, to taka jednorazowa większa suma, musi zwykle zapewnić byt na rok, a czasami na dłużej. Nie codziennie powstaje świetny obraz, instalacja, film. W zawód artysty wpisane jest ryzyko.

Dlaczego w społeczeństwie pokutuje odwieczny mit biednego artysty? W zgodzie z nim żyje większość z nas, wygłaszających komunały w rodzaju: „Wszystko jest sztuką”, „Moje dziecko lepiej by to namalowało”, „Fotografem może być każdy, bo każdy ma aparat, więc po co nam fotograficy”. W powszechnym przekonaniu artysta to ktoś, kto oddaje się swojej pasji. Po czym oczekuje, że za pasję otrzyma pieniądze. Praca artysty nie mieści się w przyjętej definicji pracy. Tej, która powinna być wynagradzana.

Jednocześnie jednak jesteśmy dumni, gdy polscy artyści są nagradzani. Chcemy, by zapewniono nam (konstytucyjną) możliwość oglądania ich prac. Chodzenia do kina, teatru, galerii czy do muzeum. Nawet jeśli nie robimy tego codziennie. Ale raz na tydzień. Miesiąc. Rok. Bo nikt z nas nie wyobraża sobie świata bez sztuki i bez artystów.

Joanna Łopat — absolwentka kulturoznawstwa (UŁ) i fotografii (PWSFTiTv), publicystka związana wcześniej z „Nowymi okolicami poetów”, „Femką”, „Promenadą sukcesu”. publicystka magazynu „Liberté!”.

WSPÓŁCZESNY MECENAT

Wydaje się, że wolność słowa jest najczęściej kwestionowanym prawem naszych czasów. Tymczasem artyści w dobie dominacji kapitalistycznych wartości ciągle szukają uwiarygodnienia swojej wolności artystycznej, zwłaszcza gdy wspierani są przez osoby trzecie — fundatorów. Współczesny mecenat ma wiele różnych form, ale przyjmowanie funduszy nie zawsze oznacza działanie w dobrej wierze.

Jest takie powiedzenie, że władza korumpuje, a w społeczeństwach kapitalistycznych bogactwo nierozzerwalnie wiąże się z władzą. Taka sytuacja wydaje się pogardliwa dla artystów, szczególnie jeśli zauważymy, że otrzymują oni pieniądze za konkretne zamówione dzieło. To powszechny sposób finansowania umożliwiający zatrudnianie artysty w celu wykonania określonych zadań, co redukuje koszty ponoszone przez zleceniodawców. Wskutek tego artyści są nieadekwatnie wynagradzani, chociaż ich praca wymaga myślenia lateralnego oraz wyjątkowych umiejętności. Konsekwencje tych działań można rozpatrywać w dwojaki sposób. Artyści, aby otrzymać wsparcie finansowe, godzą się zarówno na ograniczanie im swobody działania, jak i na zaniżone honorarium. Ich płace są wyliczane na podstawie ryzyka, które oczywiście ponoszą mecenas.

Należy pamiętać, iż finansowe wspieranie działalności artystycznej ma niezwykle pozytywny wpływ na społeczeństwo. Zawierane między mecenasami i artystami umowy dotyczą projektów indywidualnych lub grupowych — fundatorzy recenzują przedstawione propozycje, tworząc tym samym listę, z której można wybierać. Proces selekcji ma oczywiście wpływ na scenę artystyczną, ale o tym dalej. Ważne jest, aby instytucje finansujące działalność artystyczną brały pod uwagę wartość nieskrępowanej wolności idei, dzięki czemu możliwe będzie utrzymanie różnorodności, przeprowadzanie eksperymentów a także zagwarantowanie rozwoju sztuki. Natomiast kreatywność nie powinna być przewidywalna.

W związku ze wzrostem popularności globalnych sieci społecznościowych idea zbierania pieniędzy na przedsięwzięcia społeczne i biznesowe od internautów stała się radykalnym i — jak można powiedzieć — socjalistycznym sposobem szukania wsparcia finansowego. Strony internetowe, takie jak Kickstarter.com, pokrywają koszty realizacji różnych inicjatyw i chociaż trudno wśród ich beneficjentów znaleźć artystów z górnej półki, to i tak odgrywają znaczącą rolę w gromadzeniu funduszy. O ile instytucje rządowe w głównej mierze zainteresowane są wspieraniem tzw. sztuki wysokiej, o tyle projekty finansowane np. przez Kickstarter.com odzwierciedlają potrzeby szerszego grona odbiorców. Najważniejszą cechą społecznościowego zbierania kapitału jest możliwość przedstawienia swoich projektów bez dawania gwarancji na ich ukończenie. Można zatem stwierdzić, że artyści wspierani przez tego typu fundusze mają najwięcej swobody twórczej — to wolność staje się źródłem ich pracy. Sednem sprawy jest to, że społeczeństwo musi być naprawdę zainteresowane daną inicjatywą, aby artysta mógł łączyć na nią pieniądze.

Warto odnieść się także do skutków istnienia funduszy społecznościowych. Chociaż szukanie wsparcia wśród internautów wydaje się idealnym rozwiązaniem, to artyści, których prace nie spotkają się z szerokim zainteresowaniem ze strony danej społeczności, muszą stoczyć ciężką batalię o fundusze. I można uznać to za logicznie uzasadnione, bowiem dzieła artystów, którzy pozostają poza mainstreamem popkultury, mogą być postrzegane na przykład jako takie, które starają się kompromitować samych odbiorców. Z tej perspektywy jedno źródło finansowania może być niebezpieczne, prowadząc do ograniczenia wolności artystycznej — na przykład w sytuacji gdy zleceniodawca zaczyna faworyzować projekty, które wspierają politykę jego firmy, a nie niezależne dzieła sztuki. Grozi to podziałem rynku sztuki — z jednej strony galerie nadal będą promowały niezależne inicjatywy, z drugiej mecenas ograniczą się do pomagania tym twórcom, którzy wykorzystują elementy identyfikacji wizualnej firmy lub jej przekaz reklamowy.

Należy jednak zauważyć, że chociaż wspieranie działalności artystycznej jest niezwykle ważne, to kwestie finansowe nie zawsze biorą górę nad kreatywnością. Na całym świecie istnieją bowiem silne grupy artystów, które pracują niezależnie od posiadanych funduszy. Na przykład w Turcji takim projektem jest *Pandora* Manfreda Reichera — stałe ekologiczno-artystyczne przedsięwzięcie, które nie zostałoby sfinansowane ani przez rząd, ani przez Unię Europejską. Brak funduszy najczęściej jednak oznacza niemożność realizacji projektu. Sytuacja, w której znalazł się Reicher, zmusiła go do pokrycia kosztów *Pandory* z własnych środków. Idea projektu opiera się na pomysle budowy łodzi do zbierania plastiku zanieczyszczającego wody morskie oraz platformy scenicznej skonstruowanej z odzyskanego plastiku. Niewątpliwie nakłady finansowe na tę inicjatywę są bardzo duże, jednak

jeśli zapomnimy o kosztach, zauważymy, że taki sposób działania daje artyście nieskrępowaną wolność, zarówno w zakresie tempa wykonywania dzieła, jak i pozostałych decyzji. Jeśli fundator zainwestowałby w ten projekt, na pewno oczekiwałby, że artyści wskażą datę jego ukończenia i wezmą na siebie odpowiedzialność w sferze reprezentowania fundatora. Miałby on także wpływ na zawartość merytoryczną projektu. Pomijając jednak kwestię wolności, potencjalne fundusze z zewnątrz z pewnością ułatwiłyby Reicherowi pracę.

Z tej perspektywy wolność twórcza zależy w głównej mierze od społecznego statusu artysty. W społeczeństwach, w których nie docenia się artystów, dochodzi do wyzyskiwania ich pracy, a fundatorzy traktują podejrzliwie wolność artystyczną. Oznacza to również, że współczesny mecenat jest tożsamy z zamawianiem konkretnego dzieła sztuki, prowadząc jednocześnie do ograniczania swobody artysty. Jeśli rozwiniemy tę kwestię, zobaczymy również, że artyści muszą mieć ugruntowaną pozycję społeczną, pewną markę, wchodząc w interakcję z elitą intelektualną. Ograniczanie swobody może przyjmować wiele postaci, natomiast kreatywna jednostka zmuszona zostaje do podejmowania decyzji, które maksymalizują nie tylko społeczną, lecz także osobistą wartość dzieła. Wolność tworzenia nie oznacza przyjmowania każdego wsparcia finansowego. Artysta musi wierzyć, iż wolność zależy od niego samego i jego suwerennych decyzji, a nie od woli fundatora.

tłum. Daria Hejwosz

Anthony Askew — angielski artysta, absolwent wydziału sztuk pięknych Dartington College of Arts (Wielka Brytania), animator kultury na Malcie. Specjalizuje się w dekonstruktywnej sztuce wizualnej.

KRYZYSY

KOREKTA PO KRYZYSIE

Od chwili gdy John F. Kennedy napomknął o tym w swoim przemówieniu, świat Zachodu wierzy, że chiński zapis słowa „kryzys” jest połączeniem piktogramów oznaczających zagrożenie i szansę. Spopularyzowana przez charyzmatycznego prezydenta teza nie do końca odpowiada prawdzie, ale dobrze oddaje optymizm dominujący nie tylko w azjatyckich rozważaniach nad przyszłością ludzkości. Tak jak chciał tego Joseph Schumpeter, przez historyków myśli ekonomicznej nazywany „prorokiem innowacji”, gospodarcze spowolnienie postrzegamy jako zjawisko przejściowe, umożliwiające reformy strukturalne i otwierające drogę do kolejnych okresów wzrostu, podczas których z nawiązką nadrobione zostaną wszystkie uprzednie straty. Optymizm ten jest uzasadniony: powyższy scenariusz sprawdzał się od początku kapitalizmu, który zawsze doświadczał okresowych wahań koniunkturalnych, choć oczywiście nie można mieć pewności, że któryś z kolejnych kryzysów nie będzie oznaczać końca całego systemu. Analizy, według których moment ten miałyby nadejść już przy okazji obecnego kryzysu, nie są jednak przekonujące. Dlatego zamiast głosić apokaliptyczną zmianę stosunków międzyludzkich, warto

zastanowić się nad treścią mniej radykalnej, ale potencjalnie bardziej korzystnej korekty kapitalizmu.

Tłący się od pięciu lat kryzys ma charakter globalny, co sprawia, że również wymuszone przezeń zmiany powinny mieć globalny charakter. W szczególności można się spodziewać odwrotu od leseferyzmu, który przez prawie 30 lat dominował w teorii i praktyce ekonomii. Deregulacja, obniżanie podatków, kreacja pieniądza i porzucenie państwowych ambicji kształtowania stosunków pracy, które w połowie lat 80. (apogeum rządów Margaret Thatcher i Ronalda Reagana) przyniosły spektakularny wzrost gospodarczy, w zeszłej dekadzie stały się zarzewiem gospodarczego załamania. Wszystkie z powyższych elementów „ekonomii podażowej” miały oczywiście uzasadnienie w chwili, kiedy je wprowadzano, ale maniackalne trzymanie się ich niezależnie od sytuacji nie mogło przynieść dobrego efektu.

O tym, że publiczny nadzór nad rynkiem spełnia społecznie użyteczną funkcję, przekonaliśmy się podczas załamania systemu finansowego, które nie musiałyby nastąpić, gdyby amerykańskie banki poddano chociażby takim rygorom, jakie obowiązują w bankach polskich. Obniżenie górnej stawki podatku dochodowego może zwiększyć chęć do inwestowania, ale nie jest posunięciem mądrym, jeśli trzeba będzie je okupić — tak jak w USA za prezydentury George’a W. Busha — wzrostem deficytu i zadłużenia przekraczającym wartość wygenerowanych inwestycji. Przekonanie o trwałym i nieskończonym wzroście cen nieruchomości to przejaw niebezpiecznego dogmatyzmu, a nie ekonomicznej przenikliwości. Wreszcie, prawo spadającej marginalnej użyteczności pieniądza i fakt, że osoby o niższym dochodzie większą jego część przeznaczają na konsumpcję, również można wykorzystać do pobudzania popytu — pod warunkiem że nie jest się amerykańskim

republikaninem hołdującym neofeudalnej ideologii, według której tylko bogaci potrafią wydawać pieniądze mądrze i z pożytkiem.

Lata 80. przyniosły zmianę w doktrynie ekonomicznej: racjonalna obserwacja, iż spontaniczna wymiana rynkowa może być w wielu przypadkach bardziej efektywnym mechanizmem regulującym ludzką działalność, przerodziła się w dogmatyczną wiarę, że państwo zawsze się myli, a rynek ma zawsze rację. Warto uświadomić sobie, co to przekonanie, doprowadzone do logicznego końca, oznacza: działanie kolektywne jest mniej skuteczne wtedy, gdy — jak w przypadku administracji państwowej — ma charakter celowy i zorganizowany, niż wtedy, gdy stanowi chaotyczną wypadkową nieskoordynowanych i często sprzecznych decyzji. Wniosek powyższy wydaje się absurdalny, ale ma silne teologiczne implikacje: od czasów wieży Babel zorganizowane ludzkie działania ściągają gniew zazdrosnego Boga. Pamiętając o tym, bogobojni ludzie powinni wystrzegać się pychy i pełnego wykorzystania swoich kolektywnych możliwości. Wiara w Boga zdaje się wykluczać wiarę w człowieka i tworzone przezeń państwo, co tłumaczy popularność leseferyzmu wśród religijnej, nie tylko amerykańskiej prawicy.

Mimo postępującego „odczarowania świata” Niewidzialna Ręka Rynku zastępuje w zbiorowym imaginarium Ducha Świętego i staje się nową barierą dla demokratyzacji. W przedrewolucyjnej Francji czy Rosji wezwania do ograniczenia absolutnej władzy przedstawiano jako bluźnierczy zamach przeciwko prawom natury, według których namaszczone przez Boga król lub car miał być panem życia i śmierci swoich poddanych. Dziś podobną tezę podnoszą adwokaci wielkich korporacji: próby społecznego kontrolowania ich poczynań lub chociażby bardziej współmiernego opodatkowania przedstawiają jako zamach na prawa ekonomii, który

musi doprowadzić do dotkliwej zemsty rozgniewanych „rynków”. W rzeczywistości chodzi oczywiście o spekulacyjne ataki poszczególnych graczy, co jest groźbą mało przekonującą, ponieważ skuteczna „kara” oznaczałaby straty dla tych, którzy by ją wymierzili.

Faktem, który umyka uwadze apologetów rynku, jest to, że nie może on istnieć bez politycznych ram gwarantujących i określających sposób wymiany. Z tego też względu nigdy nie był i nigdy nie będzie w pełni wolny. „Rynek wydaje się wolny, ponieważ tak bezwarunkowo akceptujemy jego fundamentalne ograniczenia, że przestajemy je dostrzegać” — trafnie zauważa koreański ekonomista z Cambridge Ha-Joon Chang i pokazuje to na przykładzie zatrudnienia nieletnich. Pierwszy projekt regulujący tę kwestię zgłoszono w brytyjskim parlamencie w roku 1819. Propozycja zakazywała zatrudniania dzieci poniżej dziesiątego roku życia, a czas pracy robotników w grupie wiekowej 10—16 lat ograniczała do 12 godzin dziennie. Nowe zasady miały obowiązywać jedynie w przemyśle bawełnianym, który był uważany za szczególnie niebezpieczny dla zdrowia pracowników, ale i tak wywołały burzę. „Przeciwnicy uważali — pisze Ha-Joon Chang — że projekt podważa świętą swobodę zawierania umów i niszczy same podstawy wolnego rynku. W debacie niektórzy członkowie Izby Lordów sprzeciwiali się mu, mówiąc, że »praca powinna być wolna«. Argumentowali: dzieci chcą (i potrzebują) pracować, a właściciele fabryk chcą je zatrudniać. W czym problem?”¹. 200 lat później nawet najzagorzalsi zwolennicy wolnego rynku nie traktują powrotu dzieci do fabryk jako niezbędnego elementu liberalizacji — choć „[...] aż do początków xx wieku, kiedy w Europie i Ameryce Północnej wprowadzono pierwsze poważne regulacje dotyczące pracy

1 Ha-Joon Chang, *23 Things You Didn't Know About Capitalism*, Bloomsbury Publishing 2011.

nieletnich, wielu poważnych ludzi uważało je za sprzeczne z zasadami wolnego rynku. Tak więc »wolność« rynku istnieje, podobnie jak piękno, w oczach obserwatora”².

Analogia z pięknem sugeruje, że można mówić o intersubiektywnym kanonie wolności rynku, który — podobnie jak kanon piękna — jest wypadkową indywidualnych preferencji i społecznych interakcji. W jaki sposób obecny kryzys ekonomiczny może przyczynić się do zmiany tego, co w powszechnym przekonaniu będzie traktowane jako wolnorynkowe? By znaleźć odpowiedź na to pytanie, warto spojrzeć na dotychczasowy kanon, za którego emanację uznać można tak zwany konsensus waszyngtoński. Jego elementami są: utrzymywanie dyscypliny budżetowej, rezygnacja z subsydiów na rzecz inwestycji w infrastrukturę i edukację, szeroka baza podatkowa i możliwie niskie stawki podatku, stopy procentowe odpowiadające popytowi na pieniądź, płynny kurs walutowy, otwarcie na zagraniczne inwestycje i międzynarodową wymianę handlową, rezygnacja z państwowej własności przedsiębiorstw, stabilny system prawny (szczególnie gwarantujący prawa własności) oraz pozytywny stosunek do konkurencji między przedsiębiorstwami, która może być ograniczana jedynie w imię bezpieczeństwa, ochrony środowiska, interesów konsumentów lub zabezpieczenia stabilności systemu finansowego.

Nawet najbardziej radykalni spośród krytyków neoliberalizmu mieliby kłopoty ze wskazaniem, które z powyższych zasad są szkodliwe i powinny zostać porzucone. Okazuje się zatem, że problem tkwi nie w ogólnym wyobrażeniu, co jest dla gospodarki dobre, a co złe, lecz w tym, na ile poważnie traktowano zalecenia. W pierwszej dekadzie XXI wieku Stany Zjednoczone miały

2 Ibidem.

zbyt niskie stopy procentowe i zbyt mało rygorystyczny system nadzoru finansowego, a ogólna niechęć do regulacji sprawiła, że ignorowano także interesy konsumentów i konieczność dbania o środowisko naturalne. Błędy te, razem wzięte, zapewniły wysokie zyski wielkim korporacjom (zwłaszcza z sektora finansowego) i przedłużyły okres ekspansji amerykańskiej gospodarki, ale stało się to poprzez nadmuchiwanie bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości. Koniec końców, kryzysu nie dało się uniknąć, a ceną za jego odwleczenie było drastyczne zwiększenie jego siły, kiedy już nadszedł. Gdy już to nastąpiło, amerykański rząd złamał jeszcze jedną zasadę: bezpośrednimi zastrzykami finansowymi uratował parę przedsiębiorstw uważanych za strategiczne.

Oparcie korekty kapitalizmu na poważnym potraktowaniu dotychczasowych zasad powinno oznaczać nie tylko ograniczenie deficytu budżetowego do 3% PKB w latach spowolnienia gospodarczego, lecz także nakaz zbierania nadwyżki w okresach wzrostu. Rzeczywista determinacja w poszerzaniu bazy podatkowej musi oznaczać walkę z szarą strefą również w skali międzynarodowej — zniknięcie rajów podatkowych umożliwi obniżkę opodatkowania w krajach, z których do tych rajów się ucieka. Skupienie publicznych wydatków na inwestycjach w infrastrukturę i edukację musi być połączone z bardziej skrupulatnym nadzorem i krytyczną oceną zysków, jakie inwestycje te przynoszą. Członkowie Unii Europejskiej powinni uwspólnić realizację całego szeregu obowiązków państwa, których najbardziej spektakularnym przykładem ze względu na możliwe oszczędności jest obrona. Wreszcie, powody regulacji dopuszczalne już w pierwotnym konsensusie waszyngtońskim muszą zostać potraktowane poważnie. Państwo powinno aktywnie przeciwdziałać praktykom monopolistycznym (i należy dostrzec ich istnienie na przykład nie tylko w kolejnictwie, lecz

także w branży internetowej, zdominowanej przez firmy Google i Facebook), nie mieć oporów przed wdrażaniem norm ochrony środowiska i na poważnie ograniczyć rozrastanie się sektora finansowego, bo tylko w przypadku inwestycji, których istota jest zrozumiała dla inwestorów, można mówić o racjonalnych decyzjach i zarządzaniu ryzykiem.

Jedyną zasadą z cytowanego powyżej katalogu, której rewizję można by rozważyć, jest rezygnacja z właścicielskiej roli państwa. W przypadku firm usługowych i handlowych, takich jak Porty Lotnicze czy Elewarr, wydaje się ona jak najbardziej słuszna. Inaczej jest w innowacyjnym sektorze wytwórczym, gdzie doświadczenia krajów takich jak Polska pokazują, jak trudno jest pozyskać prywatny — rodzimy lub zagraniczny — kapitał potrzebny do inwestycji. Jednak nawet w takim przypadku państwowe przedsiębiorstwa muszą kierować się tą samą ekonomiczną logiką, co firmy prywatne. Wolność rynku może być rzeczą względną, ale wszyscy jego uczestnicy powinni działać według tych samych bezwzględnych zasad.

Krzysztof Iszkowski — doktor socjologii, dyrektor „Planu Zmian” — eksperckiego zaplecza Ruchu Palikota, członek zespołu redakcyjnego „Liberté!”, wykłada integrację europejską, stosunki międzynarodowe i socjologię polityki w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej.

LIBERALNE RECEPTY NA KRYZYS

Pierwszym krokiem w szukaniu recepty na problemy światowej gospodarki powinna być analiza przyczyn ostatniego kryzysu finansowego. Zbytним uproszczeniem jest stwierdzenie, że doszło do niego wyłącznie wskutek nieodpowiedzialnych działań instytucji finansowych. Co najmniej równie istotne były błędy w polityce gospodarczej, które właściwie zachęcały różne instytucje do podejmowania nadmiernego ryzyka. Samo zaostrzenie regulacji bez eliminacji błędów w polityce może zaszkodzić tempu rozwoju gospodarczego, nie ograniczając wystarczająco ryzyka wystąpienia następnych kryzysów. Po pęknięciu bańki internetowej na przełomie 2000 i 2001 roku odpowiadający za politykę pieniężną w USA System Rezerwy Federalnej (FED) zdecydowanie obniżył stopy procentowe, dzięki czemu spowolnienie gospodarcze miało łagodny przebieg. Bardzo niskie stopy procentowe jednocześnie przyczyniły się do powstania znacznie groźniejszej bańki na rynku mieszkaniowym. Niskie stopy procentowe, zachęty podatkowe i łatwo dostępne kredyty sprawiały, że wielu Amerykanów zadłużało się, by kupić domy. Wraz z coraz większym popytem rosły ceny nieruchomości, co tylko zwiększało liczbę chętnych, by

w nie zainwestować. Co więcej, wraz ze wzrostem wartości nieruchomości rosła wartość zabezpieczenia kredytów, co usypiało czujność banków. Kiedy w końcu FED zdecydował się zacząć podnosić stopy procentowe, przyszło otrzeźwienie. Okazało się, że zbyt wielu Amerykanów zaciągnęło kredyty, których nie są w stanie spłacić, wybudowano też zbyt wiele domów, w których nie ma kto mieszkać. Niespłacane kredyty pogrzyły amerykański sektor bankowy, a wraz z nim światową gospodarkę. Utrzymywanie zbyt niskich stóp procentowych działa destabilizująco nie tylko na rynek nieruchomości. Tani kredyt sprawia, że rosną ceny także innych aktywów. Jednocześnie przy niskich stopach procentowych wiele instytucji, które w normalnych warunkach ograniczają się do inwestowania tylko w bezpieczne papiery wartościowe, by utrzymać nominalne stopy zwrotu na określonym poziomie, zaczyna kupować także coraz bardziej ryzykowne papiery. Na ten problem jeszcze przed kryzysem zwracał uwagę główny ekonomista Międzynarodowego Funduszu Walutowego Raghuram Rajan. Niestety jego ostrzeżenia zostały wówczas zignorowane. Obecnie zarówno w Europie, jak i w USA stopy procentowe pozostają na rekordowo niskich poziomach. Co więcej, FED zapowiada, że w USA stan ten utrzyma się przez co najmniej kilka lat. Może to budzić uzasadnione obawy. W tej chwili trudno przewidzieć, gdzie powstanie kolejna bańka spekulacyjna (może na rynku obligacji?), jednak dotychczasowe doświadczenia z niskimi stopami procentowymi sugerują, że nie przyczyniają się one do rozwiązania strukturalnych problemów gospodarczych, natomiast mogą generować kolejne kryzysy.

W najgorętszym okresie kryzysu finansowego, na przełomie 2007 i 2008 roku, mówiło się o instytucjach zbyt dużych, żeby można było pozwolić im upaść. W praktyce oznaczało to rato-

wanie z pieniędzy podatnika olbrzymich instytucji finansowych, tak silnie ze sobą powiązanych, że upadek jednej mógł za sobą pociągnąć następne. Należy jednak pamiętać, że to właśnie słaby nadzór bankowy pozwolił na powstanie tych olbrzymich molochów. Zakładając, że dzięki wsparciu państwa duże banki nigdy nie upadną, inwestorzy byli skłonni pożyczać im pieniądze na niższy procent. A niższe koszty finansowania dużych banków dawały im przewagę nad mniejszymi i pozwalały na dalszy rozrost. Wartość tych domniemanych gwarancji państwowych była olbrzymia — Andy Haldane z Bank of England ocenia, że w latach 2007—2010 wynosiła ona, w zależności od metody szacowania, między 74 a 340 miliardy dolarów rocznie, natomiast w przypadku banków globalnych kwoty były jeszcze większe i wynosiły między 242 a 1256 miliardy dolarów rocznie. Kryzys pokazał, że założenia inwestorów okazały się słuszne. Z nielicznymi wyjątkami duże banki zostały uratowane, a inwestorzy odzyskali swoje pieniądze — oczywiście na koszt podatnika. Problem może więc powrócić w przyszłości. Co prawda teoretycznie rozpoczęto liczne dyskusje nad podziałem największych banków czy sporządzaniem ich „testamentów” (które mają umożliwić uporządkowaną likwidację niewypłacalnych instytucji finansowych), jednak wraz z upływem czasu zapał do reform osłabł. Po części jest to spowodowane przez polityków starających się tworzyć narodowych czempionów („żeby nasze banki były większe niż ich banki”, „żeby nasz bank był największy w regionie / na kontynencie”), a po części przez akcjonariuszy i pracowników największych banków, którzy są bezpośrednimi beneficjentami ukrytego systemu państwowego wsparcia. Dobra koniunktura w światowej gospodarce przed 2007 rokiem maskowała wiele strukturalnych problemów, co szczególnie widoczne jest w Europie Południowej. Grecki sektor publiczny już wtedy

był przerośnięty, włoski dług publiczny olbrzymi, hiszpański rynek pracy dysfunkcyjny, a gospodarka Portugalii niekonkurencyjna. Jednak póki koniunktura była dobra, a wpływy podatkowe wysokie, problemy te nie były widoczne. Tylko niektóre rządy — na przykład w Niemczech — okazały się na tyle przewidujące i odważne, by w dobrych czasach wdrożyć niepopularne reformy. Obecnie widać jednak, że opłaciło się — kryzys obnażył wszystkie bolączki Europy Południowej, jednocześnie pokazując sens zmian wprowadzonych przez naszych zachodnich sąsiadów. Przykład Niemiec pokazuje, co należy zrobić w innych krajach — usprawnić rynek pracy, zmniejszyć świadczenia socjalne zniechęcające do pracy, zmienić prawo na bardziej przyjazne dla pracodawcy, uporządkować finanse publiczne. Poważny kryzys bankowy może być jednak szansą dla reform i ożywienia gospodarczego. W latach 90. z recesją zmagaly się Skandynawia i Japonia. W pierwszym przypadku zapaść okazała się katalizatorem zmian — bankom, które nieodpowiedzialnie udzielały kredytów w czasie poprzedzającego kryzys boomu, pozwolono upaść. A dokładniej — uratowano same instytucje, jednocześnie całkowicie skreślając dotychczasowych akcjonariuszy. Dzięki temu gra stała się bardziej symetryczna — w czasie boomu akcjonariusze zarabiają, w czasie zastoju tracą, a nie są ratowani na koszt podatnika. Równolegle przeprowadzono liczne reformy gospodarcze, w szczególności dotyczące polityki socjalnej, znacznie ograniczając przerośnięte państwo dobrobytu i naprawiając finanse publiczne. Sektory dotąd chronione przed konkurencją zostały otworzone, co przełożyło się na wzrost efektywności w całej gospodarce. Za sprawą tych zmian kraje skandynawskie z kryzysu wyszły wzmocnione, z większym wzrostem gospodarczym. W Japonii mieliśmy do czynienia z sytuacją odwrotną — państwowe subsydia, niskie stopy procentowe i słaby nadzór pozwalały firmom, które *de facto*

były bankrutami, dalej funkcjonować. Te firmy-zombie absorbowwały zasoby (ludzi, maszyny, pieniądze), które w normalnych warunkach powinny były trafić do lepszych, rozwijających się spółek. W wyniku tej polityki „na przeczekanie” japońska gospodarka przez całą dekadę stała w miejscu. Niestety wiele wskazuje na to, że Europie i USA obecnie bliżej do wariantu japońskiego niż skandynawskiego.

Tak naprawdę recepta na obecne problemy nie różni się znacznie od ogólnych, podstawowych zasad zdrowej polityki gospodarczej. Regulacje bankowe rzeczywiście wymagają poprawy, jednak przede wszystkim należy ograniczyć ukryte subsydia państwowe dla największych molochów finansowych. Utrzymywanie stóp procentowych na rekordowo niskich poziomach, jak ma to miejsce w USA, strefie euro czy w Wielkiej Brytanii, zamiast przybliżyć nas do ożywienia gospodarczego pozwala politykom na odkładanie w czasie potrzebnych reform strukturalnych. Do reform takich można zaliczyć zwiększenie efektywności rynków pracy i konkurencji zarówno na poszczególnych rynkach, jak i w skali całej Europy — wspólny rynek unijny wciąż pozostaje niedokończonym projektem o olbrzymim potencjale. Kryzys raz jeszcze uwypuklił kluczowe znaczenie zdrowych finansów publicznych dla wzrostu gospodarczego.

Aleksander Łaszek — ekonomista, doktorant w Wyższej Szkole Handlowej, Forum Obywatelskiego Rozwoju.

KRYZYS DEMOKRACJI

Od czasu, gdy Lehman Brothers zbankrutował 15 września 2008 roku, a krach na rynkach finansowych rozpełtał się na dobre, mówi się o kryzysie kapitalizmu. To zrozumiałe — kapitalizm, mimo że na sztandarach zawsze miał wypisane obietnice zapewnienia świata dobrobytu, nigdy nie był popularny. Liberałowie wiedzą jednak, że wolność człowieka i wolność gospodarcza idą ze sobą w parze oraz że gospodarki rynkowej należy bronić również wtedy, gdy jest w trudnej sytuacji.

Debata o kryzysie kapitalizmu przesłania jednak znacznie poważniejsze wyzwanie, jakim jest kryzys demokracji. Europa w końcu zrozumiała, że dotacji potrzebowały nie tylko banki, lecz także całe państwa. Wielki europejski projekt, który zjednoczył kontynent rozbity po traumie wojen światowych, stanął nagle nad nieznaną przepaścią. To, co przed dziesięcioma laty było symbolem zjednoczonego i zintegrowanego rynku — waluta euro, dziś wydaje się synonimem porażki.

W czasach kryzysu instytucje państwowe zostały wystawione na próbę. Pierwsze reakcje dwóch okrętów flagowych demokracji, USA i Europy, udowodniły, że kryzys tego rozmiaru prowadzi raczej

do ich paraliżu, niż świadczy o sile. Działania instytucji unijnych rozminęły się z oczekiwaniami obywateli — zrozumienie dla decyzji ponadpaństwowych prawie nie istnieje, podczas gdy powracające kryzysy nieuniknionym zdają się czynić stopniowe przenosiny władzy do Brukseli (bądź Berlina). Wszystko to sprawia, że całkiem zasadne staje się pytanie, czy demokratyczne instytucje przetrwają.

Porównania z latami 30. są jednak mocno naciągane. Owszem, wówczas również rozpoczęło się od krachu na giełdzie, lecz najgorszym następstwem kryzysu wcale nie była bieda, lecz to, że raczkująca demokracja w wielu przypadkach przeobraziła się w faszyzm, nazizm czy komunizm. A następnie — w II wojnę światową. Czym jest kryzys demokracji? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy zajrzeć w głąb nas samych, działając jako władza zwierzchnia. Władza oznacza odpowiedzialność. A w demokracji władza i odpowiedzialność znajdują się w narodzie.

Pierwsza duża fala demokratyzacji na świecie była powolnym procesem, który zatryumfował — jak dotąd nieodwracalnie — przed 100 laty. Możemy zatem uznać rok 1906 za symboliczny, bowiem to wtedy Finlandia jako pierwszy kraj w Europie wprowadziła równe prawa wyborcze dla kobiet i mężczyzn. Rozpoczęła się wówczas ponadstuletnia zachodnioeuropejska era demokracji, która trwa do dzisiaj. Oczywiście zarówno wojny światowe, jak i zimna wojna były dla niej ogromnym zagrożeniem, lecz przez cały ten okres istniały państwa, którymi nieprzerwanie rządziły społeczeństwa. To te same kraje, które odgrywały główną rolę w światowej gospodarce — ich rozwój pozwalał na przejęcie przez państwo funkcji społecznych i rozwinięcie wariantów państwa dobrobytu.

Nieodłączną obietnicą demokracji jest to, że my, naród, zdołamy władzę decydowania o nas samych, będziemy wreszcie

w stanie eliminować życiowe troski. David Marquand uchwycił istotę tej obietnicy w swoim opisie demokratycznego kolektywizmu (*The Strange Career of Democracy*). Z racji tego, że rynek jest mechanizmem nieefektywnym, irracjonalnym i niesprawiedliwym, powinien on zostać wymieniony na racjonalny i demokratyczny porządek. Precz z tyranami, skąpcami i elitami — kiedy sami będziemy mogli decydować, wszystko ułoży się w najlepszym porządku!

Upadek Muru Berlińskiego był momentem nasilenia demokratycznego optymizmu. Zaczęto nawet mówić o końcu historii. Dziś, 100 lat po pierwszym przełomie demokracji i 25 lat po upadku muru, skonstatować można, że wcale nie było łatwo. Rządy demokratyczne w wielu wypadkach znacznie lepiej radzą sobie z różnymi problemami, lecz to wcale nie oznacza, że problemy te w demokracji znikają.

Szwedzki premier i socjaldemokrata, Olof Palme, w słynnej przemowie powiedział, że w polityce chodzi o to, żeby chcieć. To oczywiście nonsens. Polityczna chęć jest bowiem nieskuteczna w konfrontacji z realiami ekonomicznymi. Wyraźnie też widać, że kryzys w Grecji nie jest szczególnie grecki. W rzeczywistości jest to kryzys ludzki.

To, co łączy kryzys kapitalizmu z kryzysem demokracji, można streścić w dwóch zdaniach. Pierwsze z nich znajduje się na szczycie listy Thomasa J. Sargenta, w której laureat Nagrody Nobla wymienia prawdę będącą syntezą wielu badań w dziedzinie ekonomii: „Wiele rzeczy, które są pożądane, nie jest możliwych”. Zdanie drugie to z kolei prawda ogólna: „Jeśli coś brzmi za dobrze, by mogło być prawdziwe, to prawdopodobnie takie jest”. Czyż nie opisuje tego najlepiej przykład unii monetarnej rozciągającej się od Laponii w Finlandii aż do Cieśniny Gibraltarskiej? Unii, która opiera się na obietnicach polityków z wszystkich państw człon-

kowskich, by nigdy nie pozwolić deficytom budżetowym wymknąć się spod kontroli, by nigdy nie przerzucać własnych braków na innych członków.

Wciąż rosnące ceny domów — brzmi za dobrze, żeby mogło być prawdą. Oprocentowanie bez ryzyka i także same inwestycje. Darmowa opieka zdrowotna, ekonomiczne bezpieczeństwo w razie choroby, bezrobocia czy innych kryzysów, których przewidzieć się nie da. Wysokie emerytury, subwencjonowane pomoce naukowe, darmowy dostęp do uniwersytetów i muzeów, długoletnie urlopy dla rodziców po narodzinach dziecka, bezpieczna i sprawna opieka nad starszymi — wszystko dla wszystkich! Do tego dorzucmy subwencje wspierające obszary wiejskie i dotacje ukierunkowane na inwestycje w infrastrukturę. Część punktów na tej liście to rzeczy drugorzędne, ale wiele innych ma kluczowe znaczenie.

Jeśli istnieje coś, czego europejski kryzys może nas wszystkich nauczyć, to z pewnością jest to fakt, że w polityce nie chodzi o to, by chcieć, lecz o to, by wybierać. A to, jak wiadomo, nie zawsze jest równie przyjemne. Niechęć — wypowiedź Olofa Palmego jest tego doskonałym i nieosamotnionym przykładem — kryje się za dzisiejszym kryzysem demokracji. Wyobrażenie Rousseau o woli powszechnej było całkowitym nonsensem — przeciwieństwa i konflikty interesów nie znikną. Demokracja okazuje się nieefektywnym, irracjonalnym i niesprawiedliwym mechanizmem. Ale to nic nowego. Już Joseph Schumpeter konstatawał, że we współczesnej demokracji bardziej chodzi o rządy polityków niż ludu. Churchill miał rację: „Demokracja to najgorsza forma sprawowania władzy, ale nie wymyślono nic lepszego”. Niektórzy prawdopodobnie powiedzieliby mniej więcej to samo o kapitalizmie.

O demokracji trzeba dyskutować w ten sam sposób co o kapitalizmie. Jej siłą jest to, że w swych najlepszych momentach daje

możliwość pokojowych debat i kompromisów wokół wspólnych spraw. Pozwala godzić różnice między obywatelami i narodami. Demokracja jest warunkiem istnienia wolnych obywateli i wolnych społeczeństw, lecz należy ją także regulować. Trzeba ulepszać jej instytucje, uodparniać na słabe strony człowieczeństwa: chciwość, korupcję, nepotyzm. Do wielkich wizji podchodzić z należytą podejrzliwością.

Paradoksalnie dotyczy to zwłaszcza sytuacji, gdy wydaje się, że najlepszym rozwiązaniem w kryzysie są szybkie działania zdeterminowanych rządów, dodatkowo nieograniczanych przez partnerów koalicyjnych i parlament. Nie możemy jednak zapomnieć, że to krótkowzroczna i utopijna polityka zapoczątkowała spiralę kryzysu. Jednym ze sposobów na zmniejszenie szkód w przyszłych kryzysach jest ograniczenie wpływu politycznych decyzji na życie. Kryzysów będzie więcej. Poradzimy sobie z nimi, jeśli tylko uda nam się uniknąć katastrofy...

tłum. Maciej Michalski

Håkan Tribell — politolog, dyrektor ds. programowych szwedzkiego think-tanku Timbro, członek Zarządu Instytutu Bertila Ohlina.

KRYZYS. EUROPA NA ZAKRĘCIE

Unia Europejska dla liberałów zawsze będzie tematem trudnym, z tego choćby powodu, że kwestię europejską w debacie publicznej zwykle sprowadza się do rozważań nad złą europejską biurokracją, dyktatu wielkich graczy nad małymi pionkami czy zagrożeń narodowych tożsamości. Taki klimat nie sprzyja pozytywnemu myśleniu o wspólnej przyszłości.

Dla liberałów — ludzi, którzy na pierwszym miejscu stawiają wolność — zagadnienia związane z władzą państwową są przedmiotem ogromnych kontrowersji. W tej sferze niejednokrotnie musimy zawierać kompromisy, przedkładać pragmatyzm dnia codziennego nad wielkie marzenia. Nie jest to dla nas przyjemne, nie sprzyja również budowaniu pozytywnego wizerunku liberalnej społeczności, której przedstawiciele zawsze będą traktowani bądź jako niepoprawni doktrynerzy, bądź jako wyrachowani oszuści, nieprzywiązujący wagi do własnych słów oraz godni sprawowania władzy tak samo jak całe hordy pełnych hipokryzji polityków i politykierów.

O ile trudno odnieść się do kwestii państwa i jego zwierzchnictwa nad obywatelami bez moralnych dylematów oraz oskarżeń

o najgorsze intencje, o tyle jeszcze trudniejsze jest jednoznaczne ocenianie nowych, niewykształconych w pełni trendów. Zwłaszcza kiedy te nie dają się zamknąć w prostych definicjach, zaś sama ich istota okazuje się kontrowersyjna. Za taki trend można niewątpliwie uznać integrację europejską, utożsamianą zazwyczaj z Unią Europejską. Wymiarowi unijnemu integracji poświęcony zostanie ten tekst.

Dla liberała tak samo naturalny może być entuzjazm wobec idei międzynarodowej jedności, jak i sceptycyzm wobec budowy gigantycznej maszyny technokratycznej biurokracji. Nie zamierzam wcielać się w rolę obrońcy każdego aspektu unijnej struktury i polityki (które — w imię demokracji, wolności i dla dobra samej integracji — wręcz należy poddawać nieustannej krytyce i weryfikacji). W żadnej mierze nie będę postulować — co jest ostatnio szczególnie modne — całkowitego wycofania się z integracji czy też jej ograniczania do minimum. (Jak je ustalić? Jeśli mamy minimum, czym będzie maksimum? — Nie wiem, czy ktokolwiek byłby w stanie udzielić sensownej odpowiedzi na te pytania).

Wybierając koncepcję federalistyczną, należy pamiętać o istniejących różnicach, które czynią budowę jednolitego europejskiego państwa zadaniem nierealistycznym. Celem powinno być raczej utworzenie skuteczniejszych płaszczyzn współpracy i koordynacji europejskich procesów. Unia Europejska zawsze będzie tworem, który trudno jednoznacznie dopasować do istniejących kategorii politologicznych. Nie należy jednak traktować tego jako przeszkody — potencjalnie ta oryginalność może stanowić główny atut Unii w dzisiejszym świecie.

W okresie daleko posuniętej globalizacji znaczenie narodowych państw (może z pominięciem Stanów Zjednoczonych czy Chin — obydwa państwa same zresztą są federacjami mniejszych

podmiotów) ulega zmarginalizowaniu. Jest to problem szczególnie dotkliwy dla kontynentu europejskiego. Europejskie imperia są dzisiaj pieśnią tak samo odległą jak żelazka z duszą czy konne tramwaje. Nawet największe państwa, jak Wielka Brytania, Francja czy Niemcy, nie są w stanie samodzielnie objąć swoimi wpływami całego kontynentu. Jednocześnie klimat, który wytworzył się po upadku żelaznej kurtyny, sprzyja poszukiwaniu tego, co w Europejczykach wspólne. Ideały przyświecające Ojcom Europy nie straciły aktualności. Zjednoczona Europa może stać się prawdziwą potęgą na arenie międzynarodowej. Poszerzona na wschód aż do państw kaukaskich, obejmująca znaczną część wybrzeża Morza Śródziemnego (również w jego południowej części), stanowić może znaczący element globalnej układanki. Dążąc do federalizacji, Europa u swoich podstaw dalej będzie w jakimś stopniu opierać się na państwach narodowych. Umożliwi to realizację wielkich zadań przy zachowaniu narodowych tożsamości oraz takiego zakresu narodowej suwerenności, jaki będzie przewidywał dobrze pojęty obopólny interes.

Przed przystąpieniem do budowania jutra niezbędna jest jednak refleksja nad aktualną sytuacją. Budowa Europy nie powiedzie się bez wyeliminowania trawiących Unię problemów. Jednym z nich jest deficyt demokracji. W skład Komisji Europejskiej, organu sterującego bieżącą europejską polityką, wchodzi ludzie mianowani bez jakiegokolwiek demokratycznego nadania. Sama niedemokratyczność Komisji — będącej wszak eksperckim organem wykonawczym — nie byłaby może dużym problemem, gdyby nie symboliczna rola demokratycznej reprezentacji europejskich społeczeństw. Potrafią one czasami, jak w przypadku ACTA, odrzucić niektóre niebezpieczne pomysły zaakceptowane na najwyższym szczeblu. W wielu przypadkach ich rola jest jednak mocno ograniczona.

Taka sytuacja nie sprzyja budowaniu poczucia europejskiej wspólnoty. Większość mieszkańców Europy może, nie bez racji, mówić o forsowanym prawodawstwie jako o „ich” wytycznych. Traktat lizboński niewiele w tym zakresie zmienił. Nowa forma instytucji Przewodniczącego Rady Europejskiej stanowi krok w dobrym kierunku. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że poprzedni jej przewodniczący, mimo że swoją funkcję sprawowali raptem przez sześć miesięcy, zaś ich kompetencje formalne były nieporównanie mniejsze, bywali europejskimi liderami o znacznie większym znaczeniu niż Herman Van Rompuy (przy całym szacunku dla tego polityka).

Dla jasności — problemem nie jest Van Rompuy. Cały system został pomyślany w taki sposób, aby dokonując wielkich zmian, zmienić niewiele. Nadając jednej osobie niepełne uprawnienia przywódcy wspólnoty, lwia część procesów decyzyjnych oraz pełną swobodę w kreowaniu prawodawstwa pozostawiono Komisji Europejskiej. Większość obywateli Unii nie utożsamia się ani z Van Rompuyem, ani z José Manuelem Barroso. Nawet najwyżsi rangą europejscy urzędnicy nie są szerzej znani europejskiej opinii publicznej. Cała wina za czyjeś decyzje lub niedociągnięcia spada na „Unię” i przekłada się na rozwój eurosceptycyzmu negującego ideę pogłębionej integracji.

W dalszym procesie integracji potrzebne są głębokie przemiany strukturalne na samej górze. Same pozytywne konsekwencje może mieć bezpośredni wybór „prezydenta Europy”. Prezydent ów powinien mieć realny wpływ na całokształt realizowanej polityki. Prezydentem może być przewodniczący Komisji Europejskiej. W takiej sytuacji system zostałby skonstruowany na wzór amerykański — szeroki zakres kompetencji prezydenta, który wraz z parlamentem i władzą sądowniczą tworzy system skutecznie

ograniczający jakiegokolwiek dyktatorskie zapędy. Drugą propozycją jest prezydent jako osobna instytucja bądź przewodniczący Rady Europejskiej, dysponujący — na wzór systemu parlamentarnego — istniejącym już prawem do reprezentowania wspólnoty, jak również nowymi kompetencjami w zakresie inicjatywy ustawodawczej oraz — co wydaje się najważniejszą zmianą — możliwością wetowania uchwalanego prawa.

Najlepiej, gdyby osoba ta posiadała cechy męża stanu. Musi to być doświadczony polityk lub ekspert jak najbardziej niezależny od aktywnych ugrupowań politycznych. Dobrze byłoby ograniczyć grono osób obdarzonych biernym prawem wyborczym do byłych głów państw, urzędników europejskich, przedstawicieli środowisk akademickich czy nieaktywnych w bieżącej polityce szefów rządów. Ze wszech miar pozytywna będzie procedura bezpośredniego wyboru europejskiego prezydenta, dzięki której większy procent europejskiej populacji będzie miał poczucie realnego wpływu i odpowiedzialności za kształt Wspólnoty.

Problemem, z którym Europa ostatnimi czasy szczególnie intensywnie się zmagają i w którym dostrzec można potencjalne zagrożenie dla procesów integracyjnych, jest stan europejskich gospodarek. Koniec wspólnej waluty euro został już wielokrotnie obwieszony. Bruksela, Strasburg, Frankfurt — a wraz z nimi cała opinia publiczna — niespokojnie spoglądają na Rzym, Madryt, Lizbonę, Dublin. Grecja została oficjalnie namaszczona na chorego człowieka Europy. Aby wyjść z impasu, potrzebujemy innych działań niż kolejne pakiety ratunkowe. Wprowadzenie wspólnej waluty, szlachetne w zamiarach, stworzyło dla Europy gigantyczny problem.

Niezbędne jest szybkie opracowanie pakietu zmian pogłębiających w mądry sposób integrację europejskich gospodarek. Nie

oznacza to budowy gospodarki centralnie sterowanej i pozbawienia rządów narodowych określonych kompetencji. Z perspektywy europejskiej stabilności pożądane może być jednak wprowadzenie mechanizmów umożliwiających realne wpływanie na decyzje poszczególnych rządów. Nieodpowiedzialna polityka populistycznego szaleńca w jednym państwie nie może przesądzać o kształcie całej Europy. W ekstremalnych przypadkach demokratyczna większość przedstawicieli odpowiednich gremiów (szefowie rządów, ministrowie finansów państw członkowskich) powinna mieć możliwość zawetowania określonych projektów danego państwa, z możliwością zastosowania finansowych sankcji w przypadku ich realizacji.

Ujednolicenie polityki fiskalnej również może być korzystne. Zmniejszanie podatków dla obywateli wszystkich europejskich państw wydaje się pomysłem szalonym. Opodatkowanie „europejskie” może istnieć na równi z opodatkowaniem zarządzanym przez władze określonego państwa. Wykorzystanie tego mechanizmu do głębszej kooperacji na szczeblu europejskim w ustalaniu narodowych budżetów może ułatwić integrację w wielu innych sferach.

Przykładowo: trudno sobie wyobrazić jednolitą europejską politykę społeczną. Możliwe jednak jest ustalenie kwot przeznaczonych na określone cele — walka z bezdomnością, integracja imigrantów, aktywizacja osób długotrwale bezrobotnych — i dostępnych do podziału między państwa członkowskie, w zależności od występujących w nich trendów. Umożliwi to również mądre konstruowanie innych dziedzin polityki, np. bezpieczeństwa energetycznego. Dzisiaj, na przykład, zwiększanie bezpieczeństwa Polski polega na dywersyfikacji dostaw gazu i poszukiwaniu źródeł innych niż rosyjskie — tymczasem dla wielu innych państw

ta sama dywersyfikacja oznacza sprowadzanie większej ilości gazu z tej samej Rosji. Obecne podejmowanie decyzji bez współpracy nie sprzyja narodowym interesom, co więcej — może doprowadzić do olbrzymiego chaosu. Opracowanie ogólnoeuropejskiej strategii energetycznego bezpieczeństwa i konsekwentne jej wdrażanie może realnie wpłynąć na poprawę sytuacji we wszystkich państwach. Państwowom dysponującym dzisiaj mniejszymi zasobami system taki może dać szansę bardziej efektywnego zaspokajania ich potrzeb.

Paradoksalnie, system podwójnego opodatkowania może wręcz doprowadzić do obniżenia finansowych obciążeń — dzięki jednoczesnemu obniżeniu podatków krajowych. Dążenie do jego wdrożenia wydaje się zatem absolutnie racjonalne i mieści się w ramach rozumiejącego dzisiejszy świat liberalizmu.

Jedna Europa to także jeden głos na arenie międzynarodowej. Podstawa instytucjonalna w postaci Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych już funkcjonuje. Kwestią otwartą pozostaje dalsze integrowanie służb dyplomatycznych poszczególnych państw. O ile całkowita ich likwidacja i zastąpienie europejskim korpusem nie musi być najlepszym pomysłem, o tyle zasadne może być zarezerwowanie dla europejskiej dyplomacji (w skład której wchodzić będą przedstawiciele wszystkich państw członkowskich) wyłączności na podejmowanie określonych działań, jak podpisywanie w imieniu Wspólnoty najważniejszych międzynarodowych traktatów, porozumień bi- oraz multilateralnych w określonym zakresie, czy wreszcie rozwiązywanie konfliktów między członkami Wspólnoty.

Struktury federalne to również szansa na wzmocnienie europejskiego bezpieczeństwa. Najbardziej realnym pomysłem rozwoju wspólnej polityki obronnej wydaje się tworzenie jednolitych struktur

dowódczych, którym poszczególne państwa będą „wypożyczać” swoje jednostki. System ten może być z czasem uzupełniany przez wielonarodowe formacje. Europejska polityka obronna powinna być kreowana jako uzupełnienie funkcjonującej dzięki NATO współpracy transatlantyckiej. Otwarta formuła powinna również przewidywać potencjalną współpracę z innymi podmiotami, umożliwiając tworzenie sojuszy o globalnym zasięgu.

Europejskie bezpieczeństwo i stabilność to nie tylko silna armia. Budowa społecznej stabilności jest zadaniem nie mniej ważnym, a jednocześnie wymagającym jeszcze większych nakładów finansowych oraz wykreowania skutecznego systemu, uwzględniającego specyfikę problemów poszczególnych członków Wspólnoty. W wielu kwestiach zwykliśmy zajmować się zwalczaniem widocznych dla nas skutków, nie starając się myśleć o ich przyczynach. Typowym przykładem konsekwencji myślenia skupionego na zwalczaniu skutków jest polityka państw europejskich wobec nielegalnej imigracji. Obecnie przypomina ona bardziej wojnę z ludźmi niż z problemem. Zarówno w tym, jak i w bardzo wielu innych przypadkach wiele mogłyby zmienić ogólnoeuropejskie instytucje zajmujące się określonymi kwestiami. Nie jest moją ambicją opisywanie tutaj wszystkich problemów europejskich społeczeństw. Kiedy jednak przyjrzymy się bliżej kłopotom młodych ludzi czy sytuacji demograficznej poszczególnych państw, dostrzeżemy, że sytuacja większości europejskich społeczeństw jest podobna. I nawet jeśli pewne kwestie są w niektórych państwach jednym z głównych tematów publicznej debaty, a w innych zagadnieniem z zakresu futurologii (jak na przykład wielokulturowość i jej rola w świecie europejskich wartości), to nie oznacza to, że nie staną się one aktualne w państwach z drugiej grupy nawet nie za 20 czy 30, ale już za 5 lat. Kreowanie przestrzeni dla wspólnej debaty oraz pró-

ba tworzenia jednolitych systemów rozwiązywania konkretnych problemów wydaje się koniecznością.

Europa potrzebuje jedności przejawiającej się we wspólnych strukturach. Najważniejszym zadaniem jest przekształcenie powszechnego myślenia o sprawach europejskich jako problemach „onych” w poczucie wspólnej odpowiedzialności, wspólnego interesu. Bez poparcia ze strony prostych ludzi żaden projekt budowy wspólnej Europy nie odniesie sukcesu. Silna, otwarta i demokratyczna konfederacja — taki powinien być cel na najbliższe dziesięć lat. Czy to się uda — zależy od nas wszystkich, od ludzi wierzących w wielki europejski projekt.

Michał Żakowski — student polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim, przewodniczący warszawskiego koła Stowarzyszenia Projekt: Polska.

IN VITRO

ZASADY RACJONALNEJ DEBATY O *IN VITRO*

Temat *in vitro* odsłania specyficzną niemoc w polskim dyskursie publicznym. Podczas gdy jedni straszą „mrożeniem dzieci” i utożsamiają prawo do wyboru w kwestii *in vitro* z prawem do aborcji lub eutanazji, drudzy mówią o „prawie do szczęścia”, omijając szerokim łukiem trudną problematykę bioetyczną, która nieodłącznie jest z tą sprawą związana. W konsekwencji debata z góry skazana jest na niepowodzenie. To sprawia, że większość opinii publicznej woli pozostawić tę kwestię do indywidualnego rozstrzygnięcia.

Czy istnieje możliwość, byśmy jednak o *in vitro* dyskutowali w sferze publicznej bez okopywania się na coraz bardziej spolaryzowanych stanowiskach i wzajemnego wytykania sobie ślepoty moralnej? Wydaje się, że tak, pod kilkoma jednak warunkami.

Przeciw nadużywaniu tajemnicy

Przed wszystkim w takiej debacie musielibyśmy zrezygnować z argumentu, że zarodek jest człowiekiem. Doprowadziwszy ten argument do logicznego końca, dowiemy się, że jeśli zarodek istotnie jest bezbronnym nienarodzonym dzieckiem, małym człowie-

kiem posiadającym uprawnienia i interesy (choćby oczywisty interes przetrwania), to zezwalanie na mrożenie i usuwanie zarodków okazuje się tożsame z torturami i morderstwem, czynami gorszymi niż porzucenie niechcianego dziecka. Jeśli zaś zarodek nie jest człowiekiem, to osoby opowiadające się przeciwko zapłodnieniu metodą *in vitro* są pozbawionymi współczucia sadystami, którzy broniąc skupisk mnożących się komórek, skazują potencjalnych rodziców na nieszczęście bezpłodności. Ograniczając się do tych dwóch skrajności, sami popadamy w polaryzację w dyskusji: argumentacja *ad personam* przeważa w niej nad argumentacją *ad rem*, a jakkolwiek kompromis będzie niemożliwy do osiągnięcia.

W przypadku argumentu zakładającego, że zarodek jest człowiekiem (a zatem, że jego życie trzeba chronić tak samo, jak to czynimy z każdym ludzkim istnieniem), sami jego orędownicy przyjmują wyjątki. Przyjrzyjmy się zagadnieniu przyzwolenia na aborcję. Pierwszy taki wyjątek, uznawany przez osoby o poglądach konserwatywnych, to sytuacja, gdy ciąża zagraża zdrowiu samej matki, na przykład gdy zarodek zagnieździ się poza macicą. Niektóre osoby o poglądach konserwatywnych akceptują i inne wyjątki — zezwalają na przerwanie ciąży również wtedy, gdy pochodzi ona z aktu kazirodczego lub gwałtu. Skoro zatem argument ochrony życia ludzkiego, mający tak wielki ciężar moralny, nie zawsze obowiązuje, to może nie jest najlepszym argumentem? Kto bowiem dysponuje autorytetem, by decydować, które wyjątki są moralnie dozwolone, a które nie?

Istnieje wreszcie inny powód, dla którego należy ten argument odsunąć. Nie jest tak, że osoby o poglądach bardziej liberalnych uważają, że zarodek, a potem płód, po prostu nie jest człowiekiem i że można beztrąsko skrócić jego życie. Reprezentują raczej przekonanie o koniecznej ostrożności w decydowaniu o tym, kiedy

zarodek staje się człowiekiem. Bo czy naprawdę wiemy, w którym momencie się to dzieje? Gdy łączą się komórka jajowa i plemnik, gdy z moruli powstaje blastula, gdy wykształca się cewa nerwowa, a może gdy płód ma już mózg, bijące serce i cztery kończyny? Co z zarodkami usuniętymi w naturalny sposób przez organizm kobiety przed zagnieżdżeniem się w macicy, co z poronieniami? Kiedy, używając języka świętego Tomasza z Akwinu, mamy do czynienia z potencjalnością, a kiedy już z aktualnością człowieka?

Wydaje się, że zarówno osoby myślące w sposób bardziej liberalny, jak i te o bardziej konserwatywnych poglądach, zarówno wierzący, jak i ci, którzy w Boga nie wierzą, mogą zgodzić się co do jednej rzeczy: tak naprawdę to, kiedy powstaje nowy człowiek, jest tajemnicą. I twierdzenie, że ktoś to wie na pewno, oraz argumentowanie w sferze politycznej, że metoda *in vitro* jest tożsama z zabijaniem dzieci, to nadużywanie tej tajemnicy. Więcej: to przejaw pychy.

Z tych wszystkich powodów argument o tym, że zarodek jest człowiekiem, lepiej zastąpić innym. Mogłyby prawdopodobnie zgodzić się nań osoby o bardzo różnych poglądach. Argument ten brzmi tak: wszystkie decyzje dotyczące ludzkich zarodków czy płodów są decyzjami najwyższej wagi, dotyczącymi ludzkiego życia. Z tego powodu przy ich podejmowaniu konieczny jest głęboki namysł i świadomość, że decyzja o skróceniu ludzkiego życia, nawet w okresie zarodkowym, jest zawsze godna najszczerzego ubolewania.

Decyzje o granicach życia

Jednak aby racjonalna debata na temat *in vitro* była możliwa, konieczne jest nie tylko przekształcenie argumentu o ludzkich zarodkach. Niezbędne jest także skonstruowanie stanowisk — libe-

ralnego, konserwatywnego itd. — abyśmy mieli świadomość, z jakimi argumentami dyskutujemy, a nie sprowadzali wszystko do stwierdzeń w rodzaju: „to niedopuszczalny iksizm”, „z igrekizmem nie będę dyskutować”. W tym miejscu spróbuję skonstruować stanowisko mi najbliższe — liberalne. Składałoby się ono z kilku zasadniczych punktów.

Po pierwsze to, że ktoś wyznaje w kwestii *in vitro* poglądy bardziej liberalne, nie oznacza, że podchodzi do sprawy w sposób lekkomyślny, kierując się wyłącznie myślą o własnym szczęściu, albo że dopuszcza na równi ze sztucznym zapłodnieniem takie działania jak selekcja zarodków czy klonowanie. Tak jak pisałam wcześniej, wszelkie decyzje dotyczące ludzkiego życia są zawsze poważnymi decyzjami moralnymi. Oprócz zapłodnienia *in vitro* zaliczam do nich również decyzje o aborcji i eutanazji, chociaż nie należy ich ze sobą mieszać. Wszystkie te kwestie nazywam decyzjami o granicach życia.

Po drugie stanowisko liberalne zakłada, że metoda *in vitro* jest uzasadniona z wielu istotnych powodów. Para rodziców, lecząca przedtem bezpłodność innymi sposobami, ma prawo pragnąć urodzenia własnego dziecka metodą sztucznego zapłodnienia. Dla wielu osób adopcja nie musi być rozwiązaniem równie pożądanym, jak posiadanie własnego potomstwa. Wbrew pozorom osoby, które chcą skorzystać z zapłodnienia *in vitro*, mogą robić to dlatego, że pragną budować rodzinę wedle (wspieranego przez polskich konserwatystów) tak zwanego modelu tradycyjnego. Łączą więc poglądy liberalne w jednej kwestii z bardziej konserwatywnymi w innej.

Po trzecie liberalny podział na kwestie prywatne i publiczne sprawia, że od państwa nie oczekuje się ingerencji w to, co dzieje się w kwestii leczenia bezpłodności danej pary. Rodzice mają

prawo podjąć decyzję o zrezygnowaniu z metody *in vitro* lub wypróbowaniu jej. Inni — ich rodzina, przyjaciele, opinia publiczna — mają prawo nie zgadzać się z ich decyzją i tę niezgodę wyrażać, ale nie mogą narzucać swojego zdania. Rodzice powinni móc decydować o tym w świetle obowiązującego prawa, to znaczy, że ich postępowanie nie powinno uwzględniać praktyk zakazanych ze względu na społeczne niebezpieczeństwo, w tym takich metod jak klonowanie ludzi, tworzenie hybryd, selekcja zarodków. W tym sensie prawne uregulowanie sprawy *in vitro* jest konieczne.

Rozmowa o *in vitro* dotyczy jednej z fundamentalnych kwestii odnoszących się do daru, na którym opiera się nasze życie społeczne: daru życia. Temperatura sporu jest zatem uzasadniona i gdy przyjrzymy się analogicznym dyskusjom w innych krajach, zobaczymy, że również tam były one bardzo ożywione. Jednakże tylko wtedy, gdy będziemy umieli przedstawiać swoje poglądy w sposób przemyślany i dyskutować, używając do tego jasno sprecyzowanych argumentów, mamy szansę, by świadomość własnych przekonań przełożyła się na wzajemny szacunek. Bez niego nie osiągniemy żadnego kompromisu i nie uda nam się zapobiec postępującej dziś w Polsce radykalizacji sfery publicznej.

* Korzystałam z książki: Ronald Dworkin, *Life's Dominion: An Argument about Abortion, Euthanasia, and Individual Freedom*, Vintage Books, New York 1994.

Karolina Wigura — socjolożka i dziennikarka, adiunktka w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, członkini Rady Programowej Kongresu Kobiet, członkini redakcji „Kultury Liberalnej”.

Tekst w zmienionej wersji ukazał się pierwotnie w tygodniku internetowym „Kultura Liberalna” nr 185 (30/2012) z 24 lipca 2012 r.

HIPOKRYZJA *IN VITRO*

Sprawa regulacji stosowania metod zapłodnienia pozaustrojowego, z łacińsko-angielska zwanego w świecie *In Vitro Fertilization* (IVF), a u nas po prostu *in vitro*, ma niemałe znaczenie polityczne, i to w kilku wymiarach. Po pierwsze stanowi kolejny przyczółek dla budowy w Polsce kultury bioetycznej, a więc tej części kultury liberalnego państwa prawa, która obraca się wokół spraw medycyny; zarówno społeczeństwo, jak i władze mają okazję zapoznać się z pewnym, może i bardzo szczegółowym, lecz charakterystycznym zagadnieniem bioetycznym. Po drugie sprawa *in vitro* stanowi część dobrze zdefiniowanego pola walki ideologicznej pomiędzy duchem liberalnej konstytucji i państwowości polskiej a dyskursem kościelnym. Wynik tej potyczki będzie miał niebagatelne znaczenie dla parytetu sił między państwem i Kościołem, a więc również dla stosunków państwo — Kościół i całego systemu władzy w Polsce. Po trzecie sprawa *in vitro* wiele znaczy dla relacji między Kościołem instytucjonalnym a osobami chodzącymi do kościoła; formalnie są oni „wiernymi”, lecz w wielu kwestiach, w tym właśnie w kwestii *in vitro*, w większości nie dowierzają swoim kapłanom.

Kwestia dla problemu *in vitro* kluczowa, czyli zakres ochrony

prawnej przysługującej embrionowi, a więc troska moralna o embriony, jest tu zupełnie marginalna i służy jedynie za pretekst. Sprawa *in vitro* obecna jest w polskim życiu publicznym niemal wyłącznie jako kwestia ambicjonalna i ideologiczna, wytaczana przez Kościół katolicki w ramach kampanii inicjowanej przez Watykan. Jako że, siłą rzeczy, mowa jest jednak o zarodkach i ich ochronie, debata o *in vitro* sprawia odpychające wrażenie, jak zawsze gdy mamy do czynienia z dojmującą hipokryzją przemieszaną z ignorancją. Ideologiczna instrumentalizacja *in vitro* jest zjawiskiem moralnie złym, niemniej jednak należy się cieszyć, że w prowadzonym konflikcie przebijają się czasami głosy kompetentne, co może mieć wpływ na podniesienie świadomości bioetycznej wielu ludzi, w tym również polityków. Jeszcze bardziej cieszyć się trzeba z tego, że otwarty został front walki ideologicznej między etycznością liberalną a katolicyzmem, z jakimiś szansami na zwycięstwo tej pierwszej. Dlaczego jednakże tak roztropny i ostrożny Kościół zdecydował się postawić kwestię *in vitro* na ostrzu noża i wywołać wokół niej wojnę ideologiczną o bardzo niepewnym rozstrzygnięciu? Odpowiedź na to pytanie jest podwójna. Po pierwsze Kościół zawsze prowadził wojny ideologiczne i wybierał ten front, na którym miał duże szanse na zwycięstwo, czyli przekonanie mas. W zamierzchłych czasach były to wojny z heretykami i czarownicami. W wieku XIX i po części jeszcze w XX, kiedy to kwestie doktrynalne nie mogły już rozpalać namiętności, czartem, którego zaczęto z pasją zwalczać, były masturbacja oraz seks przedmałżeński. Jako że w zębne dla ciała i duszy skutki tych praktyk nikt już nie wierzy, Kościół obrał sobie (około 100 lat temu) nowy przedmiot, na którym skoncentrował swe egzorcystyczne moce, a mianowicie aborcję. Do aborcji dołączyła następnie eutanazja oraz *in vitro*, tak że obecnie można mówić o „pakiecie bioetycznym”, będącym

nowoczesną formą definiowania sił demonicznych, z którymi inkwizycja może walczyć, budząc nieco mniej zgorszenia niż wtedy, gdy torturowała Żydów i czarownice. W owych czasach zresztą aborcja nic a nic Kościoła nie obchodziła. *In vitro* jest wszelako dla niego czymś więcej niż tylko jednym z elementów aktualnej strategii ideologicznej i retorycznej. Jest wielkim i wstydlivym problemem teologicznym — tak ważkim, że zdecydowano się na stoczenie walki na tym polu, pomimo marnych szans. Ba, wznowiono tę walkę na lokalnym polskim gruncie, gdy w szerokim świecie cała wojna o *in vitro* została przez Kościół z kretesem przegrana. Metoda IVF jest bowiem powszechnie akceptowana i stosowana i nic nie zapowiada, aby miało się to zmienić. Na czym polega ów pałacy problem teologiczny? Otóż chodzi tu o splecione ze sobą kwestie „grzechu pierwородnego”, „niepokalanego poczęcia” oraz kultu dziewictwa. Skalaniem, do którego odwołuje się wyrażenie „niepokalane poczęcie”, jest uprawianie seksu. Kościół wyobraża sobie, że konieczność spółkowania jest jednym z najważniejszych następstw grzechu Adama i Ewy w raju (grzechu pierwородnego), a co więcej, udział w tym grzechu kolejnych pokoleń pozostaje związany z faktem, że przyszliśmy na świat dzięki spółkowaniu naszych rodziców. Dlatego dwie osoby, których rodzice — wedle doktryny — nie uprawiali seksu, a więc Maria oraz Jezus, w znacznej mierze wolne są od destrukcyjnego moralnie oddziaływania grzechu pierwородnego, dzięki czemu są czyste w oczach Boga. Idei tego rodzaju nie wymyślili zresztą katolicy. Zarówno kult dziewictwa, jak i obsesyjny stosunek do seksu jako fundamentalnego zła mają dawniejsze tradycje. Mniejsza jednakże o to. Dramatyczną perspektywą dnia dzisiejszego jest pojawienie się technicznej możliwości poczęcia i urodzenia dziecka przez dziewicę. Ba, całkiem możliwe, że już są na świecie takie

dzieci — spełniające pewien kluczowy (choć nie jedyny) warunek niepokalanego poczęcia. Byłoby to widowym dowodem na to, że Bóg godzi się nie tylko na stworzenie duszy w szkle (bo tak się ma sprawa w przypadku stosowania *in vitro*) zamiast w macicy, lecz także na dziewicze poczęcie grzesznika przez grzeszników. Byłoby to jakby igranie przez Boga z dogmatem i towarzyszącymi mu wyobrażeniami oraz odczuciami ludu. Trudno sobie wyobrazić, aby lud w takich okolicznościach zachował prostą wiarę w katolicką interpretację związku między seksem, grzechem pierworodnym, niepokalanym poczęciem i świętym dziewictwem. Oczywiście, jak zawsze usłużna spekulacja teologiczna dostarczy wszelkich potrzebnych wyjaśnień, niemniej jednak ich siła przekonywania, a nawet samo ich upowszechnienie pośród wiernych, wydają się mieć mizerne perspektywy. Na razie więc Kościół udaje, że problemu teologicznego nie ma wcale. Postawa ta dowodzi bezradności i przerażenia w obliczu ewentualności dziewiczych porodów.

Trudno sobie wyobrazić większą przepaść i niewspółmierność od tej, która powstaje między kręgiem fantazji teologicznych związanych przez przypadek z *in vitro* a realną etyczną i prawną materią tego zagadnienia. Dla uwypuklenia tego kontrastu przedstawię istotę *in vitro*. Nie ma tu miejsca, by zrobić cokolwiek więcej, a więc na przykład przedstawić różne rozwiązania problemu. Chciałbym jedynie, aby stało się jasne, że sytuacja, w której procedury zapłodnienia ustrojowego praktycznie w ogóle nie są uregulowane przez prawo, a tym samym wolno niemalże wszystko, jest etycznie nieznośna. Przyczyną nieuregulowania kwestii *in vitro* w naszym kraju jest nie tylko brak poczucia odpowiedzialności za zarodki, ale przede wszystkim wojna ideologiczna wytoczona przez Kościół, który za nic mając przedłużanie się stanu całkowitej dowolności w tej sferze życia, torpeduje wszelkie próby jej uregu-

lowania, żądając, aby takiej regulacji nie było wcale, w jej miejsce zaś wprowadzono całkowity zakaz IVF. Jednocześnie władze kościelne są w pełni świadome, że pomimo strachu polityków przed Kościołem całkowity zakaz *in vitro* jest niemożliwy do wprowadzenia. Tym samym Kościół nie tylko przyczynia się do utrwalenia skrajnie liberalnego stanu prawa, ale aktywnie i świadomie działa na jego rzecz. Wystarczyłoby tylko, aby przestał się do tych spraw wtrącać, a wtedy można by liczyć na szybkie wprowadzenie uregulowań w jakiś sposób chroniących embriony ludzkie powstające w ramach procedury zapłodnienia pozaustrojowego.

A więc o co chodzi w kwestii *in vitro*? Najpierw powiedzmy, o co w tej kwestii nie chodzi. Nie chodzi o metafizykę, a więc o takie sprawy, jak istnienie duszy czy inkarnacja, ani też kwestie metafizyczno-semantyczne, jak rozumienie znaczenia terminu „osoba” i rozstrzygnięcie, czy embrion jest osobą. Te zagadnienia w ogóle nie mogą być brane pod uwagę, bo wiadomo, że nie są rozstrzygalne w sposób konkluzywny, autorytatywny (jak niektóre kwestie naukowe) i powszechnie akceptowane. W kwestiach nierokujących rozstrzygnięcia oraz powszechnej zgody przekonanych etycznych (a na szczęście w większości spraw taka zgoda powszechna panuje) prawodawca demokratycznego i wolnego kraju nie może brać strony jednej części społeczeństwa i ustanawiać prawa po jej myśli, nakładając na pozostałych zakazy bądźż przymus. Uregulowanie kwestii *in vitro* nie wymaga jednakże wdawania się w metafizykę ani etycznej stronniczości. Wynika to z faktu, że istnieje w społeczeństwie konsensus mówiący, że embrion, nawet kilkukomórkowy, nie jest zwykłą tkanką, lecz powinien być w jakiś sposób chroniony, jednak nie tak, jak człowiek urodzony. Nikt nie uważa, że z embrionami można robić, co się chce, bez żadnej kontroli prawa, czy też, że uśmiercenie embrionu powinno być

karane tak jak zabójstwo. Wszyscy zgadzamy się, że status prawny embrionu jest pośredni, i wszyscy stoimy przed tym samym pytaniem, jaki on ma być. Powodem do stawiania tych pytań okazuje się szczególna cecha techniki *in vitro*, polegająca na tym, że prokreacja nie jest w tym przypadku zdana wyłącznie na przypadek, lecz przebiega pod kontrolą, i to do tego stopnia, że znajdujemy się w posiadaniu żywych zarodków, którym możemy zapewnić przetrwanie, nawet jeśli nie zostaną wszczone.

Konwencjonalne metody walki z niepłodnością zakładają zgodę na utratę wielu zarodków, zanim dojdzie do urodzenia się dziecka. Kobieta przyjmuje wielokrotnie terapię hormonalną, by następnie poronić płód. Medycyna nie mówi, jak można by taki płód ratować, na przykład zamrażając go. Takiej umiejętności nie posiadamy ani się o nią nie staramy. Nasza wrażliwość na los i prawa embrionów tak daleko nie sięga. Gdy kobieta (para) stosuje terapię hormonalną, ma nadzieję, że za którymś razem uda się ciążę utrzymać, i tak się bardzo często dzieje, tyle że urodzenie jednego dziecka nie pociąga za sobą (jak w przypadku w pełni płodnych kobiet) śmierci jednego embrionu, lecz kilku. Zgoda na wielce prawdopodobną śmierć wielu płodów, i to mających tysiące, miliony komórek, a nie sto, jak w przypadku *in vitro*, nie budzi jak dotąd etycznego niepokoju. W przypadku tej techniki niepokój pojawia się dlatego, że w odróżnieniu od terapii hormonalnej zarodki nie przepadają, lecz niejako obarczają nas odpowiedzialnością za swój los, gdyż mamy je w swej pieczy. Już nie przypadek zadecyduje, który zarodek zostanie wszczepiony, lecz lekarz, tak jak i lekarz zadecyduje o dalszym losie tych zarodków, które na razie wszczone nie będą. Nie chodzi więc o to, że metoda IVF sprawia, że tracimy szczególnie dużo zarodków, bo to nieprawda, ale o to, że sami musimy o nich decydować. Musimy przeto odpowiedzieć sobie

na pytania, kto i w jakim trybie ma te decyzje podejmować i na podstawie jakich kryteriów. A więc: ile można tworzyć zarodków, jak należy dokonywać ich selekcji i kwalifikować do wszczepienia, w jakich warunkach je przechowywać, komu i na jakich zasadach udostępniać do wszczepienia w późniejszym czasie, pod jakimi warunkami i w jakich okolicznościach używać ich do badań naukowych, a w jakich okolicznościach niszczyć? Odpowiedź na te i inne jeszcze pytania wymaga określenia statusu prawnego zarodka, a zwłaszcza podjęcia decyzji odnośnie do tego, pod czyją władzą znajduje się zarodek i kto jest powołany do decydowania o jego losie. W każdym wypadku rozstrzygnięcie tych kwestii, nawet jeśli będzie to regulacja bardzo liberalna, oznacza postęp etyczny w stosunku do sytuacji wyjściowej, gdy nie znano jeszcze metod IVF i gdy liczne poronienia i ginące w ich trakcie embriony, często wielotygodniowe, przepadały w kanalizacji lub śmietniku, nie budząc specjalnego współczucia ani skrupułów.

Społeczeństwo nie jest podzielone w kwestii *in vitro*. Oprócz garstki zelotów gotowych metodami przymusu prawnego załatwiać swoje problemy doktrynalne oraz niewielkiego odłamu społeczeństwa, któremu zdołano wmówić kłamstwa na temat metody IVF, ogromna większość Polaków uważa przewyższanie skutków niepłodności za pomocą zapłodnienia pozaustrojowego za wielkie zwycięstwo nauki i wielkie dobrodziejstwo. Swoją drogą, czy można na serio przypuszczać, że Kościół nie zmieni w tej sprawie zdania za kilkadziesiąt lat, skoro zmienił je w tylu innych — pod wpływem globalnego rozwoju etycznego, którego nie mogą zignorować żadne, nawet najbardziej konserwatywne siły?

Jan Hartman — filozof, profesor nauk humanistycznych, wykładowca akademicki oraz kierownik Zakładu Filozofii i Bioetyki Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego.

ZARODEK NIE JEST JEDNYM Z NAS

Dom stoi w płomieniach i zaraz się zawali. Mamy czas, aby uratować albo parę dzieci krzyczących o pomoc, albo znajdującą się w przeciwległym skrzydle budynku próbkę z dziesiątkami zamrożonych zarodków. Rodzi się dylemat: komu przyznacie pierwszeństwo? Jeśli zgodnie z waszymi przekonaniem zarodki to istoty ludzkie, odpowiedź jest prosta — zostawmy na spalenie żywcem dwoje dzieci, gdyż uratowanie dziesięciu „osób” jest lepsze niż uratowanie zaledwie dwóch.

Rzadko się zdarza, aby zwolennicy tezy o traktowaniu embrionów jako istot ludzkich zdawali sobie sprawę lub brali na serio nieuniknione implikacje swoich apodyktycznych stwierdzeń.

Jeśli zarodek jest istotą ludzką, całkowicie bezbronną i niezdolną do obrony swoich praw, to jego ochrona prawna winna być maksymalna, zrównana we wszystkim z ochroną przyznawaną istotom ludzkim już narodzonym. Jednak nikt nie jest w stanie wziąć odpowiedzialności za to stwierdzenie, wobec czego środki prawne proponowane przez zwolenników tej tezy ograniczają się zazwyczaj do prób narzucenia wszystkim obywatelom

norm zgodnych z własną ideologią, własną wizją świata i — koniec końców — z własną religią. Co więcej, utrudniają życie tym, którzy nie zamierzają przystosować się do tych reguł, ponieważ mają odmienne przekonania, zwłaszcza jeśli chodzi o życie seksualne. Prawie nigdy zwolennicy tezy o zarodku jako istocie ludzkiej nie dążą jednak do jej całościowego uwzględnienia w normach prawnych.

Nie stało się tak również w przypadku włoskiej ustawy o sztucznym zapłodnieniu, jednej z bardziej restrykcyjnych w Europie, zatwierdzonej przez większość parlamentarną klerykałno-populistycznego rządu Berlusconi, a następnie uznanej za niekonstytucyjną przez Trybunał Konstytucyjny. W swojej pierwotnej formule ustawa określała liczbę embrionów, które można zniszczyć podczas prób zapłodnienia, a także zmuszała kobiety do poddawania się bolesnym i bezużytecznym procedurom (zachęcając tym samym majątne pary do przeprowadzania zabiegów *in vitro* za granicą). Jak jednak jest możliwe, że ten, kto broni tezy o zarodku jako osobie, dopuszcza ograniczone limitami „zabójstwo”?

Ta ewidentna sprzeczność nie powinna w rzeczywistości zaskakiwać, gdyż jest logicznym rozwinięciem wspomnianej tezy. Zgodnie z nią konieczne byłoby wyciągnięcie wniosku, że zniszczenie zarodka, w jakikolwiek sposób umotywowane, pociąga za sobą sankcje identyczne jak za zabójstwo osoby już urodzonej. Konsekwencje prawne musiałyby być więc takie same jak w przypadku zabójstwa umyślnego (albo nieumyślnego, w afekcie, próby zabójstwa...).

Wychodząc z powyższego założenia, nie można by się bronić przed karą argumentem o powszechnym odejściu od tradycyjnych wartości. Został on raz na zawsze odrzucony po procesach

w Norymberdze i Tokio oraz procesie Eichmanna w Jerozolimie jako obcy współczesnej liberalnej świadomości prawnej, tak często oskarżanej o „relatywizm moralny”.

Krytykowana tutaj teza prawie nigdy nie jest przedstawiana jako prawda dogmatyczna religii katolickiej, lecz jako potwierdzony naukowo fakt naturalny. Dla przykładu: powołując się na dowód naturalny, uznany dzięki współczesnym badaniom, Kościół katolicki może usprawiedliwić to, że aborcja nie była traktowana jako zabójstwo przez hierarchów — teologów, papieży, biskupów — aż do XVII wieku (przeciwnie stanowisko było niezwykle rzadkie), oraz uprzędzić zarzuty, że teza o zarodku jako istocie ludzkiej stała się doktryną oficjalną dopiero za czasów Piusa IX, a w kodeksie prawa kanonicznego zawarto ją w 1917 roku.

Niestety, te „naukowe” dowody nie mogą być zaakceptowane przez naukowców, którzy co prawda mogą powiedzieć, czym jest zygota, morula, blastocysta, zarodek, płód czy osoba indywidualna, ale z pewnością nie są w stanie podać definicji „osoby ludzkiej”, bowiem nie jest to koncept naukowy, lecz filozoficzny, moralny, prawny lub religijny. Ten domniemany dowód nie jest też przyjmowany bezkrytycznie przez ogół samych wierzących katolików, nie odzwierciedla przekonań większości europejskich chrześcijan, w tym teologów protestanckich. Zdrowy rozsądek zaleca ostrożność w uznawaniu za wydarzenie żałobne braku naturalnego zagnieżdżenia blastocysty w macicy oraz wynikającą z niego „śmierć”. Los, który jest udziałem około 80% poczęć, powinien wstrząsnąć całą ludzkością i pozostawić ją w obsesyjnej i niemal ciągłej żałobie. Tymczasem powinniśmy świętować: wraz z pięciokrotnym pomnożeniem rodności ludzie zniknęliby z powierzchni ziemi już jakiś czas temu.

Właśnie ten ostatni element winien nieść za sobą bardziej realistyczną ocenę problemu. To przez samą swoją naturę zarodek, dopóki jest zarodkiem, jest jedynie próbą o małej „wartości”. Niezagnieżdżony zarodek z niewielkim prawdopodobieństwem da życie nowej jednostce, tak więc ma wątpliwą podmiotowość, która w zależności od wielu czynników może dać życie nie tylko jednej osobie (lub żadnej), ale także dwóm lub więcej osobom. Zarodek, który nie rozwinął jeszcze załączka systemu nerwowego, w mniejszym stopniu zasługuje na nasze współczucie niż zwierzę, które jest w stanie odczuwać ból w sposób zbliżony do naszego. Udawanie, że zbiór komórek o wielkości mniejszej niż jeden milimetr od razu posiada taką samą wartość jak istnienie ludzkie, jest czystym absurdem, co — jak mi się wydaje — ukazuje przedłożony na początku dylemat z płonąącym domem. Jest to punkt widzenia podobny do ekstremalnego teoretyzowania animalistów i wegan, dla których usmażenie jajka jest równe poderżnięciu kurze gardła. Embrion nie powinien mieć wartości większej od kurczaka (i w przeszłości, gdy Kościół katolicki uznawał go jeszcze za „nieożywiony”, mu jej nie przyznawano). Jeśli już szukać analogii, mógłby być porównywany do ameby.

Koszty wprowadzenia do prawa zakazów religijnych są trudne do oszacowania. Nie chodzi wyłącznie o problemy, z którymi borykają się bezpłodne pary korzystające ze sztucznego zapłodnienia. Zakazując badań nad komórkami macierzystymi, ogranicza się rozwój badań nad leczeniem najbardziej śmiertelnych chorób naszych czasów. Nie jest zadaniem polityki, lecz społeczności naukowej wytyczanie granic dla tych badań.

Zbyt wielu polityków, także świeckich, milknie, gdy głos zabierają osoby, które przypominają, że wszyscy kiedyś byliśmy embrionami.

Nietrudno znaleźć odpowiedź, że jeśli o to chodzi, to jeszcze wcześniej byliśmy prochem. I w proch się obrócimy. Nie jest to jednak dobry powód dla ubóstwiania prochu.

tłum. Wojciech Skrzypczak

Giulio Ercolessi — w latach 70. lider Włoskiej Partii Radykalnej, współpracownik Fundacji Krytyki Liberalnej, publicysta, komentator spraw międzynarodowych dziennika „Il Secolo XIX”.

DRYF ROZWOJOWY CZY ZRYW INNOWACYJNY?

22 lata temu Polska dokonała zasadniczego przełomu politycznego i gospodarczego. Gruntownie przebudowane gospodarka i system polityczny zapewniły imponujący rozwój kraju na wiele lat. Skala i rozmach reform zmieniły samych Polaków, zainspirowały ogromny wybuch przedsiębiorczości. Istotą przeobrażeń zainicjowanych przez Mazowieckiego i Balcerowicza nie była jednak zmiana instytucjonalna. Ich kluczowym efektem okazała się zmiana w świadomości Polaków, pchnięcie ich na drogę indywidualnego rozwoju i ambitnego „gonienia świata”. Ku zaskoczeniu wielu, reformy przekreśliły fatalistyczną logikę, zgodnie z którą w Polsce „nic się nie da zrobić”.

W trzeciej dekadzie od czasu tych przełomowych zmian wszystko w zasadzie wygląda jak najlepiej: PKB rośnie, dystans do krajów europejskich zmniejsza się, a ONZ zaliczyło Polskę do grupy państw wysoko rozwiniętych. Polska dysponuje również ogromnymi środkami strukturalnymi Unii Europejskiej, którym zawdzięczamy setki kilometrów dróg, nowe biblioteki i stadiony piłkarskie. Taka sytuacja potrwa najprawdopodobniej do

końca kolejnej perspektywy finansowej zaplanowanej na lata 2014—2020.

Jednocześnie coraz wyraźniejsze staje się przekonanie, że model rozwoju kraju zainicjowany w 1989 roku i pobudzony przez akcesję do Unii Europejskiej zaczyna powoli się wyczerpywać. Wraz ze wzrostem zamożności kraju znika atut taniej siły roboczej, dzięki której do Polski napłynęły miliardy z inwestycji zagranicznych. Boom edukacyjny spowodował wzrost poziomu wykształcenia milionów osób, ale coraz bardziej staje się widoczna jego niska jakość i mała przydatność na rynku pracy. Wybuch indywidualnej przedsiębiorczości traci energię, bo nie towarzyszy mu umiejętność współpracy. Wszystko to odbywa się pod egidą słabego państwa, które swoją niewydolność kompensuje, narzucając kolejne regulacje i budując kulturę kontroli oraz braku zaufania.

W społeczeństwie zmęczonym po ponad dwudziestoletniej transformacji pojawia się przekonanie, że dotarliśmy w końcu do kresu zmian, że kraj skierowany został na odpowiednie tory, co zapewni mu spokojny rozwój bez konieczności reformatorskich zrywów i osobistych wyrzeczeń. W taki typ nastrojów społecznych znakomicie wpisała się polityka „tu i teraz”. Wielu z nas jednak nie zauważa, że kiedy Polska w szaleńczym tempie odbudowywała wolny rynek i przyciągała inwestycje, na całym świecie zasadniczo zmieniał się model gospodarczy. I choć dziś Polska rzeczywiście przypomina normalny zachodni kraj, to raczej ten z końca lat 90., a nie z drugiej dekady XXI wieku. Przystąpienie do Unii Europejskiej traktowane, i słusznie, jako cel cywilizacyjny szybko stało się czymś oczywistym. Jednocześnie wielu uznało je za remedium na bolączki państwa — dyrektywy napisane przez sprawną brukselską biurokrację miały postawić tamę zalewowi zbędnej i sprzecznej legislacji, a pieniądze unijne pomóc wybudować dro-

gi, abyśmy poczuli się wreszcie jak na Zachodzie (lub przynajmniej w Czechach). Mieliśmy przekroczyć cywilizacyjny Rubikon, być po lepszej, właściwej stronie Europy. Mówiąc krótko, Bruksela miała nam pokazać, jak się rządzi państwem. Wszystkie te oczekiwania właściwie zostały spełnione, ale pomimo tego pozostaje wrażenie, że nie wiemy, w jakim kierunku zmierza kraj.

Zamiast przejmować od Brukseli dobre wzorce, jak na przykład sprawność tamtejszej biurokracji, obecność w UE zaczęła stawać się wygodnym alibi, pozwalającym zrezygnować z długofalowego myślenia pod pretekstem „dostosowywania się” do regulacji Wspólnoty. Uznano, że fundusze strukturalne same odpowiednio ustrukturyzują polską gospodarkę, że nie ma potrzeby tworzenia sprawnej klasy urzędniczej, skoro jest już taka w Brukseli, że jakość prawodawstwa sama wzrośnie, skoro większa jego część będzie musiała mieścić się w unijnych ramach.

Osiem lat po przystąpieniu do Unii Europejskiej — i skonsurowaniu właściwie wszystkich pieniędzy z kilkuletniego budżetu unijnego oraz wdrożeniu setek aktów prawnych — można bez wątpienia sformułować tezę, że choć Bruksela ma znaczny wpływ na bieg spraw w Polsce, to nie wyręczy nas w opracowywaniu strategii na poziomie krajowym. Co więcej, jak niedawno pokazał raport prof. Jerzego Hausnera pt. *Kurs na innowacje*¹, poważna część środków europejskich wydawana jest rozrzutnie, skomplikowany system przyznawania funduszy stał się narzędziem budowania wpływów politycznych na poziomie lokalnym, a część wielkich inwestycji będzie trwale nierentowna. Charakterystyczny jest brak rozwiązań, dzięki którym obecny system gospodarczy i społeczny udałoby się poprawić. W największej części odpowiedzialne

1 Dostępny na stronie http://fundacja.e-gap.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=139&Itemid=83.

są za to słabość instytucji państwa i prawodawstwa, niski poziom kompetencji urzędników oraz brak przywództwa politycznego wykraczającego poza perspektywę najbliższych wyborów. Instytucje publiczne, które z biegiem lat rozrosły się do ogromnych rozmiarów (trzykrotnie większych niż w 1989 roku), straciły zdolność reagowania na zmieniające się otoczenie i zainteresowane są głównie podtrzymywaniem *status quo*. Nawet najlepsi urzędnicy zostali wtłoczeni do systemu, w którym najważniejszą kompetencją jest, jak za starych czasów, „niewychylenie się”. Prawdziwą sensację wywołuje pojawienie się kompetentnego i skutecznego urzędnika w ważnej instytucji publicznej — przez lata bohaterką mediów była Anna Streżyńska.

Marazmem charakterystycznym dla sfery państwowej zaczynają się zarażać instytucje pozarządowe, które w większości zamieniły się w konsumentów grantów. Mało imponująco prezentuje się sektor think-tanków, które przede wszystkim prowadzą działalność odtwórczą i publicystyczną i nie wprowadzają do obiegu publicznego żadnych zauważalnie nowych treści. Godne uwagi prace kierowanego przez Michała Boniego zespołu strategicznych doradców premiera przerwano wraz z końcem poprzedniej kadencji rządu i nie widać najmniejszych szans na ich kontynuację.

W instytucjach rządowych trudno zauważyć prace analityczne lub koncepcyjne związane choćby z coraz częściej dyskutowanym na Zachodzie zjawiskiem trzeciej rewolucji przemysłowej. Jej istotą jest skumulowanie wielu zjawisk gospodarczych i społecznych, takich jak powstanie społeczeństwa informacyjnego, zmiany klimatyczne, wyzwania energetyczne (m.in. bezpieczeństwo energetyczne, rozwój energetyki odnawialnej, kres epoki ropy naftowej), silne powiązanie przemysłu z nauką oraz jednoczesny roz-

wój technologii (inteligentne oprogramowanie energetyczne i nowy rodzaj usług internetowych).

Jak podkreślają opublikowane niedawno raporty prof. Michała Kleibera *Mądra Polska*² i wspomniane już opracowanie Jerzego Hausnera, kluczem do przełamania zastoju w sferze publicznej, dryfu w gospodarce i sformułowania odpowiedzi na wyzwania gospodarcze współczesnego świata może stać się innowacyjność. Powinna ona mieć wymiar tak gospodarczy, jak i kulturowy i być obecna w każdej właściwie sferze funkcjonowania państwa.

Wejście Polski na ścieżkę rozwoju przez innowacyjność wymagałoby podjęcia szeregu jednoczesnych działań w kilkunastu dziedzinach polityki publicznej, takich jak edukacja (nastawiona na krytyczne myślenie i zbiorowe działanie), administracja (*e-government*), kultura (ochrona prawa własności intelektualnej) czy narzędzia promowania gospodarczej innowacyjności, jak na przykład kredyty badawcze.

Jednym z kluczowych elementów polityki rozwoju powinny być otwarte zasoby oraz zwiększenie przejrzystości i jawności działania instytucji publicznych. Wobec nadmiaru i niskiej jakości uchwalanej legislacji (niemal dwa tysiące ustaw rocznie) istotne wydaje się również podjęcie trudu rozpoczęcia badań postlegislacyjnych.

Zmian na każdym szczeblu wymaga system edukacji, w szczególności potrzebne są: preferencja jakościowa, a nie ilościowa w szkolnictwie wyższym, przywrócenie systemu kształcenia zawodowego i stworzenie warunków do powszechnego kształcenia ustawicznego. Jak podkreślił w swoim raporcie prof. Kleiber, wielkość kapitału ludzkiego zależy nie tylko od liczby wykształconych

2 Dostępny na stronie: http://www.aktualnosci.pan.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=554%3Aprof-micha-kleiber-prezes-pan-zaprasza-do-debaty-nad-programem--mdra-polska&Itemid=36.

osób, ale również od jakości zdobytej przez nie wiedzy i warunków umożliwiających wykorzystywanie posiadanych umiejętności.

Zarysowane powyżej kierunki to tylko niektóre elementy szerszego projektu korekty obecnego systemu politycznego i gospodarczego w Polsce. Jego stawką jest nadanie nowego impetu strukturom państwa, wybudzenie z letargu obywateli oraz rozwój przedsiębiorczości jednostek i firm. Efektem może być kolejny awans cywilizacyjny Polski, wejście na ścieżkę rozwoju odpowiadającego wyzwaniom współczesnego świata.

Obecnie dokonanie takiej zmiany wydaje się równie nieprawdopodobne, jak w 1989 roku. Ponownie pojawia się znany z przeszłości brak wiary we własne siły. Sukces może być jednak równie spektakularny.

Wojciech Białożył — absolwent Ecole Internationale des Sciences Politiques, pracownik Centrum Cyfrowego Projekt: Polska, członek zespołu redakcyjnego „Liberté!”.

DEMOGRAFIA A KWESTIA UMOWY SPOŁECZNEJ

Demografia z nieubłaganą siłą narzuca fakty, z którymi nie da się polemizować. Można jedynie zastanawiać się nad ich konsekwencjami. Jednym z takich faktów jest to, że sytuacja demograficzna krajów Unii Europejskiej, w tym Polski, radykalnie zmieniła się w ciągu ostatnich lat oraz że kierunek tych zmian utrzyma się przez następnych kilkadziesiąt. Społeczeństwa europejskie bardzo szybko się starzeją. Ten problem to obecnie jedno z najważniejszych wyzwań, przed którymi stoją państwa Unii.

Przyczyn tego zjawiska mamy wiele: z jednej strony jest to bogacenie się społeczeństw zachodnich, z drugiej — zwiększenie roli wartości indywidualistycznych w życiu społecznym. Te ostatnie, z założenia liberalne przemiany — takie jak: postępujące zrównywanie realnych praw kobiet i mężczyzn, upowszechnienie wiedzy o świadomym planowaniu rodziny, nastawienie na indywidualny rozwój — poza oczywistymi pozytywnymi skutkami są także źródłem negatywnych tendencji w demografii. Musimy uznać, że obecny model społeczny oparty na założeniu pełnej reprodukcji pokoleń jest nie do utrzymania. W Polsce w 2025 roku

będzie blisko 6% ludności mniej niż teraz. Proporcja ludzi starszych do młodych zdecydowanie zmieni się na rzecz tych pierwszych. Do najważniejszych konsekwencji tego stanu rzeczy należą: zachwianie wypłacalności systemów emerytalnych, spadek zapotrzebowania na niektóre usługi publiczne, w tym na szkoły, wydłużanie się miast. Każdy z tych punktów kryje za sobą ogromny obszar działań, które trzeba podjąć, by utrzymać nasz poziom rozwoju cywilizacyjnego.

Konieczność reformy systemu emerytalnego

Do 2012 roku większość pracujących była objęta powszechnym systemem emerytalnym. Ze względu na proporcje pomiędzy emerytami i pracującymi każdy zatrudniony utrzymywał do 2012 roku dwóch emerytów — przy braku zmian w systemie emerytalnym i utrzymujących się tendencjach demograficznych wskaźnik ten w 2020 roku wzrósłby do czterech. Na szczęście rząd wprowadził reformę, dzięki której wiek emerytalny kobiet i mężczyzn będzie wyrównany i w 2020 roku wyniesie 67 lat. To zmiana w dobrym kierunku, niemniej jednak nie jest ona wystarczająca. Konsultacje prowadzone podczas wprowadzania nowych regulacji pokazały, że zarówno rząd, jak i społeczeństwo nie są przygotowani do prowadzenia dojrzałego dialogu. Związkowcy reprezentujący pracowników głośno domagali się referendum, które miało udowodnić, że społeczeństwo sprzeciwia się proponowanym zmianom. Przedstawiane do momentu uchwalenia ustawy wyniki badań opinii publicznej były bezlitosne. Od 80% do 90% respondentów — w zależności od badania — deklarowało sprzeciw wobec propozycji podniesienia wieku uprawniającego do przechodzenia na emeryturę. Czy to oznacza, że zmiany trzeba było wprowadzać pomimo tej niechęci? W pewnym sensie tak, ale nie chodzi bynaj-

mniej o antydemokratyczne ciągoty, arogancję czy pogląd, że rząd wie lepiej. W obecnej sytuacji zdecydowane „nie” wobec referendum jest wyrazem odpowiedzialności i rzetelności — wydaje się wezwaniem do prawdziwej debaty publicznej na temat nie tylko emerytur, lecz także przyszłości naszego kraju w perspektywie nie kilku miesięcy, ale kilkudziesięciu lat.

Reforma systemu emerytalnego to duże wyzwanie, nie ma chyba nikogo, kto nie zgodziłby się z tym poglądem. Demografowie są w stanie ze zrozumieniem rozważyć różne scenariusze rozwoju sytuacji demograficznej, a ekonomiści, idąc w ślad za założeniami demografów, mogą przygotować optymalne rozwiązania. Takich rozwiązań jest zwykle kilka i wybór jednego z nich powinien odbywać się przy udziale uczestników systemu, czyli całego społeczeństwa. Aby było to możliwe, obywatele muszą jednak dysponować wiedzą na temat przesłanek, które leżą u podstaw proponowanych regulacji. I tutaj wracamy do sedna sprawy. W sytuacji, w której dyskusja na temat reformy, zostaje sprowadzona jedynie do kwestii podniesienia wieku emerytalnego, nie można się spodziewać innej reakcji niż stanowcze „nie”. Dlaczego niby obywatele mieliby chcieć dłużej pracować? Ci, którzy tego chcą i mogą, zrobią to tak czy inaczej, natomiast dla tych, którzy nie chcą lub nie mogą, będzie to tylko większym zobowiązaniem wobec państwa. Po co się na nie godzić, w imię czego? W imię woli rządzących?

Warto bliżej przyjrzeć się problemowi sprzeciwu. „Nie” dla zmian w systemie emerytalnym pojawia się w kontekście braku wiary w efektywne wypełnianie przez państwo funkcji gwaranta naszych oszczędności. W obecnym systemie obywatele przez całe życie zawodowe składają pieniądze do kasy państwowej i chcą mieć pewność, że otrzymają świadczenia w przyszłości. To prosty mechanizm, przynajmniej w teorii. W praktyce problem polega

na tym, że według obywateli państwo polskie to niepewny gwarant, zmieniający reguły wypłacania świadczeń i przeznaczający uzbierane środki na inne cele. Przez ostatnie lata dokonywano rewizji założeń reformy emerytalnej z 1999 roku. W 2011 rząd Donalda Tuska, zmierzający do rozmontowania kapitałowego filaru systemu emerytalnego, zmienił reguły gry w jej trakcie. To tak, jakbyśmy składali nasze oszczędności w banku, a bank wedle swojego uznania zmieniał nie tylko oprocentowanie, lecz także wysokość kapitału i czas, kiedy możemy pieniądze wypłacić. Kto z nas skorzystałby z usług takiego banku, gdyby nie musiał? Nikt. Obywatele spostrzegli, że na państwo jako gwaranta emerytur trzeba uważać. Zgodnie z oczekiwaniami system emerytalny powinien być pewny, stabilny i przewidywalny. Trudno się dziwić, że Polakom, nauczonym doświadczeniami z przeszłości, brakuje zaufania.

Czy istnieje zatem sposób na przeprowadzenie koniecznych reform przy społecznym zrozumieniu problemu? Tak, ale trzeba wyraźnie powiedzieć, że dotychczasowa debata publiczna zarówno w tej sprawie, jak i w innych nie spełniła swojej funkcji. Co zatem zrobić, żeby wprowadzić jeszcze kilka niezbędnych zmian? Zmian, które podobnie jak ta ostatnia również spotkają się ze społecznym oporem. Chodzi tutaj w szczególności o zniesienie subsystemów emerytalnych, czyli specjalnych emerytur dla służb mundurowych (policja, straż pożarna, wojsko), zmiany w systemie emerytur górniczych oraz zlikwidowanie odrębnego systemu ubezpieczeń społecznych dla rolników (KRUS). Dość powiedzieć, że reformy w tych obszarach są nie tylko uzasadnione ekonomicznie, lecz także niezgodne z poczuciem sprawiedliwości. Nie ma powodu, by mniejsza część społeczeństwa utrzymywała rolnicze emerytury, nie ma powodu, dla którego należałoby zachować przywileje emerytalne dla grup, których praca nie różni się od pracy innych obywateli.

Informowanie opinii publicznej o źródłach i konsekwencjach obecnego stanu rzeczy z pewnością przyczyniłoby się do zmiany postaw. O tym, że jest to możliwe, świadczą choćby badania przeprowadzone na reprezentatywnej próbie mieszkańców Polski. W jednym z pytań zadawanych ankietowanym została bowiem uwzględniona alternatywa, przed którą stoją państwo i obywatele. Przedstawienie trudnej sytuacji systemu ubezpieczeń społecznych pokazuje, że Polacy są skłonni akceptować proponowane zmiany. Na pytanie: „Czy jest Pan (-i) za obniżeniem wysokości emerytur, aby utrzymać wiek emerytalny na obecnym poziomie?” 74% badanych odpowiedziało „nie”³. Ten wynik wyraźnie pokazuje, że gdy problem zostanie odpowiednio zarysowany, dyskusja na temat reformy może wyjść poza prosty sprzeciw dla zmian. Świadczy też o tym, że dla naszych obywateli istotna jest wysokość świadczeń oraz pewność, że zostaną one wypłacone. Sposób wprowadzenia zmian w 2012 roku uświadamia, że państwo nie jest przygotowane do prowadzenia dialogu społecznego. Debata została bowiem ograniczona do tabloidowego dylematu „czy Polacy chcą pracować dłużej, czy nie”. To dowód słabości państwa, które nie potrafi długofalowo wspierać interesów społecznych. Oprócz rozmów ze „stroną związkową” rząd powinien spróbować zaangażować te grupy społeczne, które w przyszłości będą ponosiły koszty nieprzeprowadzonych zmian. Telewizyjne ogłoszenia to za mało, należało oprzeć dialog społeczny na zasadach demokracji deliberatywnej, w której obywatele zamiast pozostawać w roli biernego odbiorcy komunikatów mediowych stają się świadomymi uczestnikami społecznych przemian. Tymczasem rząd w obawie przed narastającymi

3 Badania na zlecenie FOR i Projekt: Polska w dniach 9—11.03.2012 przeprowadził instytut MB SMG / KRC Sondaż telefoniczny na ogólnopolskiej próbie telefonów stacjonarnych i komórkowych N = 1000 wiek 18+.

emocjami starał się przeprowadzić reformę jak najszybciej. Zwracam uwagę na ten fakt, ponieważ uwidacznia on w pełni skalę trudności, przed którymi stoi obecnie władza, a także skalę jej nieufności wobec społeczeństwa jako partnera we wdrażaniu potrzebnych zmian. W moim przekonaniu każdy rząd będzie musiał w końcu sięgnąć po narzędzia społecznego dialogu i budowania poparcia. Internet to miejsce, gdzie akcja i reakcja następują szybko. Konsekwencje niezrozumiałych decyzji pojawiają się szybko.

Polityka prorodzinna

W Polsce prognozowane jest zjawisko depopulacji, mające swoje przyczyny w zmniejszającej się dzietności. Jeszcze 10 lat temu GUS przewidywał, że w 2010 roku wskaźnik dzietności wzrośnie z 1,22 w 2004 roku do 1,5, choć dopiero na poziomie 2,1 możliwe byłoby pełne odtworzenie populacji. W 2011 roku widać, że nawet te niezbyt optymistyczne prognozy się nie sprawdziły — obecnie współczynnik dzietności wynosi 1,39.

Stymulowanie dzietności wiąże się z uruchomieniem nowych mechanizmów polityki prorodzinnej, bowiem te, które obecnie istnieją, są całkowicie niewystarczające. Polityka prorodzinna powinna z jednej strony skupiać się na minimalizowaniu kosztów posiadania dzieci (związanych z wychowaniem i edukacją, a także kosztów alternatywnych powstałych wskutek rezygnacji z celów zawodowych), z drugiej zaś — na promowaniu rozwiązań ułatwiających zachodzenie w ciążę.

W Polsce odnotowuje się najniższy udział wydatków na dzieci i rodzinę w wydatkach socjalnych PKB — wynosi on niespełna 3% (dane z roku 2011), co świadczy o niskim poziomie wsparcia dla osób mających dzieci. Konsekwencją tego stanu rzeczy jest nie tylko wysoki odsetek młodych matek rezygnujących z pracy zawo-

dowej (na powrót do pracy zawodowej decyduje się prawie 50% kobiet mających dzieci w wieku od 6 do 12 miesięcy — SMG / KRC 2010), lecz także angażowanie dziadków do wychowywania dzieci. Polityka, której celem jest zwiększenie dzietności, musi być nakierowana na rozbudowanie systemu opieki instytucjonalnej. W Polsce zaledwie kilka procent dzieci objętych jest opieką w żłobku, w Unii Europejskiej — aż 30%. Utworzenie sieci żłobków i przedszkoli przy zakładach pracy czy uniwersytetach z pewnością zmniejszyłoby obawy młodych osób (w tym studentów) przed założeniem rodziny. Co więcej, to państwo powinno zagwarantować miejsca w instytucjach opieki przedszkolnej dla przynajmniej 80% dzieci. Istotna jest również promocja bardziej elastycznych systemów pracy dla matek i ojców wychowujących dzieci, a także upowszechnienie innego niż tradycyjny modelu rodziny, w którym mężczyzna zajmuje się pracą zawodową, a na kobiecie spoczywają obowiązki związane z wychowaniem potomstwa.

Kwestia rozumnej polityki prorodzinnej wymaga większego zaangażowania państwa. Bez zdecydowanych działań w tej dziedzinie za kilkadziesiąt lat staniemy się najstarszym społeczeństwem Europy. Stanie się tak, gdyż Europa Zachodnia dzięki aktywnej polityce prorodzinnej i naturalnym trendom migracyjnym będzie w lepszej sytuacji niż nasz kraj. W przypadku działań związanych z polityką rodzinną nie można polegać wyłącznie na sile rynku — reguły demograficzne są nadrzędne. Nie bójmy się zatem postulować zmian zmierzających do rozbudowania socjalnej opieki nad rodzinami z małymi dziećmi.

Problemy demograficzne, przed którymi stanął nasz kraj, pokazują, że nawet najbardziej liberalne państwo musi prowadzić politykę społeczną. Najważniejsze okazuje się zbudowanie bazy społecznego poparcia dla przygotowywanych zmian. Konieczne jest

także wprowadzanie socjalnych rozwiązań, które będą skłaniały polskie rodziny do szybszego podejmowania decyzji o posiadaniu dzieci. Warto też zwrócić uwagę na problem bezpłodności, uznany przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) za problem społeczny. W latach 50. ubiegłego wieku dotyczył on około 10% małżeństw. Obecnie jest to już 15—20% (przy ciągłej tendencji wzrostowej) wszystkich par starających się o dziecko. Wobec tego konieczne jest zachęcanie par (także poprzez finansowe ulgi) do stosowania metody *in vitro*.

Paweł Ciacek — filozof, współzałożyciel i dyrektor ds. obsługi klienta w SMG / KRC, Prezes Fundacji Projekt: Polska.

ROZWÓJ DLA
PRZYSZŁYCH
POKOLEŃ

RÓWNANIE LIBERALNE

W zeszłym roku, tuż przed świętami, zdecydowana większość duńskiego parlamentu głosowała za wprowadzeniem radykalnych reform Systemu Wczesnych Emerytur (ERB). ERB powstał pod koniec lat 70. i, zachęcając osoby starsze do przejścia na wcześniejszą emeryturę, służył poprawie sytuacji młodych ludzi na rynku pracy. Wkrótce rozwiązanie to stało się bardzo popularne wśród Duńczyków, którzy traktowali wczesną emeryturę jako zasłużone prawo do czerpania radości z życia po wielu latach ciężkiej pracy. 30 lat później państwo duńskie przestało czerpać z ERB jakiegokolwiek korzyści.

Likwidacja ERB okazała się jednak wykluczona. Od ponad dekady był to jeden z tematów tabu duńskiej polityki. Jedyne mała partia socjalliberalna, którą reprezentuje autor niniejszego tekstu, konsekwentnie twierdziła, że dofinansowywanie wcześniejszej emerytury dla nauczycieli, inżynierów i lekarzy nie ma nic wspólnego ani ze sprawiedliwością społeczną, ani z ekonomiczną racjonalnością. ERB został wywołany do tablicy nagle, w zeszłym roku. Liberalno-konserwatywny rząd, rozpoczynając debatę o emeryturach i popierając dotychczasowe przywileje, chciał poprawić

swoje szanse w zbliżających się wyborach. Nasza mała opozycyjna partia socjalliberalna zmontowała antyrządową koalicję, która powstrzymała plany rządu i doprowadziła do podpisania porozumienia. Pomimo zmiany gabinetu w kolejnych wyborach parlamentarna większość nadal opowiadała się za reformami, co zmusiło nowo powstały rząd koalicji socjaldemokratycznej do ich zaakceptowania. Kilka miesięcy później System Wczesnych Emerytów przeszedł do historii.

ERB jest bardzo dobrym przykładem czegoś, co najłatwiej można określić mianem pokoleniowej kradzieży. Utrzymywanie go byłoby możliwe tylko na koszt przyszłych pokoleń. Ponieważ coraz więcej Duńczyków jest na emeryturze, pozostało mniej podatników, by system finansować, a to skutkuje podwyższeniem podatków lub pogorszeniem jakości usług zapewnianych przez państwo. To nie jest jednoznaczne z tym, że uważam podatek za rabunek, ani że dla zasady wzywam rząd do zmniejszania wydatków lub ograniczania roli państwa. Zostawiam to jałowej retoryce libertarian. To, co jest kradzione, to szansa na lepsze jutro, czyli rdzenna wartość liberalizmu. Tworzenie szans oznacza więcej niż zapewnienie ochrony prawnej i równego traktowania — jednostka powinna być nieskrępowana swoim pochodzeniem i mieć środki, by móc dokonywać wolnych wyborów. Aby to osiągnąć, potrzeba zarówno podstawowych elementów naszego społeczeństwa opiekuńczego — bezpłatnej nauki oraz opieki zdrowotnej — jak i możliwości bycia samowystarczalnym dzięki pracy. Kiedy te filary są zagrożone, prawo do wyboru może zniknąć.

Taka pokoleniowa kradzież miała miejsce w całej Europie. Czy mówimy o braku stałego nadzoru nad gospodarką w dobrych latach, czy też o chybionym zarządzaniu w czasach recesji, jasne

jest, że rachunek nie został uregulowany. W Hiszpanii bezrobocie wśród młodzieży gwałtownie wzrasta z powodu sztywnych regulacji rynku pracy i słabnącej gospodarki. W Grecji młodzi ludzie obserwują, jak ich kraj i przyszłość stopniowo się rozpadają. Wydaje się, że nie ma innej perspektywy dla ponad 50% przedstawicieli tego pokolenia niż szukanie lepszej przyszłości poza granicami własnego kraju. W większości państw europejskich młodsze pokolenia napotykają podobne — często równie poważne — wyzwania, jeśli chodzi o możliwości dokonywania wolnych wyborów życiowych. To aż nazbyt jasne, że to na nich spadł obowiązek posprzątania bałaganu po imprezie rodziców.

Zmiany te wywołały rozpacz i gniew wśród ludzi młodych. Wielu z nich dało się uwieść skrajnym ruchom politycznym po lewej i prawej stronie. Prawie wszyscy stracili wiarę w polityków i obwiniają ich za problemy, w obliczu których się znaleźli. Ich pretensje będą tłem dla wszelkich dyskusji politycznych w nadchodzących latach.

Jeśli Europejcy liberałowie chcą odgrywać rolę w tej dyskusji, potrzebują nowego języka pozwalającego na dialog z młodymi ludźmi cierpiącymi z powodu skutków dekad pokoleniowej kradzieży. Nie wystarczy kurczowo trzymać się starych tematów, jak przerost administracji czy upieranie się, że cięcie wydatków publicznych to droga naprzód.

Musimy ponownie włączyć szansę do równania liberalnego. Musimy pokazać, że program reform liberalnych i postępowe społeczeństwo są ze sobą połączone. W XX wieku liberałowie często promowali reformy społeczne na wielką skalę. W pewnym sensie europejskie państwo opiekuńcze opiera się na liberalnych zasadach. Jeśli liberałowie jeszcze raz przekonają ludzi, że dyscyplina fiskalna i solidarność idą ze sobą w parze, to będą

mogli wprowadzić reformy, które pomogą naprawić gospodarkę dzięki likwidacji dziury w finansach państwa. Ważną rzeczą, na którą trzeba położyć nacisk, jest to, że odpowiedzialność fiskalna nie jest celem samym w sobie, lecz pozwala rozwijać nową równowagę społeczną.

Inne podejście podważa istotę polityki. Oczywiście zawsze bardziej atrakcyjne wydaje się bycie lubianym przez wyborców niż mierzenie się z ich gniewem wywołanym zmianami, które przyniosą korzyści tylko w długiej perspektywie. Krótkowzroczność sprawia, że jeszcze trudniej zakwestionować pokoleniową kradzież. Potrzebne są odwaga, ambicja i wizja. Populiści wszystkich barw będą rozmawiać o alternatywach dla reform. Alternatywa istnieje, ale jedynie w postaci głębokich cięć w zabezpieczeniu społecznym. Ci, którzy przestrzegają dogmatów libertariańskich, kłócą się, że tak właśnie powinno być, że mniej państwa i niższe podatki sprawiają, że społeczeństwo staje się lepsze. To jednak nie jest liberalne podejście.

Zaskakujące jest to, że wiarygodnych partnerów dla liberalnej reformy można znaleźć wśród socjaldemokratów, a nawet socjalistów. Partie te często rozumieją potrzebę podatkowego uzdrowienia, które zapobiega deficytowi, a w efekcie także poważnym konsekwencjom społecznym. Często mogą nawet być w stanie zaproponować reformy, do których liberałowie mogliby się nigdy nie zbliżyć. To udowadnia przykład duński: aktualny socjalliberalno-socjaldemokratyczno-socjalistyczny rząd przeprowadził zarówno wielką reformę obniżającą podatek dochodowy dla wszystkich grup zarobkowych, jak i kompleksową reformę opieki społecznej — zmiany, które zachęcają Duńczyków do powrotu na rynek pracy. Kolejne ustawy są w przygotowaniu. Innymi słowy, Dania jest na właściwej drodze. Jeżeli nie chcemy stracić pokolenia

europiejskiej młodzieży, liberałowie na całym kontynencie muszą złagodzić skutki pokoleniowej kradzieży, kładąc nacisk na reformę dającą więcej wolności.

tłum. Natalia Witczyk

Emil Dyred — wiceprzewodniczący Socjalliberalnej Partii Danii.

WOLNOŚĆ
ONLINE

INTERNET — SYSTEMOWY KRYZYS WOLNOŚCI

Słowa „internet” i „wolność” pojawiają się obok siebie już niemal na zasadzie związku frazeologicznego. Nie sposób mówić czy czytać o internecie bez postawienia którejś z wolnościowych kwestii. Ile wolności w internecie (w domyśle: dla kogo ta wolność)? Czy internet jest wolny (w domyśle: czy można go skutecznie kontrolować)? Wreszcie, czy internet powinien być wolny (w domyśle: czy internet to zło, które należy ujarzmić)? Nie bagatelizując implikacji tych i podobnych pytań, chciałabym zakwestionować użycie w nich słowa „internet”. W istocie dyskusja, którą toczy my, dotyczy wolności jako takiej, a nie — czasem pobłażliwie spychanej na margines wielkich debat — wolności w internecie. Granica między światem wirtualnym i realnym przebiega już tylko na poziomie frazeologii. Internet to przestrzeń jak najbardziej realnego życia społecznego, kluczowe narzędzie komunikacji międzyludzkiej i nośnik informacji, ogromna przestrzeń dla biznesu, nowe wyzwania w dziedzinie rozstrzygania konfliktów, wreszcie nowe formy funkcjonowania w społeczeństwie. Co za tym idzie, debata na temat praw obywateli w warunkach społeczeństwa informacyjnego,

bo tak należałoby określić przedmiot rozważań, dotyka kwestii zupełnie fundamentalnych. Wartości, na jakich oprzemy nasz „cyfrowy świat”, wyznaczą bowiem horyzont i kierunki rozwoju dla następnych pokoleń. W takim razie postawmy pytanie: co się dzieje z wolnością w społeczeństwie opartym na wiedzy, informacji i upowszechnianiu nowych technologii?

Trudno oprzeć się wrażeniu, że obserwujemy systemowy kryzys wolności. Media donoszą o „braku zainteresowania prywatnością” wśród młodych ludzi „żyjących” na portalach społecznościowych; coraz rzadziej słychać pytania o rolę mediów w dostarczaniu rzetelnej informacji; upadek debaty politycznej stał się faktem, z którego wypada już tylko żartować; prawa człowieka sprowadzane są do frazesu, a ogłaszane przez polityków wojny o „wspólne bezpieczeństwo” — czy to z pedofilią, czy korupcją — z roku na rok stają się bardziej cyniczne. Kto jest winien temu stanowi? Państwo, bo nie chroni nas przed urzędnikami, politykami stanowiącymi prawo czy wielkimi korporacjami? Biznes, bo regulacje konsekwentnie omija i lobbuje za nieetycznymi, mało transparentnymi rozwiązaniami? Czy przede wszystkim my sami, skoro wybieramy wygodne życie zamiast walki o lepszy świat? Jak zwykle, racja leży gdzieś pośrodku. Warto się jednak przyjrzeć mechanizmom, które stoją za tą masową ucieczką od wolności; mechanizmom, które opierają się na fałszywych dychotomiach i nie całkiem uczciwym „handlu wartościami”.

Iluzja bezpieczeństwa w zamian za wolność

Boimy się zamachów terrorystycznych, oszustw finansowych, cyberprzestępczości i pedofilii. Być może. Pozostaje jednak pytanie, czy za samo poczucie kontroli nad tymi zagrożeniami jesteśmy gotowi oddać osobistą wolność. Nie samo poczucie wolności, ale

zupełnie realne prawa obywatelskie: nietykalność cielesną, swobodę poruszania się, tajemnicę korespondencji, mir domowy, wreszcie — godność. Podczas gdy cena jest drastycznie odczuwalna, zysk — mitologizowane bezpieczeństwo publiczne — wydaje się dość iluzoryczny. Odkąd Ulrich Beck sformułował teorię społeczeństwa ryzyka, niewiele się w tej kwestii zmieniło: ciągle próby zapanowania nad różnymi niebezpieczeństwami generują skutki uboczne w postaci nowych rodzajów ryzyka. Od czasu, gdy rządzący wypowiedzieli wojnę „terrorystom”, mamy nie mniejszy, ale większy problem ze skalą przemocy motywowanej politycznie. A co za tym idzie: większe nakłady na bezpieczeństwo, nowe inwestycje w technologiczny wyścig zbrojeń i coraz dalej idące ograniczenia narzucane nam wszystkim jako potencjalnym źródłom zagrożenia.

W imię logiki prewencji — zakładającej, że w wojnie z niewidzialnym wrogiem każdy jest podejrzany — rozwijane są coraz nowsze systemy służące masowej inwigilacji. Co więcej, sami je finansujemy, płacąc podatki. „Tajne technologie”, takie jak osławiony amerykański Carnivore czy Echelon, są uzupełniane przez zupełnie oficjalne projekty naukowo-badawcze (Project Indect) czy państwową infrastrukturę umożliwiającą filtrowanie internetu i blokowanie usług. Kluczowym aktorem w tej dziedzinie jest Unia Europejska, której strategia bezpieczeństwa na najbliższe kilka lat (Program sztokholmski) zakłada prewencyjne i realizowane na masową skalę gromadzenie informacji o obywatelach; strategia, którą sami autorzy nazwali sugestywnie cyfrowym tsunami.

Toczy się właśnie europejska debata na temat retencji danych telekomunikacyjnych. Zgodnie z obowiązującą dyrektywą operatorzy sieci oraz dostawcy publicznie dostępnych usług telekomunikacyjnych są zobowiązani do przechowywania (w Polsce aż przez

dwa lata) wszystkich informacji, jakie są niezbędne do ustalenia, kto, kiedy, gdzie, z kim i w jaki sposób się połączył lub próbował połączyć za pośrednictwem internetu. Mowa tu o około 60 rodzajach danych stanowiących ślady elektroniczne, które użytkownicy pozostawiają po sobie w sieci. Organizacje broniące praw człowieka domagają się zmiany (czy raczej przywrócenia) zasad obowiązujących w polityce bezpieczeństwa: z założenia, że każdy z nas nosi bombę w plecaku, na domniemanie niewinności. Dane transmisyjne nie powinny być gromadzone „na wszelki wypadek”, a co najwyżej zabezpieczane na potrzeby ewentualnych postępowań i udostępniane dopiero w ich toku, pod kontrolą prokuratora lub sądu.

To, ile uda się wywalczyć w kwestii zmiany dyrektywy retencyjnej, będzie probierzem politycznych nastrojów; testem na to, czy pierwsze zachłyśnięcie się technologicznym antidotum na strach w Unii Europejskiej powoli mija i czy możemy wrócić do poważnej rozmowy o gwarantowaniu praw człowieka i obywatela w internecie.

Wygodne życie w zamian za informację?

W internecie, jaki znamy z doświadczenia, granice percepcji przeciętnego użytkownika określają firmy projektujące dla niego gotowe rozwiązania — pocztę elektroniczną, komunikatory, systemy zarządzania dokumentami, przeglądarki stron www. Sama sieć stwarza jednak możliwość zorganizowania komunikacji zarówno w sposób horyzontalny, jako model P2P, jak i w sposób hierarchiczny, zakładający transmisję danych pomiędzy komputerami końcowych użytkowników za pośrednictwem serwera. Na czym polega różnica? W modelu horyzontalnej rozproszonej komunikacji pakiety informacji są przesyłane bezpośrednio między użytkownikami, w sposób wolny, bez kontroli osób trzecich. Z kolei w sieci

zhierarchizowanej serwer działa jak węzeł komunikacyjny, stwarzając doskonale możliwości kontrolowania przepływu informacji.

Oczywiście nikt nie musi z tej możliwości korzystać. Informacja może przepływać niepodglądana, nierejestrowana, niefiltrowana. Ale może być inaczej. Model zaawansowanej kontroli nad informacją w sieci wybrały nie tylko Chiny, korzystają z niego także prywatne korporacje, które dane przepływające przez ich serwery gromadzą, zapisują, skanują, przetwarzają. I wyciągają wnioski. Szacuje się, że już około 30% ruchu w sieci przechodzi przez serwery kilku korporacji. Dlaczego ci giganci inwestują miliardy w utrzymanie serwerów i opracowywanie wyrafinowanych algorytmów do analizy danych? Dokładnie po to, żeby jak najlepiej dopasować swoje usługi do naszych potrzeb oraz żeby jak najskuteczniej skapitalizować posiadaną informację.

Potencjał informacyjny w każdym biznesie przekłada się na pieniądze. Jednak w biznesie internetowym prowadzonym na masową skalę to, czy wiemy z dużą pewnością, jak target reklamowy zareaguje na dany produkt, daje gigantyczny potencjał finansowy. Pozornie nieistotna różnica w położeniu banneru reklamowego na stronie internetowej może zaowocować milionem kliknięć — a zatem milionowym zyskiem. Co w tym złego, że firmy zarabiają na dobrze wykorzystanej informacji, szczególnie jeśli w zamian oferują nam coraz lepsze usługi? W zasadzie nic, ale jedynie dopóty, dopóki ich właściwy kapitał — informacja na temat naszego stylu życia, preferencji kolorystycznych czy seksualnych, stanu zdrowia lub zawartości portfela — nie zaczyna być wykorzystywany przeciwko nam.

Biznes już dawno wkroczył w etap nowych usług opartych na inteligentnym zarządzaniu domniemanymi potrzebami klientów. Możliwe, że wkraczamy także w erę nowych wyzwań regulacyjnych. Jak w świetle reguł ochrony konkurencji i konsumentów traktować

wykorzystywanie dla zysku przewagi informacyjnej, którą firma zyskała dzięki rozwiniętym usługom komunikacyjnym i analizie danych, które sami — być może w zupełnie innym kontekście i nie zawsze świadomie — jej powierzyliśmy? Unikając myślenia, oddajemy narzędzia umożliwiające niezwykle zaawansowaną, kontekstową analizę naszych potrzeb w ręce kilku firm, których potencjał badawczy rozwija się o wiele szybciej niż nasza świadomość. Gdzie jest granica, za którą marketing zmienia się w czystą manipulację, a użyteczna usługa w narzędzie opresji? Zarówno regulatorzy, jak i sami konsumenci wydają się nie znać odpowiedzi na to pytanie.

Prawa podstawowe — też w internecie!

Utraciliśmy niewinność, ale wciąż jeszcze dysponujemy pewnymi narzędziami do ochrony minimum naszych praw. Dyskurs praw człowieka i obywatela nie został jeszcze w pełni pozbawiony znaczenia. W niedawnych dyskusjach o nadużyciach dokonywanych na własnych użytkownikach przez firmy Facebook czy Google pojawiała się (jednak!) kwestia prawa do prywatności. Trwa moment polityczny, w którym możemy i musimy zawalczyć o prawa podstawowe w świecie cyfrowym. Nie można pozwolić na traktowanie internetu jako *terra incognita*, w której wciąż panuje chaos — a zatem i konstytucję, i prawa człowieka trzeba będzie dopiero wynaleźć. Ten dyskurs sytuuje nas niebezpiecznie blisko logiki stanu wyjątkowego wprost z Agambena: zawieszenia obowiązujących norm i przyzwolenia na stosowanie „szczególnych środków”. Naszą misją polityczną na najbliższe lata powinno być skuteczne zabezpieczenie konstytucyjnych wartości w życiu społecznym.

Katarzyna Szymielewicz — prawniczka, współzałożycielka i członkini Zarządu Fundacji Panoptykon, członkini Rady Informatyzacji.

PIRACI, PAJĘCZARZE I NIEFORMALNA EKONOMIA MEDIÓW

Teoretycy nowych mediów mają tendencję do przeceniania chęci internautów do tworzenia, podobnie jak przywiązują zbyt wielką wagę do prawnych uwarunkowań funkcjonowania nowych technologii. Internet nie zmienił konsumentów w twórców, przynajmniej większości z nich. Za to bez wątpienia zmienił ich w piratów — zwłaszcza tych, którzy wcześniej nimi nie byli.

Lawrence Lessig, pisząc w *Wolnej kulturze* o dominacji technologicznego kodu nad prawem, koncentrował się na możliwości sprawowania przez wydawców kontroli — często bardziej restrykcyjnej niż prawna — nad rozpowszechnianymi treściami. Wydawcy e-booków mogą ograniczyć funkcje zaznaczania fragmentów tekstów, drukowania ich czy pożyczania książki znajomym, choć kupującym zezwala na to prawo. Z drugiej strony pliki cyfrowe dają się łatwo kopiować i rozsyłać przez internet, nawet jeśli jest to nielegalne. Przestańmy więc przez chwilę przejmować się prawem, porzućmy legalistyczną fasadę i przyjrzyjmy się praktykom internautów. Przecież historia ograniczania użytkowników za pomocą programistycznych zabezpieczeń to ciąg

porażek. Z kolei historia „uwalniania” treści z ograniczeń prawnych — przeciwnie.

W opublikowanym w listopadzie 2010 roku raporcie *World Internet Project* możemy przeczytać, że do pobierania darmowej muzyki z internetu przyznaje się 55% polskich internautów w wieku 15—19 lat. 47% z nich deklaruje, że ściąga darmowe filmy. Co oczywiste, większa część tych treści to materiały chronione prawem autorskim. Faktyczna skala zjawiska prawdopodobnie jest jeszcze większa. Choć badania pokazały, że ściąganie filmów i muzyki z sieci jednoznacznie potępia niewielu Polaków (zaledwie 22% w badaniu przeprowadzonym w roku 2008 przez MB SMG / KRC na tysiącu osób w wieku 24—34 lata), to wciąż nie jest to coś, czym bezpiecznie jest się chwalić. Moje własne doświadczenia, na przykład z pracy badawczej¹ i zajęć ze studentami, wskazują, że wśród dzisiejszych nastolatków i dwudziestokilkulatków trudno znaleźć osoby, które tego nie robią. Piractwo nie jest wyjątkiem, lecz nową regułą.

Dlaczego tak się dzieje? Można pisać o zaszczościach historycznych — w PRL-u kopiowanie zachodnich treści było niejako odgórnie sankcjonowane, a istotnym elementem pirackich sieci było państwowe radio, specjalnie emitujące do nagrywania nie tylko muzykę, lecz także gry komputerowe. Jednocześnie identyczne praktyki rozpowszechnione są na całym świecie, na przykład w krajach, które łączą tradycję poszanowania prawa ze statusem pirackich potęg globu (jak Szwecja). Można też wspomnieć o kwestii wyrównywania dysproporcji w dystrybucji dóbr, podejmowanej często w kontekście piractwa w krajach rozwijających się — młodych Chińczyków i Hindusów nie stać na urządzenia, przy których produkcji pracują, ale mogą za to niemal bezpłatnie sięgać

1 *Młodzi i media*, 2010, tekst dostępny na stronie www.wyborcza.pl/mlodziimedia.

po wytwory amerykańskiego przemysłu rozrywkowego i informatycznego. Nieprzypadkowo członkowie indyjskiego Raqs Media Collective analizują pobieranie plików z sieci peer-to-peer w takim oto tonie: „Tak jak piractwo przeszłości zakłócało równowagę, na którą składało się niewolnictwo, odpracowywanie wolności [na przykład przez imigrantów zmuszonych do pracy na rzecz osoby, która przewiozła ich w nowe miejsce pobytu — przyp. MF], grodzenie otwartych pól, system fabryczny i roboty przymusowe, tak współczesne piractwo elektroniczne ma posłać na dno przemysł kulturowy, sprawiając, że ekonomiczne i społeczne koszty zarządzania treścią stają się nie do przyjęcia, albo utrudniając zarabianie dużych kwot »z niczego« dzięki dostępowi do informacji i kulturze. Piractwo wprowadza bowiem gamę nowych zasad użycia, dystrybucji i reprodukcji treści kulturowych i intelektualnych”². Pytanie jednak, czy uromantycznianie piractwa jako rodzaju subwersji ma sens. Oczywiście tradycja takiego myślenia jest długa (można wymienić choćby Deleuze’a, który w wywiadzie udzielonym w roku 1990 Antoniemu Negriemu powiedział, że „piractwo komputerowe i wirusy zastąpią strajki i to, co w XIX wieku nazywano sabotażem”³). Czy odpowiedź na pytanie: „dlaczego piractwo?” nie powinna brzmieć po prostu: „a dlaczego nie?”.

Dostęp do treści jest dziś łatwy, jak nigdy wcześniej. Skala piractwa — ogromna. Ryzyko poniesienia prawnych konsekwencji praktyk, które są udziałem milionów współobywateli — nikłe. Może pobieranie z sieci i wymiana plików jest po prostu racjonalnym działaniem? Korzystaniem z możliwości, jakie daje tech-

2 Raqs Media Collective, *Value and it's other in electronic culture: slave ships and pirate galeons*, [w:] Raqs Media Collective, *Seepage*, Berlin—New York 2010, s. 148. Piracki pdf z książką jest dostępny tu tajna stronie: <http://burundi.sk/monoskop/log/?p=1552>.

3 Tekst dostępny na stronie: <http://www.generation-online.org/p/fpdeleuze3.htm>.

nologia, a równocześnie praktyką zakorzenioną w tradycyjnych formach wymiany i dzielenia się treściami kulturowymi? Przecież bez względu na spory prawników, co jest użytkiem dozwolonym, a co nie, muzyka, filmy czy książki zawsze krążyły w tak zwanych sieciach społecznych. Raczej trudno oczekiwać, że to się skończy właśnie teraz, gdy dobra te zostały uwolnione od fizycznych nośników. To, że wytwórcy i dystrybutorzy treści zaciekle bronią podtrzymania *status quo* z czasów analogu, tylko tę sytuację nasila. Dlaczego za książkę albo muzykę w postaci pliku trzeba płacić tyle samo lub nawet więcej niż za fizyczny nośnik, którego wyprodukowanie i dostarczenie do odbiorcy było bez porównania droższe? Dlaczego koncerty medialne nie mogą zrobić czegoś dla swoich klientów? Szczególnie że wykorzystują pracę swoich klientów — choćby jako darmowych marketerów, namawiających znajomych do oglądania filmów i słuchania muzycznych odkryć; dostarczycieli darmowej wiedzy o swoich upodobaniach i planach zakupowych czy też jako prze-twórców krążących w sieci treści. Trzeba zauważyć, że współczesny przemysł kulturowy nie kończy się na profesjonalistach — amatorzy też są jego częścią, a może nawet głównym motorem innowacji. Skoro klienci dają się wykorzystywać i wykonują darmową pracę, to czy producenci też nie powinni pogodzić się z faktem, że nie zawsze dostaną pieniądze? A przynajmniej zacząć rozmawiać z pozycji innej niż pozycja władzy, bo tę za sprawą internetu producenci treści w dużej mierze utracili.

W dyskusji toczącej się wokół pobierania plików z filmami, muzyką czy oprogramowaniem, a ostatnio także z książkami i prasą, wiele jest nadużyć i przekłamań, które sprawiają, że dialog na temat tego problemu (z perspektywy biznesu) czy też tej szansy (z perspektywy użytkowników) właściwie nie istnieje. Nie bez winy

jest sama terminologia. Traktując piractwo jako taki sam element kapitalizmu opartego na nowych technologiach komunikowania, jak „wolna” czy „niematerialna” praca⁴, warto odświeżyć język używany przez wytwórców treści i ich użytkowników. Termin „piraci”, podobnie jak zarzucana im „kradzież”, to przecież retoryczne nadużycia (co trafnie zauważa w swojej książce John Logie⁵). Znaczenie słowa „kradzież” ukształtowało się w świecie treści przywiązanych do fizycznych nośników (jeśli zabiorę komuś płytę z muzyką, nikt inny z niej nie skorzysta) i jest nieadekwatne do opisu mediów cyfrowych (w których pliki można kopiować bez końca) oraz sposobów ich użycia (łatwość kopiowania sprawia, że internauci ściągają nie tylko te treści, które chcieliby kupić). Z kolei termin „pirat” do niedawna opisywał grupy osób „zawodowo” zajmujących się kopiowaniem chronionych prawem autorskim treści i czerpiących z tego procederu zyski, co też w żaden sposób nie przystaje do działań internautów pobierających pliki na własny użytek. Problem ten zauważył Jacek Dukaj, który w felietonie *Dylemat pajęczarza* zaproponował zastąpienie „pirata” terminem „pajęczarz”, nawiązującym do nielegalnego podpinania się na przykład do kabla telewizyjnego: „Chodzi bowiem o wpuszczenie do puli takiego memu, który w ogóle pozwoliłby na rozmowę na ten temat — jako że konieczność przyznania na wstępie »jestem piratem« bardzo skutecznie ją blokuje, skoro mam najszersze przekonanie, że piratem nie jestem. Albo więc kłamiemy, albo inaczej ćwiczmy się w obłudzie”⁶.

4 Tiziana Terranova, *Wolna praca*, przeł. Mirosław Filiciak, „Kultura Popularna” nr 1 (19), s. 49—68.

5 Zob. John Logie, *Peers, Pirates and Persuasion. Rhetoric in the Peer-to-Peer Debates*, West Lafayette 2006. Wersja piracka na stronie: <http://avaxhome.ws/ebooks/ppaprtptpd.html>.

6 Tekst dostępny na stronie: <http://ksiazki.wp.pl/tytul,Dylemat-pajeczarza,wid,13348,felieton.html?ticaid=1b5fo>.

Problem w tym, że obłuda nie jest typowa tylko dla internautów, ale — w świetle wspomnianych wcześniej sposobów wytwarzania wartości we współczesnym kapitalizmie — także dla producentów i wydawców. Kapitalizm radzi sobie nawet tam, gdzie piractwo podobno rani go najbardziej. Połowa z 50 filmów, które przyniosły najwyższe wpływy w historii, miała premierę w ciągu ostatnich pięciu lat. Branża muzyczna czerpie coraz większe dochody z koncertów (które są niekopiowalne), europejscy filmowcy sięgają po państwowe dopłaty i stypendia (listę przytaczanych przez „piratów” argumentów w kontekście polskiej „afery napisowej” można znaleźć w tekście Hofmokl i Tarkowskiego z 2007 roku⁷). Oczywiście to nie dowodzi, że przeciwnicy piractwa nie mają racji. Te argumenty wskazują jednak, że mechanizmy funkcjonowania rynku kultury są znacznie subtelniejsze, niż wskazywać mogłaby na to spolaryzowana dyskusja. Zwłaszcza że fani wciąż na różne sposoby płacą swoim idolom — często dlatego, że po prostu mają ochotę dać wyraz swojemu uznaniu dla ich pracy. W świecie przed internetem była to zwykła transakcja. Dziś coraz częściej jest to miły gest — bo do płacenia po prostu nie sposób zmusić.

Symbolem walki producentów i wydawców ze ściąganiem „darmowych” plików z sieci jest historia amerykańskiego serwisu Napster, w 2000 roku pozwanego przez zrzeszenia wydawców i artystów. Dekadę później skala zjawiska wcale nie jest mniejsza, a wręcz przeciwnie. Może więc czas przyznać, że „amerykańska droga” okazała się ślepą uliczką? Szczególnie że „pirackie” kraje — jak Chiny (gdzie piractwo jest uwarunkowane kulturowo) czy Brazylia (gdzie

7 Justyna Hofmokl, Alek Tarkowski, *Piractwo ogranicza, piractwo wzbogaca życie kulturalne w Polsce. Analiza dyskursu na temat praw autorskich, rynku rozrywki i udziału w kulturze*, [w:] *Dynamika kultury a (r)ewolucja własności intelektualnej*, t. 1, red. Małgorzata Burnecka, Rafał Próchniak, Wrocław 2007, s. 173—198.

obecnie próbuje się legalizować piractwo) — to dziś już nie peryferia, które muszą dorosnąć do standardów reszty świata, ale nowe globalne potęgi wyznaczające kierunek rozwoju w XXI wieku. Przekonanie, że mieszkańcy tych krajów w końcu porzucą pirackie praktyki, jest głęboko nieracjonalne. Z tej perspektywy idee wolnej kultury jawią się nie jako kompromis pomiędzy konsumentami i wytwórcami treści, lecz jako ostatnia deska ratunku dla tych drugich. Bez ustępstw w dyskusji na temat nieformalnej ekonomii mediów — czyli przepływu treści nie tylko odgórnie legitymizowanymi i najczęściej odpłatnymi kanałami — zostaną oni pozbawieni większej siły oddziaływania na obieg kultury. Bo przecież nie można złożyć pozwu przeciwko całej generacji.

Mirosław Filiciak — doktor nauk humanistycznych, kulturoznawca i medioznawca, kierownik Centrum Badań nad Kulturą Popularną w Wyższej Szkole Psychologii Społecznej w Warszawie.

Tekst powstał w 2010 roku. W 2011 roku autor wraz z dr. Alkiem Tarkowskim, dyrektorem Centrum Cyfrowego Projekt: Polska, opublikował raport *Obiegi kultury*, który rzucił nowe światło na opisywane tu zagadnienia.

ABORCJA

LIBERALIZM PRZECIW ABORCJI

W labiryncie wartości

Dyskusja na temat aborcji jest tak głęboko zakorzeniona w wartościach wspólnoty politycznej, że nie da się uciec od sporu aksjologicznego. Zaczniemy więc rozważania, przepuszczając ten temat przez filtr podstawowych wartości współczesnej — i co warto podkreślić — liberalnej demokracji.

Życie i prawo do jego ochrony to wartość stanowiąca sedno sporu o prawo do aborcji, która bez wątpienia wzmacnia pozycję przeciwników aborcji. Wielu zwolenników prawa do aborcji próbuje dezawuować ich argumentację, podnosząc kwestie rozróżnienia, w którym momencie ciąży możemy mówić o przemianie zarodka w istotę ludzką. Choć jest to postawa powszechna wśród liberałów, trudno ją uznać za przekonującą. Rozwój płodu ma oczywiście charakter ciągły i nie sposób wydzielać tu wyraźnej cezury.

Wolność jako prawo decydowania o swoim życiu — jest wartością w oczywisty sposób leżącą u podstaw liberalizmu. W kulturze Zachodu, w polskiej w szczególności, nie brakuje postaci, zarówno fikcyjnych, jak i historycznych, które ceniły ją nad wartość życia.

Są one pokazywane jako wzorce do naśladowania — oddać życie za wolność jest postawą chwalebłą. Czy zatem możemy mówić, że wolność powinna być nadrzędna, gdyż dopiero ona nadaje życiu właściwy sens? Czytelnik przyzna, że taka argumentacja wydaje się co najmniej niewspółczesna, aczkolwiek jedno jest pewne. Wartość wolności i prawo do decydowania o swoim życiu — w szczególności w tak kluczowym aspekcie, jak podjęcie trudu rodzicielstwa — jest sojuszniką zwolenników prawa do aborcji.

Odpowiedzialność jako ponoszenie konsekwencji swoich czynów i decyzji — to także wartość bardzo często wspominana we współczesnej debacie publicznej, kluczowa właśnie dla światopoglądu liberalnego. Odpowiedzialność jest bowiem uzupełnieniem wolności. Wolność absolutna, czyli ta pozbawiona konsekwencji błędów, jest niebezpieczna dla życia społeczeństw, gdyż prowadzi do skrajnego indywidualizmu i chaosu — anarchii. Te zarzuty stawiane są dziś nagminnie liberałom przez ich przeciwników i właśnie dlatego ci pierwsi tak często mówią o odpowiedzialności jako substancji budującej więzi we wspólnocie urządzonej według zasad liberalnych. Odpowiedzialności współczesny liberał musi bronić nie mniej niż wolności — zwłaszcza gdy funkcjonuje w debacie publicznej osadzonej tak mocno w konserwatywnym światopoglądzie, jak ma to miejsce w Polsce. Odpowiedzialność jest niezwykle ważnym orężem liberalizmu, z którego nie może on rezygnować, jeśli ma się bronić przed „dorabianiem gęby” apologetyki, której współczesna antykoncepcja nie jest w stanie w pełni wyeliminować. Jest to fakt oczywisty i powszechnie podzielany.

Te abstrakcyjne i — co tu dużo mówić — przyciężkawe rozważania aksjologiczne niestety nie doprowadziły do jasnej konkluzji. Kluczowe, w szczególności dla liberałów, wartości, na których zbudowana jest współczesna demokracja Zachodu, wydają się wskazywać na sprzeczne rozwiązania, a jeśli któraś ze stron uzyskuje przewagę, to jest to stanowisko przeciwników (prawa do) aborcji. Aksjologia zapędza nas w labirynt, co nie powinno nas dziwić. To właśnie debata czysto aksjologiczna toczy się od 20 lat w Polsce, będąc podstawą obecnie przyjętych rozwiązań prawnych. Z drugiej jednak strony, mimo że powyższe rozważania wydają się logicznie poprawne, trudno zaprzeczyć, że — po pierwsze — stoją one w sprzeczności z praktyką większości krajów liberalnej demokracji, a po drugie — budzą intelektualny niepokój, podważając intuicyjne skojarzenie, że liberał powinien bronić prawa do aborcji. Jak zatem wyjść z tego labiryntu? Tak jak zawsze gdy akademickie rozważania zawodzą — zakotwiczmy dyskusję w odniesieniach do praktyki. 20 lat polskiej demokracji pozwala na utkanie nici Ariadny.

Aborcja w polskiej praktyce

Wspomniano już wyżej, że obecna praktyka w zakresie aborcji jest oparta na kompromisie, który na początku lat 90. wypracowali ówcześni liberałowie, skupieni dziś w partii uczestniczącej w sprawowaniu władzy. Nawiasem mówiąc, nic dziwnego, że dziś bronią oni *status quo*.

Pierwsze, podstawowe w tym zakresie, pytanie brzmi: „Czy państwo polskie skutecznie przeciwdziało aborcji?”. Odpowiedź jest oczywista: NIE. A jeśli ktokolwiek ma wątpliwości, co byłoby dowodem oderwania od rzeczywistości, powinien sięgnąć po prasę codzienną i spojrzeć na ogłoszenia w stylu: „Ginekolog —

zabiegi”, „Przywracanie cyklu miesięczkowego” itp., których bynajmniej nie brakuje. Istnienie w Polsce podziemia aborcyjnego to tajemnica Poliszynela, a jedyną prawdziwą zagadką jest rozmiar tego podziemia.

I tu powstaje drugie pytanie: „Czy państwo polskie ma narzędzia do tego, aby skutecznie przeciwdziałać aborcji, skoro nie jest w stanie określić skali tego zjawiska?”. Odpowiedź jest równie oczywista, jak w przypadku pytania pierwszego. Państwo nie może i nie powinno wkraczać do gabinetów lekarskich, aby śledzić praworządność obywateli. Mamy zatem klasyczny przypadek zjawiska prohibicji: wprowadzone prawo jest sprzeczne z praktyką społeczną, a co za tym idzie — powszechnie łamane. W interesie obu stron uczestniczących w procederze jest zachowanie zmywy milczenia.

Zjawisko prohibicji jest drastycznym przejawem niesprawności państwa, któremu liberalizm jako doktryna, u której podstaw leży budowanie sprawnego systemu prawnego, powinien jednoznacznie się przeciwstawić. Prohibicja w relacjach władza — obywatel jest tym samym, co obłuda w relacjach międzyludzkich.

W praktyce oznacza ona dewaluację wartości podzielanych przez zwolenników zakazu aborcji. O jakiej bowiem ochronie życia mówimy, skoro poprzez spychanie aborcji do podziemia odwracamy się od problemu i udajemy, że on nie istnieje. Nie tylko nie chronimy nienarodzonego potomka (odstawmy na bok nierozstrzygalny spór, czy jest to tylko „płód” czy aż „dziecko”), ale dodatkowo narażamy niedoszlą matkę na bardzo niebezpieczne zabiegi odbywające się poza wszelkimi standardami prawnymi. Ta obłuda sprawia, że podnoszenie argumentu odpowiedzialności brzmi jak makabryczna kpina. Państwo w ten sposób *de facto* ucieka od odpowiedzialności za problemy społeczne zamiast je rozwiązywać.

Wróćmy jednak do problemu aborcji. Spróbujmy sobie wyobrazić metody, za pomocą których państwo może skutecznie go ograniczać.

Pierwszym i bez wątpienia najważniejszym obszarem jest profilaktyka, którą w tym wypadku należy utożsamiać z edukacją w dziedzinie partnerstwa i życia seksualnego. Teoretycznie polski kompromis aborcyjny nie wyklucza tej funkcji państwa, a nawet ją przewidywał. Doświadczenie jednak pokazuje, że były to deklaracje bez pokrycia — system oświaty bowiem nie podjął tego niemałego, przynajmy, wysiłku. Po co, skoro wiadomo, że aborcja jest nielegalna i zła? Dobra edukacja społeczna zasadza się na interaktywności przy rozważaniu autentycznych dylematów. Jakiej aktywności można oczekiwać od młodej osoby podejmującej dyskusję, jeśli wynik tej dyskusji jest od początku znany? Aborcja po prostu nie może istnieć jako alternatywa.

Nawet zakładając jednak, że udałoby się stworzyć dobry program edukacji w obszarze partnerstwa i życia seksualnego — co obecny stan prawny bardzo utrudnia, ale nie uniemożliwia — z całą pewnością nie wyeliminowałyby to aborcji z praktyki społecznej. W naturze (zwłaszcza młodego) człowieka leży bowiem bunt wobec zasad. Oprócz profilaktyki potrzebne są więc bardziej bezpośrednie metody zapobiegania, nazwijmy je prewencją. W jaki sposób mogłaby ona wyglądać w przypadku zjawiska aborcji? Powinna być bezpośrednio skierowana do kobiet stojących przed decyzją o przerwaniu ciąży. Musi obejmować wsparcie psychologiczne oraz społeczne — udzielenie informacji o niebezpieczeństwie związanym z zabiegiem aborcyjnym, o możliwych alternatywach, o pomocy udzielanej młodym matkom przez instytucje państwowe i prywatne (charytatywne), wreszcie o możliwości przekazania dziecka do adopcji oraz ochrony godności matki decydującej się

na taki krok (oczywiście o istnienie całego systemu wsparcia należałoby wcześniej zadbać, co nie wydaje się zadaniem przerastającym możliwości współczesnej Polski). Konstruuując te regulacje, należy wczuć się w sytuację kobiety (częściej dziewczyny), która dowiaduje się o niechcianej ciąży i przeraźliwie boi wysiłku macierzyństwa, reakcji rodziny i bliskich. Często pozostaje w tej niezwykle trudnej psychologicznie sytuacji zupełnie sama, bez możliwości jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz. To właśnie ta pustka społeczna sprawia, że aborcja wydaje się najszybszym, najprostszym, jeśli nie jedynym rozwiązaniem. Jeżeli instytucje publiczne chcą ograniczyć skalę aborcji, to tę pustkę muszą wypełnić. Tymczasem państwo polskie inkryminuje kobiety zastanawiające się nad aborcją, potęgując ich osamotnienie. To jest przeraźliwy obraz obłudy, którą stworzyliśmy i od lat utrzymujemy w wolnej Polsce.

Na koniec autor tego artykułu winny jest czytelnikowi sprostowanie. Zaczął bowiem od rozważań aksjologicznych, które później nazwał logicznie poprawnymi — bo rzeczywiście takimi się wydawały. Polski kompromis aborcyjny przypomina *casus* marksizmu, który opętał umysły wielu intelektualistów, udając doktrynę najbardziej pełną i spójną, a okazał się oparty na nieprawdzie, co miało tragiczne skutki dla dużej części ludzkości. Podstawową, trudną do dostrzeżenia nieprawdą logiczną, która leży u podstaw tego kompromisu, jest utożsamianie ze sobą aborcji oraz prawa do niej. Współczesny liberalizm, zwłaszcza w polskich warunkach, powinien być jednoznacznym przeciwnikiem aborcji jako zjawiska społecznego, ponieważ rzeczywiście jest ono sprzeczne z podstawowymi dogmatami tego światopoglądu — ochroną życia i wolnością nierozzerwalnie związaną z odpowiedzialnością. Ale drogą do ograniczania tego zjawiska nie jest prohibicja obnażająca żenującą nieskuteczność państwa. Jest nią prawo do aborcji, bez którego

bardzo trudne lub też zupełnie niemożliwe jest prowadzenie skutecznej profilaktyki i prewencji w tym zakresie. Państwo nie powinno narzucać swoim obywatelom światopoglądu i określać, co jest dobre, a co złe, ponieważ nie jest w stanie czynić tego skutecznie. Państwo nie jest narzędziem zbawienia swoich obywateli. Tę funkcję, dodajmy: ważną i potrzebną, zostawmy religiom. Państwo powinno chronić praw swoich obywateli, stanowiąc je tak, aby ta ochrona była możliwa. O ile zatem bez końca można dyskutować o tym, kiedy zarodek / płód staje się istotą ludzką, o tyle bezsprzecznie można stwierdzić, że państwo nie jest w stanie zapewnić ochrony nienarodzonego potomka wbrew matce. Dlatego człowiek staje się obywatelem w momencie narodzin. Wcześniej jako państwo możemy starać się wesprzeć kobietę w podjęciu decyzji o narodzeniu dziecka. Aby to robić, nie można czynić z niej potencjalnej przestępczyni. Dlatego liberał, będąc przeciwnikiem aborcji ze względu na wartości, w które wierzy, powinien być zwolennikiem prawa do niej, aby w konsekwencji móc ograniczać skalę zjawiska. Pragmatyzm jest podstawową bronią współczesnego liberalizmu, a dyskusje aksjologiczne nie mogą abstrahować od praktyki społecznej, co niestety ma miejsce w Polsce.

Tomasz Stefanicki — politolog, członek Stowarzyszenia Projekt: Polska, radny wrocławskiego osiedla Oporów, pracownik komórki wrocławskiego magistratu odpowiedzialnej za wspieranie przedsiębiorczości, blogger.

WSPIERANIE MOŻLIWOŚCI BEZ UWZGLĘDNIANIA TERAŹNIEJSZOŚCI? LIBERALNE SPOJRZENIE NA DEBATĘ ABORCYJNĄ

Większość z nas wie lub sądzi, że wie, czym jest życie i śmierć. Zaczniemy mieć jednak wątpliwości, jeśli przyjdzie nam zdefiniować te dwie koncepcje. Sprawą oczywistą jest, że to, w jaki sposób definiujemy ideę życia i śmierci, wpływa zasadniczo na wszelkie sprawy, które pojawiają się pomiędzy, aczkolwiek postawy te mogą różnić się zasadniczo — nawet między liberałami. Liberałowie popierają wolność i pluralizm, a także opowiadają się za jak najmniejszą ingerencją instytucji rządowych w życie jednostki. Wierzą również, iż podstawowe prawa — prawo do życia i prawo do wyboru — powinny być chronione. Paradoksalnie te dwa argumenty są najczęściej używane w debacie na temat aborcji, dzieląc jej uczestników na tych, którzy są „za wyborem”, i na tych, którzy są „za życiem”.

W przeszłości życie ludzi było zdeterminowane przez nieprzewidywany i często bezwzględny bieg życia i śmierci. Większość chorób

oraz wypadków kończyła się zgonem z powodu złych warunków życia, a także niewystarczającej opieki medycznej. Nie można również zapomnieć o katastrofalnych skutkach różnych epidemii. Wszystkie te czynniki sprawiały, że średnia długość życia ludzi była krótsza niż współcześnie. Należy również pamiętać, że w przeszłości umieralność noworodków również była wyższa niż w czasach dzisiejszych. W dodatku brak rzetelnych środków antykoncepcyjnych, jak i edukacji zdrowotnej oraz zupełnie odmienne postrzeganie praw kobiet odnośnie do ich seksualności powodowały, że poczęcie i urodzenie dziecka nie leżało w gestii wyboru kobiety, jak to jest współcześnie. Przed upowszechnieniem się ideologii liberalnych i praw kobiet kwestia posiadania lub nieposiadania dziecka pozostawała w sferze intymnej, podobnie kobieca macica nie była przedmiotem dywagacji politycznych i publicznych, wyjątek stanowili chyba jedynie potomkowie dynastii.

Od tamtego czasu nasze społeczeństwo zmieniło się radykalnie, konfrontując nas z możliwością wyboru, jakiego pewnie się nie spodziewaliśmy, to znaczy dotyczącego kwestii życia i śmierci, a także konsekwencji, które dotyczą wszystkiego, co jest „pomiędzy”. Dzięki rozwojowi medycyny kwestia „naturalnego” życia i śmierci leży często w ludzkich rękach, sprawiając, że długość życia stała się bardzo elastyczna. Znaleźliśmy lekarstwa na większość chorób, wprowadziliśmy środki bezpieczeństwa, dostarczyliśmy środków antykoncepcyjnych, a kwestia zdrowia publicznego ma wymiar instytucjonalny. Większość chorób można uleczyć lub im przeciwdziałać. Podobnie jest z ciążą — można jej unikać. Aborcja dokonywana w specjalistycznych ośrodkach, zachowujących wszelkie normy stała się jedną z najbardziej znanych metod przerywania niechcianej ciąży. Aborcja jest możliwa dzięki rozwojowi medycyny, jednak stała się ona przedmiotem polityki. To,

co dzieje się w łonie kobiety, jest dziś jedną z najbardziej spornych i kontrowersyjnych kwestii społecznych.

Prawo podejmowania decyzji związanych z własnym ciałem jest podstawową wolnością jednostki, ściśle powiązaną z ochroną seksualnego i reprodukcyjnego prawa oraz prawa do integralności. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) stwierdza:

„Podstawą praw reprodukcyjnych jest uznanie podstawowego prawa wszystkich par i jednostek do decydowania swobodnie i odpowiedzialnie o liczbie, odstępach czasowych i momencie sprowadzenia na świat dzieci, prawa do informacji, dostępu do środków, które to zapewniają, a także prawa do utrzymania najwyższego standardu zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego. Te prawa implikują również prawo wszystkich do podejmowania decyzji dotyczących ich reprodukcji w sposób wolny od dyskryminacji, przymusu i przemocy”¹.

Na podstawie tej definicji można wywnioskować, iż na skutek dokonania nielegalnej aborcji podstawowe prawa w zakresie aktywności seksualnej oraz rozrodczości kobiet zostały zachowane.

Od początku lat 90. liczba dokonywanych aborcji w skali światowej spada, natomiast w krajach zachodnich utrzymuje się na umiarkowanym poziomie — z pewnymi wyjątkami. Ciało kobiety nadal jest przedmiotem zainteresowania politycznych, religijnych i moralnych dyskusji, w których to kwestia aborcji ma wymiar teoretyczny i ideologiczny, natomiast jej osobisty i praktyczny wymiar nie jest w ogóle brany pod uwagę. To właśnie sytuacja ciężarnej kobiety jest sprawą najczęściej pomijaną w dyskusji na temat aborcji. Mimo że to kobieta odgrywa główną rolę w tym sporze, przeważnie jest ona sprowadzona do anonimowej masy i rzadko kiedy ma

¹ *Programme of action of the International Conference on Population and Development*, Cairo 1994, New York 1995, par. 7.2—7.3.

możliwość wyrażenia swojej opinii. Niektóre z argumentów powszechnie używanych w debacie na temat aborcji mają charakter protekcyjny, gardzący i wykazują absolutny brak zrozumienia dla kobiety, która staje przed decyzją o przerwaniu ciąży. Kobiety, które chcą dokonać aborcji, postrzegane są jako nieodpowiedzialne, samolubne i rozwiązłe. W takich okolicznościach przeprowadzenie konstruktywnej debaty okazuje się niemożliwe, bowiem większość argumentów uderza w kobiety, obwiniając je, co w konsekwencji prowadzi do jeszcze większego naznaczenia społecznego — a przecież kobiety potrzebują społecznego wsparcia.

Przyczyn dokonywania aborcji może być wiele, na przykład kiedy ciąża jest wynikiem gwałtu albo gdy bezpośrednio zagraża życiu kobiety. Kwestie społeczno-ekonomiczne, takie jak status kobiety, dostęp do edukacji, poziom dochodów, mogą zasadniczo wpływać na możliwość posiadania i wychowania dziecka. Czynniki społeczne, które promują równość płci, takie jak wsparcie ekonomiczne rodziców, rozwój żłobków i przedszkoli oraz urlopy macierzyńskie i ojcowskie, wydają się znacznie bardziej skutecznym rozwiązaniem, zarówno dla matki, jak i dla jej nienarodzonego dziecka, a przy tym wiążą się z większym zakresem wolności i tolerancji wobec jednostki. W tej debacie nie można pominąć tych kobiet, które nie chcą być nigdy matkami — w tej kwestii wątpliwe jest, czy rząd ma prawo zmusić kogokolwiek, by został rodzicem. Jeśli żaden środek antykoncepcyjny nie daje pełnej ochrony przed nieplanowaną ciążą, zmuszenie kobiety do wzięcia pełnej odpowiedzialności byłoby niesprawiedliwe, szczególnie w sytuacji, w której na mężczyznach nie spoczywa odpowiedzialność moralna. Paradoksalnie statystyki prowadzone przez WHO pokazują, że w krajach Europy Wschodniej, w których aborcja jest legalna, liczba dokonywanych zabiegów jest najniższa na świecie. Z tej per-

spektywy wydaje się, że zaostrzone prawo antyaborcyjne oraz negatywna presja społeczna nie minimalizuje zjawiska niechcianych ciąż, ale sprawia, że kobiety (których pozycja społeczna i tak nie jest godna pozazdroszczenia) są zmuszone do szukania ryzykownych rozwiązań. Przykładowo, według WHO w samym 2008 roku zostało przeprowadzonych około 21,6 milionów nielegalnych aborcji, z czego 13% zakończyło się śmiercią kobiet.

Uwzględniając rozwój medycyny i interesy różnych grup, w niektórych obszarach osiągnięto pewne kompromisy. Warto przywołać *Przepis trymestralny*, będący kompromisem między prawami kobiet a interesem publicznym, który został ustanowiony przez Sąd Najwyższy w Stanach Zjednoczonych w sprawie aborcji Roe kontra Wade. Przepis ten wskazuje, że aborcja nie powinna być postrzegana w kategoriach prawa absolutnego, bowiem państwo powinno być zainteresowane „ochroną zdrowia ciężarnej kobiety” oraz „potencjalnego życia”². Natomiast w opinii Sądu państwo nie powinno ograniczać wyboru kobiety w pierwszym trymestrze trwania ciąży. Z kolei w drugim trymestrze ciąży rola państwa w zakresie ochrony zdrowia kobiety staje się znacząca i jest uzasadniona względami zdrowotnymi. Natomiast w okresie trzeciego trymestru, kiedy płód uznawany jest za żywy samodzielny organizm, a nie tylko część ciała kobiety, prawo może zakazać aborcji w imię ochrony potencjalnego życia, chyba że życie lub zdrowie kobiety jest zagrożone.

Wyżej przywołane argumenty prawne okazują się dalece pragmatyczne i — logicznie rzecz ujmując, a także odwołując się do statystyk — prawie wszystkie aborcje dokonywane są w pierwszym trymestrze ciąży. Z tej perspektywy nie wydaje się oburzające

2 Jane Roe et al. v. Henry Wade, District Attorney of Dallas County, 140 U.S. 13.

stwierdzenie, iż w pierwszym trymestrze ciąży płód nie jest postrzegany jako nowe życie, lecz jako część ciała matki, kiedy to fizycznie powiązany jest z jej macicą oraz zupełnie zależny od niej i jej zdrowia. Oczywiście na tym etapie płód przyjmuje formę życia ludzkiego, jest jednak potencjalnym życiem, dlatego też sformułowanie „zakończenie potencjalnego” życia nie jest tożsame z zabiciem. Przykładowo używanie zapłodnionych komórek jajowych przy zabiegach *in vitro* nie jest postrzegane jako ludobójstwo, podczas gdy przy konserwatywnym podejściu usunięcie z ciała kobiety zapłodnionych komórek jajowych powinno także być kwestionowane. Ciekawą perspektywą, którą warto tutaj przywołać, jest kwestia, czy płód ma prawo, niczym intruz, wykorzystać ciało kobiety, bez jej zgody. Filozofka Judith Jarvis Thomson dla zilustrowania tego argumentu posługuje się następującym przykładem: wyobraź sobie, że budzisz się w szpitalnym łóżku i odkrywasz, że w wyniku operacji chirurgicznej zostałeś podłączony do światowej sławy skrzypka. Okazało się bowiem, że nerki skrzypka odmówiły mu posłuszeństwa, a ty jesteś jedyną osobą na świecie wykazującą idealną zgodność tkankową. Dzięki operacji krew skrzypka może być oczyszczana za pomocą twoich nerek. Jeśli skrzypek zostanie odłączony przed upływem dziewięciu miesięcy, umrze. W rozumieniu Thomson odłączenie skrzypka nie oznacza pogwałcenia jego prawa do życia, lecz ograniczenie możliwości używania twojego ciała — do czego nie miał on prawa. Odwołując się do terminologii aborcyjnej, kobieta nie łamie obowiązków, kończąc ciążę, bowiem donoszenie ciąży nie jest jej obowiązkiem.

Jednym z głównych problemów jest pytanie, w którym momencie zaczyna się życie. Nie istnieje ani europejska, ani uniwersalna, ani prawna, ani naukowa zgoda w tej kwestii. Nie można też

wskazać żadnego dokładnego momentu w rozwoju płodu od embrionu do fikającego dziecka, nie można wskazać, kiedy staje się człowiekiem, a co za tym idzie — kiedy pojawiają się jego prawa i obowiązki. Brak tej definicji nie oznacza końca dyskusji na temat początków życia. Jedni utrzymują, że zaczyna się ono w momencie zapłodnienia (lub nawet wcześniej), inni mówią o momencie narodzin, a jeszcze inni, iż gdzieś w czasie ciąży. Niezależnie od tego, którą perspektywę przyjmujemy, pozostaje ona jedynie w sferze rozważań filozoficznych, religijnych i etycznych, a nie naukowych. Stąd też nie dochodzimy do istoty sprawy, dzieląc omawianą kwestię na kategorie bycia po którejkolwiek ze stron, myśląc „jesteś z nami lub przeciwko nam”. Kwestia życia nie jest czarno-biała. Podczas gdy każdy ma prawo do formułowania swoich opinii zgodnie z własnymi wewnętrznymi przekonaniem, powinno zachować się ostrożność przy ich artykułowaniu, aby nie urosły do rangi obowiązującej i niepodważalnej prawdy ani też nie stanowiły przesłanek do tworzenia prawa, szczególnie jeśli jego naruszenie będzie penalizowane. Mówiąc inaczej, takie stanowisko byłoby trudne do obrony w imię liberalizmu.

tłum. Daria Hejwosz

Anna Abrahamsson — studentka prawa i stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Åbo Akademi w Finlandii, członkini Zarządu Svensk Ungdom, organizacji młodzieżowej Szwedzkiej Partii Ludowej w Finlandii.

EDUKACJA

SZKOLNICTWO WYŻSZE — DYLEMATY I WYZWANIA

System szkolnictwa wyższego, rosnąca liczba szkół wyższych i coraz wyższy poziom wskaźnika skolaryzacji są od lat powodem do dumy kolejnych rządów i partii politycznych sprawujących władzę w Polsce. Rzeczywiście udział osób z wyższym wykształceniem w ogóle społeczeństwa wzrósł w ciągu ostatnich niecałych 20 lat o prawie 100% (do około 17—18%) liczba studentów oscyluje od lat wokół dwóch milionów osób rocznie. W najbliższych latach będzie spadać, ale jest to związane z procesami demograficznymi, a nie z zasadniczymi zmianami w systemie szkolnictwa wyższego. Oznacza to, że prawie co dziesiąty studiujący w Europie jest Polakiem, a studentów w Polsce jest tyle samo, co w dwa razy większych Niemczech. Nie jest to jednak równoznaczne z wysoką jakością wykształcenia. Pomimo wzrostu liczby studentów od lat na właściwie niezmiennym poziomie utrzymuje się liczba pracowników nauki i nauczycieli akademickich. Wieloletowość i łączenie zatrudnienia w kilku szkołach wyższych stanowi podstawowe źródło utrzymania dla większości akademików. W międzynarodowych rankingach mierzących jakość naucza-

nia i prac badawczych uniwersytetów polskie uczelnie niezmiernie plasują się w okolicach 400. miejsca lub w ogóle nie są w nich uwzględniane. Sposób finansowania uczelni nie zachęca do rozwijania nauki, ale zwiększa presję podnoszenia liczby studentów na studiach zarówno stacjonarnych, jak i niestacjonarnych, bez względu na to, ilu specjalistów w danej dziedzinie jest rzeczywiście potrzebnych na rynku. Niewielu z ponad 35 000 doktorantów może sobie pozwolić na samodzielność naukową. Ich kariera jest uzależniona od dostępności miejsc pracy, obecnie zajmowanych przez profesorów, którzy rezygnują z pracy w bardzo późnym wieku, ponieważ nie mogą liczyć na godziwą emeryturę. Uzyskanie wyższego wykształcenia nie gwarantuje zatrudnienia. Tylko niektóre uczelnie monitorują losy swoich absolwentów, a liczba kierunków studiów, w przypadku których programy są kształtowane indywidualnie lub dostosowywane do potrzeb rynku pracy, nadal nie jest wystarczająca. Wyniki BAEL pokazują, że prawie 30% absolwentów w pierwszym roku po zakończeniu studiów pozostaje bez pracy. Problemy pojawiające się w życiu człowieka w wieku około 25 lat — utrudnione zdobycie pierwszej pracy, ogromny koszt założenia rodziny, brak możliwości uzyskania samodzielności finansowej i mieszkaniowej — stają się przedmiotem dociekań socjologów i psychologów, którzy coraz częściej mówią o „kryzysie ćwierćwiecza” dotyczącym właśnie ludzi młodych.

Rola systemu szkolnictwa wyższego i uczelni jako miejsca tworzenia klasy kreatywnej, o której pisał Richard Florida, nacisk na rozwój gospodarki innowacyjnej i społeczeństwa cyfrowego w agendzie „EU 2020”, a także rekomendacje zawarte w opublikowanym w 2008 roku *Raporcie o kapitale intelektualnym Polski* — to wszystko powoduje, że jedną z najważniejszych kwestii związanych z przyszłością kraju jest kondycja systemu edukacji, w tym właśnie

edukacji wyższej. Pytanie o to, jaka będzie edukacja wyższa, nie ma odcienia liberalnego, konserwatywnego czy socjalnego, lecz odnosi się do konkurencyjności Polski w przyszłości, gdy koszty pracy będą nad Wisłą takie jak w innych krajach europejskich, a firmy zaczną lokować swoje inwestycje w Afryce i na Dalekim Wschodzie. Model i jakość edukacji wyższej to jedno z kluczowych wyzwań stojących przed Polską w najbliższych latach. Należy rozstrzygnąć dylemat między inwestowaniem i unowocześnianiem systemu szkolnictwa wyższego a pozostawieniem tego systemu bez zasadniczych zmian, w stanie, który siłą inercji będzie mógł trwać jeszcze kolejne lata.

Myśląc jednak o rozwoju szkolnictwa wyższego, należy w pierwszej kolejności znaleźć odpowiedź na pytanie o sposób zapewnienia wysokiej jakości kształcenia. Składać się na to powinny działania podejmowane zarówno w ramach samego systemu szkolnictwa wyższego, jak i na innych etapach edukacji. System edukacyjny stanowi bowiem spójną całość i nie można rozpatrywać szkolnictwa wyższego w oderwaniu od pozostałych elementów.

System edukacji powinien odpowiadać na potrzebę stałego podnoszenia kompetencji ludzi, dając im możliwość działania innowacyjnego. Warunkiem pierwszym jest poprawa dostępności edukacji i opieki nad najmłodszymi na poziomie przedszkolnym, w szczególności na terenach wiejskich. Warunkiem drugim jest podjęcie wysiłków na rzecz zmiany w systemie kształcenia nauczycieli w taki sposób, by dostosować ich wiedzę i kwalifikacje do nowego modelu edukacji, służącego kształceniu zdolności do zdobywania wiedzy i dalszego uczenia się. Na poziomie szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum system edukacyjny w Polsce powinien łączyć w sobie funkcje egalitarne i elitarne, zapewniając z jednej strony dostęp do podstawowej wiedzy niezbędnej w nowoczesnym społeczeństwie, a z drugiej tworząc warunki iden-

tyfikacji i rozwoju talentów. Uzupełnieniem powinno być kształcenie dorosłych w dużo większej skali, niż ma to miejsce obecnie. Reforma systemu powiedzie się, jeżeli Polska będzie umiała wykorzystać nowoczesne technologie tak, by stały się one podstawowym narzędziem edukacji, nie tylko na zajęciach z informatyki.

Powyższy program stanowi uzupełnienie działań podejmowanych w obszarze szkolnictwa wyższego. Pierwszy etap to promowanie rywalizacji między uczelniami w dostępie do środków poprzez prawidłową weryfikację jakości oferty poszczególnych szkół wyższych. Uczelnie powinny ponadto wprowadzić monitoring sytuacji absolwentów na rynku pracy oraz stworzyć ramy kwalifikacji, określające nie zakres wiedzy absolwentów, ale ich poziom kompetencji po ukończeniu określonych studiów. Warunkiem powodzenia jest wiarygodny mechanizm oceny w zakresie nauki i dydaktyki. Kluczowe są także: zmiana sposobu zarządzania uczelniami poprzez zróżnicowanie oferty dydaktycznej oraz założenie szkół zawodowych gwarantujących wysokiej jakości kształcenie, na przykład pedagogiczne, oraz szkół wyższych badawczych, centrów doskonałości naukowej, które będą w stanie wysoko plasować się w światowych rankingach. Zasady zarządzania uczelniami muszą być powiązane z nowym systemem awansu zawodowego i finansowego, a także wprowadzeniem szerokich, interdyscyplinarnych programów nauczania. Kształcenie na poziomie wyższym musi zostać uzupełnione o współpracę z sektorem gospodarki w dwóch wymiarach — dopasowania oferty uczelni do rynku pracy (zwiększenie liczby studentów i doktorantów na studiach przyrodniczych i inżynierskich) oraz powiązania badań z przedsiębiorstwami — poprzez system staży, współpatentowania, wdrożeń. Kolejne wyzwania dla szkół wyższych to uczestniczenie w wymianie międzynarodowej studentów i badaczy oraz

wspieranie mobilności tych grup. Zmniejszenie liczby kandydatów na studia spowoduje, że po 2020 roku trzeba będzie połączyć szkoły wyższe, a niektóre zlikwidować.

Dyskutując o wyzwaniach stojących przed szkolnictwem wyższym w Polsce nie sposób pominąć kwestii jego finansowania. Obecny system doprowadził do wielu patologii — przede wszystkim sprzyja pojawianiu się studiów niestacjonarnych o niskiej jakości. Jest także niesprawiedliwy społecznie — ponoszenie kosztów kształcenia na poziomie wyższym przez rodziny o niższym kapitale kulturowym nie służy wyrównywaniu ich szans. Konieczne jest stworzenie nowego systemu finansowania szkolnictwa wyższego, który z jednej strony będzie wiązał poziom finansowania danego rodzaju studiów ze środkami publicznymi z ich jakością oraz potrzebami rynku pracy, a z drugiej strony — obciążał studentów i ich rodziny kosztami studiów w sposób sprawiedliwy. Jaki to mechanizm? Najprościej odpowiedzieć — wprowadzenie odpłatności za studia. Wydaje się jednak, że to rozwiązanie zastępcze. Obecnie nie ma dla niego ekonomicznego uzasadnienia — prognozy Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego przewidują wzrost nakładów na studia wyższe o 20% *per capita*, z około 5,5 do 6,5 tys. zł rocznie. Co więcej, wprowadzenie systemu kredytów lub bonów na edukację musi zostać poprzedzone stworzeniem rozbudowanego programu stypendiów naukowych i socjalnych, które w tej chwili są ograniczone. Podjęcie decyzji o współfinansowaniu studiów ze źródeł prywatnych musi także łączyć się z obowiązkiem wcześniejszej spłaty zaciągniętych kredytów. Niewątpliwie ważne jest jednak, by środki finansowe „szły” za studentem, a ich wysokość była uzależniona od jakości oferty edukacyjnej danej uczelni.

Nie ma jednej skutecznej metody poprawy jakości kształcenia studentów w Polsce. Niezbędne jest podjęcie szeregu działań w sa-

mym szkolnictwie wyższym i ich konsekwentna realizacja, połączona z reformami w innych obszarach systemu edukacji. Tylko kompleksowe podejście da młodym Polakom szansę uczestniczenia w zglobalizowanym, wolnorynkowym społeczeństwie opartym na wymianie zasobów, wiedzy i usług.

Jakub Wojnarowski — socjolog i politolog, dyrektor ds. działalności programowej Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, członek Zespołu Doradców Strategicznych Premiera.

LIBERALNE KONCEPCJE W EDUKACJI. KTO POWINIEN PŁACIĆ ZA EDUKACJĘ WYŻSZĄ?

We współczesnej debacie nad kondycją szkolnictwa wyższego ścierają się dwa stanowiska w sprawie sposobu jej finansowania. Zwolennicy pierwszego podejścia opowiadają się za całkowicie bezpłatną edukacją, utrzymując, że dzięki temu wszyscy będą mieli równe szanse, by ukończyć szkołę wyższą. Zwolennicy drugiego podejścia twierdzą, że szkolnictwo wyższe powinno być dostępne dla wszystkich utalentowanych osób, a jednocześnie odpłatne. Myliłby się jednak ten, kto uważa, że zwolennicy drugiego podejścia postulują wprowadzenie stawek rynkowych bez jakiegokolwiek pomocy ze strony innych instytucji. Kluczowym argumentem w tej debacie jest niewydolność budżetu państwa jako jedynego płatnika na edukację wyższą. Po pierwsze od wielu lat mamy do czynienia z umasowieniem szkolnictwa wyższego, po drugie koszty badań naukowych są coraz wyższe, a po trzecie rozwój nowoczesnych technologii generuje dodatkowe nakłady.

Mniej państwa i biurokracji w edukacji, czyli poglądy liberalne w sprawie finansowania edukacji

Współczesne koncepcje liberalne zakładają minimalną rolę państwa w kształceniu obywateli. W tym ujęciu państwo powinno zabezpieczyć jedynie możliwość edukacji, nie ingerując w programy i sposoby nauczania. Jednak dopóki państwo ma monopol na edukację (dzięki finansowaniu jej), może też w nią ingerować. Powszechnie wiadomo, że bezpłatna edukacja to fikcja. Mimo to kiedy zaczyna się dyskusja na temat wprowadzenia odpłatności, podnoszą się głosy, że płatne studia pogłębią nierówności w wykształceniu. Z edukacją jest jak z kupowaniem butów przed długą podróżą. Mając w perspektywie długą wyprawę, jakie buty najlepiej wybrać? Tańsze, które mogą być dla nas nieodpowiednie i których jakość pozostawia wiele do życzenia? Czy droższe, lepszej marki, wygodne, odporne na wszelkie warunki pogodowe — nie do zdercia? W naszej rzeczywistości edukacyjnej wybieramy się w podróż w tanich butach, które wszyscy otrzymujemy od państwa, często w takim samym rozmiarze (bo nie ma pieniędzy na różnorodność), które w czasie naszej wędrówki bardzo szybko się rozpadają. I wówczas albo idziemy do szewca (korepetycje), oczywiście jeśli nas na to stać, albo rezygnujemy z dalszej wędrówki. Spróbujmy więc zrekonstruować zachodnioeuropejską debatę dotyczącą finansowania edukacji i ingerencji państwa.

Milton Friedman w dziele *The role of government in education* posłużył się dość ciekawym przykładem. Według niego każdemu człowiekowi powinno się dostarczyć niezbędne minimum edukacji i powinno to leżeć w gestii rodziców, a nie rządu. Od właścicieli domów czy samochodów wymaga się zachowania środków ostrożności, aby nie zagrażały bezpieczeństwu innych. Problem pojawia się wówczas, gdy nie jesteśmy w stanie zapłacić za

te środki bezpieczeństwa — dom czy samochód można sprzedać, natomiast nie wchodzi w grę odseparowanie dziecka od rodziców, których nie stać na jego edukację. Zasadne więc wydaje się utrzymywanie szkolnictwa publicznego. Wciąż pozostaje jednak pytanie, w jakim zakresie edukacja powinna być finansowana przez państwo. Friedman zauważa, że oczywiście państwo może finansować edukację na najniższym poziomie, na przykład poprzez system voucherów¹ — na każde dziecko w rodzinie przypadałby voucher, który mógłby zostać zrealizowany w każdej z „uznanych” placówek edukacyjnych. W tej sytuacji rola rządu ograniczyłaby się jedynie do zapewnienia minimalnych standardów w programach nauczania. Friedman podkreśla, że mogłoby to spowodować zaostrzenie się różnic klasowych. Z drugiej strony odnotowuje, że właściwie każda szkoła skupia dzieci o podobnym pochodzeniu społecznym (potwierdzają to badania S. Bowlesa i H. Ginitsa). Wprowadzenie większej możliwości wyboru bez udziału sektora publicznego zdaniem ekonomisty przyczyni się do ograniczenia zjawiska stratyfikacji społecznej. Friedman konkluduje: „państwo mogłoby polepszyć działanie »niewidocznej ręki« bez dotowania »martwej ręki« biurokracji”². Niezależnie od kraju, w którym żyjemy, i istniejącego systemu edukacyjnego najważniejszy okazuje się wolny wybór — zarówno przedmiotu kształcenia, jak i metod nauczania. Jedyne problem to sposób finansowania. Rozwiązaniem mogą być wspomniane vouchery, które, jak tłumaczył E.G. West na łamach „World Bank Research Observer” w 1997 roku, zwiększają możliwości wyboru rodzicom, promują konkurencję między

1 W Polsce funkcjonują pod nazwą bonów oświatowych.

2 Milton Friedman, *The Role of Government in Education*, [w:] tegoż, *Capitalism and Freedom*, Chicago 1962. Tekst dostępny tutaj: <http://www.edchoice.org/The-Friedmans/The-Friedmans-on-School-Choice/The-Role-of-Government-in-Education.aspx>.

szkołami i poszerzają dostęp do prywatnych szkół dla rodzin o niskim dochodzie. Przeciwnicy tego systemu uważają, że doprowadzi on do zniszczenia publicznego szkolnictwa i będzie sprzyjał segregacji. Warto podkreślić, że system voucherów zdał egzamin w wielu państwach, gwarantując, paradoksalnie, równe możliwości — i dla bogatych, i dla biednych. Jak podaje E.G. West, zwolennicy voucherów uważają, że najbardziej na tym systemie zyskają właśnie biedniejsi: „może on w niewielkim stopniu poprawić jakość szkolnictwa publicznego dla bogatych, umiarkowanie dla klasy średniej, natomiast dla biednych — ogromnie”³.

Możemy zatem postawić kolejne pytania: „Czy państwo jest w stanie dostarczać edukację na wysokim poziomie? Czy może poradzić sobie ze wszystkimi problemami związanymi z finansowaniem oświaty?”. Brytyjski publicysta J. Bartholomew twierdzi, że tak. Najpierw państwo musi jednak zrobić kilka innych rzeczy. Po pierwsze pozbawić pracy setki tysięcy osób zatrudnianych w administracji, dzięki czemu szkoły staną się na tyle autonomiczne, że będą mogły karać lub wyrzucać uczniów, a po drugie — zapewnić możliwość wyboru rodzicom, przez co niektóre szkoły będą musiały zostać zamknięte. J. Bartholomew w swojej publikacji *The Welfare State We're In* twierdzi, że „prosić państwo, by nie marnowało pieniędzy na biurokrację, to tak jak poprosić zebra, by zrzuciła paski”⁴.

J. Bartholomew sprawdził ranking szkół średnich w Wielkiej Brytanii. Okazało się, że w pierwszej dziesiątce nie było ani jednej publicznej szkoły, w pierwszej dwudziestce także. W rankingu opublikowanym przez BBC News można było znaleźć jedynie

3 *Government Failure: E.G. West on Education*, red. James Tooley, James Stanefield, London 2003.

4 James Bartholomew, *The Welfare State We're In*, London 2006.

prywatne szkoły. Pierwsza szkoła publiczna pojawia się na miejscu 35. — Queen Elizabeth's School in Barten w północnym Londynie. Wśród 100 szkół przedstawionych w rankingu 12 to szkoły państwowe. Wprowadzenie publicznego szkolnictwa w Wielkiej Brytanii miało zagwarantować dobrą edukację dla wszystkich. Stało się jednak inaczej — obniżyły się standardy, analfabetyzm rozszerzył się (po 11 latach obowiązkowej nauki wiele osób nie potrafi czytać), a biedne rodziny posyłają swoje dzieci do najgorszych szkół. W tych najgorszych szkołach zwiększyła się alienacja uczniów, a postawy antyspołeczne pchają dzieci na drogę przestępczą. Równość szans, która leży u podstaw szkolnictwa publicznego, okazała się iluzją.

W innych państwach prywatne szkoły często są tylko dla uprzywilejowanych, a nie dla biednych. Jednak okazuje się, że w slumsach także istnieją szkoły prywatne — są to przeważnie zrujnowane domy mieszkalne przystosowane do potrzeb nauczania, ewentualnie nauka odbywa się na otwartym powietrzu. Wyniki badań przeprowadzonych przez J. Tooleya w Hyderabad w Indiach⁵ wyglądają następująco: spośród 918 szkół (brane były pod uwagę tylko te znajdujące się w slumsach) 35% to szkoły państwowe (rządowe), 23% — szkoły prywatne uznane przez rząd, a 37% — szkoły nieuznane przez rząd. Szkoły te działają na czarnym rynku edukacyjnym, bez wsparcia finansowego i prawnego ze strony państwa. Prywatne nieuznane szkoły posiadają przeważnie ośmiu nauczycieli na 170 uczniów, natomiast szkoły publiczne są większe i posiadają przeciętnie 18 nauczycieli na 490 uczniów. W „nieoficjalnej” prywatnej szkole płaci się 1,51 dolara za miesiąc, podczas gdy w uznanej szkole 2,12 dolara. Przeciętny dochód na jednego członka rodziny wśród badanych osób uczęszczających do szkół

⁵ Więcej na ten temat w: James Tooley, *Private School for the poor*, „Education Next”, Fall 2005, s. 24 — 25.

nieuznanych wynosi około 23 dolarów na miesiąc. Minimalne wynagrodzenie to 46 dolarów, zatem osoby uczęszczające do tych szkół były naprawdę biedne. Prywatne nieuznane szkoły oferują najbiedniejszym dzieciom stypendia lub dotują naukę — 7% dzieci nie płaci wcale, a 11% ma zredukowane opłaty. W konsekwencji biedni wspomagają najbiedniejszych. Podobne wyniki uzyskano w innych państwach. Drugi mit, który udało się obalić J. Tooleycowi, brzmiał: „prywatna edukacja dla biednych jest niskiej jakości”⁶. Jeśli szkoły publiczne w biednych obszarach zawiodły, może warto wprowadzić inicjatywy prywatne wspierane przez rząd — podsumowuje swoje badania J. Tooley.

A co z sektorem szkolnictwa wyższego? Odpowiedź zwolenników koncepcji liberalnych jest podobna — wolność wyboru i wprowadzenie konkurencji. Każda osoba, która pracuje, niezależnie od swojego wykształcenia płaci podatki. Dzieci wszystkich tych osób uczęszczają do szkół, które są opłacane z ich podatków. Oczywiście korzystają z tego przywileju również dzieci osób niepłacących podatków, według zasady solidarności społecznej. Nie wszyscy płacący podatki mają wyższe wykształcenie, a mimo to są zmuszani do płacenia za kształcenie studentów. Nikt ich nie pyta o to, czy chcą, aby ich pieniądze szły na wspieranie żaków. Rzecz jasna te środki finansowe nie mogą zaspokoić wszystkich potrzeb wynikających z kształcenia na poziomie wyższym. Dlatego obniża się jakość kształcenia (mniej zaangażowanej kadry, więcej studentów). Z drugiej strony istnieje też niebezpieczeństwo, że osoba, na którą w myśl solidarności społecznej łoży się środki finansowe, nie skończy studiów, bo na przykład w pewnym momencie życia zechce hodować owce na Podhalu. Wówczas mamy do czynienia

6 Ibidem.

z marnowaniem środków finansowych podatników, nad którymi nikt nie ma w zasadzie kontroli, bo przecież nie ma przymusu (na szczęście) kończenia studiów wyższych. Jeśli dana osoba będzie musiała zapłacić sama za swoją edukację, stanie się odpowiedzialna za swoje środki finansowe i będzie mogła robić, co chce. Podatnicy nie będą ponosić kosztów jej decyzji.

Postawię kolejne pytanie: czy sprawiedliwe jest zatem, że większość społeczeństwa niemająca wykształcenia wyższego utrzymuje mniejszość, która dąży do uzyskania tego wykształcenia? Dlaczego robotnik z huty szkła ma płacić na kształcenie prawników w Polsce? Zakłada się, że później ten prawnik będzie spłacał swój „dług” w ramach pracy zawodowej, płacąc podatki i składki, a tym samym „dołoży” się do emerytury hutnika. Jednak nikt nie powstrzyma prawnika przed wyjazdem do Chile, gdzie będzie on bronił praw tamtejszych hutników. W ten sposób wygrywa prawnik — wykształcony między innymi za pieniądze hutnika, który nic w zamian nie otrzyma. A nawet jeśli ów prawnik pozostanie w kraju, to dzięki hutnikowi (dla ścisłości wielu hutnikom) będzie zarabiał znacznie więcej.

Jeśli jednak ktoś łudzi się, że wprowadzenie odpłatności za studia podniesie jakość kształcenia, to jest w błędzie. Okazuje się bowiem, że pieniądze pochodzące od studentów tylko w niewielkim stopniu pokrywają potrzeby uczelni. W takim razie po co je wprowadzać? Po pierwsze zwiększa to odpowiedzialność. Student współfinansujący swoją edukację jest za nią odpowiedzialny. Zmniejsza się odsetek osób porzucających studia, a także skracają się czasy studiowania. Po drugie od ponad 30 lat w krajach zachodnich zauważamy ekspansję szkolnictwa wyższego (w Polsce po roku 1989), a zatem studentów jest coraz więcej. Po trzecie, co należy podkreślić, rozwój nowoczesnych technologii wymaga coraz większych nakładów finansowych. Finansowanie oświaty jedynie

z budżetu państwa staje się niewystarczające. Po czwarte istotna jest kwestia równości. Tak, równości. Pozwolę sobie przytoczyć przykład polski. Więcej osób obecnie studiuje na prywatnych uczelniach oraz w trybie zaocznym. Ci, którzy studiują w trybie zaocznym, bardzo często mają gorsze warunki: zajęcia odbywają się w dużych grupach dydaktycznych, obserwuje się niewystarczający poziom nauki języków obcych lub też ich brak. Powróćmy zatem do kwestii sprawiedliwości i równości społecznej. Ci, którzy płacą z własnego portfela czesne, w większość przypadków płacą również podatki, a jeśli nie oni bezpośrednio, to ich rodzice. Postawię dość ryzykowną tezę, ale sądzę, że praktyka życia codziennego ją potwierdza: system publiczny w Polsce jest lepszy niż system prywatny (w większości przypadków). Gdyby system prywatny był elitarny, tak jak w Wielkiej Brytanii lub Stanach Zjednoczonych, wówczas moglibyśmy mówić o sprawiedliwości. Wybierasz lepszy system, za który płacisz. Ci, którzy w Polsce są w większości, płacą podwójnie: za swoją edukację i za edukację studentów dziennych. Płacenie za studia nie może i nie powinno wyglądać tak jak obecnie w przypadku studiów zaocznych i w szkół prywatnych. Nie mogą to być również ceny rynkowe — mowa raczej o współfinansowaniu kształcenia na poziomie wyższym. Konieczne jest wprowadzenie oferty nisko oprocentowanych kredytów oraz stypendiów finansowanych przez fundacje i osoby prywatne, które mogłyby skorzystać z ulgi podatkowej. Ważna jest również współpraca z sektorem biznesu i potencjalnymi pracodawcami, co jednak wymaga współpracy z administracją.

Należy jeszcze raz podkreślić, że pieniądze studentów nie zaspokoją wszystkich potrzeb szkolnictwa wyższego. Jeśli ograniczylibyśmy się do takiego finansowania, uczelnie musiałyby być nastawione jedynie na zysk. Spowodowałyby to przyjmowanie bardzo dużej

liczby studentów przy bardzo małej kadrze akademickiej — każdy, kto zostałby przyjęty do szkoły, z pewnością by ją ukończył. Byłaby to katastrofa. Poza tym z odpłatności za studia nie będą w stanie utrzymać się uczelnie, które kształcą w zakresie nauk ścisłych i technicznych wykorzystujących zaawansowane technologie. Proszę zwrócić uwagę, że nie istnieje zbyt wiele prywatnych uczelni, w których kształci się na poziomie magisterskim chemików, fizyków czy wreszcie lekarzy (nie istnieje w Polsce prywatna uczelnia medyczna). Uczelnie muszą szukać zatem innych źródeł finansowania.

Na ekspansji szkolnictwa wyższego zyskała jedynie klasa średnia, natomiast klasa niższa (zwana robotniczą) jest nadal niezbyt licznie reprezentowana w szkolnictwie wyższym. Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje, jest złożona i zasługuje na osobny artykuł. Badacze przedmiotu wskazują na związek między pochodzeniem społecznym, kapitałem kulturowym a wyborem edukacyjnym. Co więcej, obserwuje się, że dawna klasa robotnicza pod względem zarobków dorównuje klasie średniej (zjawisko to zostało nazwane zburzuzajnieniem klasy robotniczej). Zatem to nie kwestie finansowe decydują o tym, czy jednostka pójdzie na uniwersytet, czy nie. Ważniejszy jest kapitał kulturowy, który ulega reprodukcji. C. Patten w publikacji *Funding and Freedom: where we are going wrong* stwierdził, że nie ma żadnych dowodów na to, iż wprowadzenie odpłatności za studia wykluczy osoby z niższych warstw społecznych. Jeśli bowiem spojrzeć na udział dzieci z rodzin robotniczych i klasy średniej w szkolnictwie wyższym, to okaże się, że w ciągu ostatnich 50 lat proporcje się nie zmieniły.

Daria Hejwosz-Gromkowska — doktor nauk humanistycznych, adiunkt na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, członek Stowarzyszenia Projekt: Polska.

ZRÓWNOWAŻONY
ROZWÓJ

FRONT JEDNOŚCI NARODOWEJ

Polska to taki dziwny kraj, gdzie różnice między koalicją a opozycją przeważnie są niejasne dla obserwatora. Z jednej strony żyjemy w osobliwym jak na Europę układzie politycznym, gdzie prawica ściga się z prawicą, a różnice programowe nie wynikają z chęci realizacji długofalowych scenariuszy dla kraju, ale z potrzeby chwili i konieczności przeciwstawiania się pomysłom konkurencji. A i to zauważyć może jedynie cierpliwy obserwator, gdyż analitycy częściej porównują cechy charakteru liderów ugrupowań niż projekty reform. Z drugiej strony jest jednak coś, co łączy dwa zwalczające się obozy na polskiej scenie politycznej — niechęć do walki ze zmianami klimatu oraz do nowoczesnej gospodarki opartej na odnawialnych źródłach energii.

Stanowisko rządu RP jest fenomenem na skalę europejską. W przeciwieństwie do wielu państw Unii nie wzmacnia się u nas roli ministra środowiska, tak by wyposażyć go w narzędzia niezbędne do stymulowania zrównoważonego rozwoju. Przeciwnie, z ministerstwa środowiska tworzy się podresort przemysłu. Europejscy dyplomaci nie są w stanie zrozumieć postawy polskiego rządu, który blokuje każdą próbę zawarcia porozumienia w kwestii zmian

klimatu. Europa zarzuca Polsce podkopywanie jej pozycji jako lidera zielonych przemian, które miałyby być impulsem dla innych. Pół biedy, gdyby polski rząd przeciwstawiał się większości w imieniu większej grupy państw, jednak pod koniec negocjacji kolejnych porozumień Warszawa przeważnie zostaje sama na placu boju. Wetując, podważa swoją wiarygodność jako członka Wspólnoty.

Czy oznacza to, że opozycja jest bardziej świadoma zagrożeń i gotowa wziąć odpowiedzialność za przyszłość? „Weźmy, proszę państwa, sprawę dwutlenku węgla i pakietu klimatycznego. Co to jest? Ktoś, kto próbuje wmawiać, że to ma jakieś znaczenie dla klimatu, jest po prostu śmiechu warty. Po pierwsze, nie ma żadnych dowodów, że w ogóle wszystko razem ma jakiegokolwiek znaczenie, a jest bardzo wiele dowodów na to, że nie ma” — tyle w tym temacie prezes Kaczyński. Znany z zamiłowania do nowości i technologii polityk jest przekonany, że cała teoria zmian klimatu jest wymyślona po to, by Polskę ekonomicznie zniszczyć i zmusić nasz kraj do zakupu drogich rozwiązań z zagranicy. Słowa te padły podczas spotkania Kaczyńskiego z zarządem śląsko-dąbrowskiej „Solidarności”. Warto tu wspomnieć o kolejnym narodowym fenomenie. W Europie związki zawodowe zazwyczaj popierają rządy w walce o pakiet klimatyczny oraz wprowadzanie zielonych rozwiązań w gospodarce, które są szansą na wzrost zatrudnienia. Polskie związki nie rozumieją światowych zależności i bronią jedynie własnych interesów ekonomicznych (interesów ich szefów?). Znamienna jest także postawa byłego PiS-owskiego ministra środowiska, Jana Szyszki, który pytał podczas debaty, a w zasadzie awantury przed głosowaniem nad pakietem klimatycznym, czy jest on symbolem indolencji rządu, czy już zdradą stanu.

Jeszcze „większe” zrozumienie dla zagadnienia zmian klimatu można znaleźć w Solidarnej Polsce. Zbigniew Ziobro zapowiedział

zbiórkę podpisów pod europejską inicjatywą obywatelską w sprawie zawieszenia pakietu klimatycznego. Ziobro uważa, że pakiet zagraża polskiej gospodarce i polskim obywatelom. Twierdzi, że doprowadzi do 80–100% wzrostu cen energii oraz straty rządu 1% PKB.

Co na to lewica, która w Europie zdecydowanie popiera ambitne plany ograniczania emisji (choć warto podkreślić, że w wielu krajach Unii Europejskiej walka ze zmianami klimatu łączy wszystkie partie polityczne)? Stanowisko SLD jest zupełnie nieznane. Sojusz nigdy nie wypisywał kwestii zmiany klimatu na swoich sztandarach. Zgłoszona w Sejmie inicjatywa ziobrystów i PiS-u, wzywająca rząd do renegocjacji pakietu klimatycznego, nie spotkała się z natychmiastową negatywną reakcją SLD. Wydaje się, że obecne kierownictwo partii niezbyt pojmuje, o co walczą ich partnerzy z frakcji socjalistycznej w Parlamencie Europejskim. Stara gwardia nie zrozumiała jeszcze, że lewicowa solidarność w XXI wieku ma wymiar globalny, a walka o zrównoważony rozwój to standard w programach nowoczesnych socjaldemokracji.

Od dziwacznej inicjatywy odciął się natomiast Ruch Palikota. Zastanawia jednak fakt, że także to ugrupowanie, które chce być nowoczesną siłą liberalno-lewicową, a którego lider mówi, że spośród europejskich rodzin politycznych najbliższe jest mu do Zielonych, nie zabiera głosu w sprawach środowiska.

A przecież skutki zmian klimatu odczuwamy już dziś. Alarmują o nich nie tylko zagraniczne organizacje pozarządowe czy ośrodki badawcze, które budzą nieufność krajowych polityków. W tym miejscu odnotujmy na marginesie, że na arenie międzynarodowej chyba żaden rząd nie neguje naukowych podstaw teorii o antropogenicznych czynnikach zmian klimatu ani konieczności szybkiego działania, by pokonać ich skutki. Rządy nie chcą jednak wziąć na siebie odpowiedzialności, bo nie kalkuluje im się

to politycznie. W końcu po co płacić dziś, skoro można obarczyć przyszłe pokolenia?

Do grona ostrzegającego przed skutkami zmian klimatu dołączyła Państwowa Akademia Nauk oraz, do tej pory konserwatywny w tej materii, Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Naukowcy mówią o grożących nam falach upałów i ulew. Każą przyzwyczajać się do ekstremalnych zjawisk — susz, powodzi, tornad czy gradobii. Delta Wisły, ujście Odry i Żuławy mogą zostać zalane. Niewykluczone, że zabraknie wody pitnej.

Nie można zapomnieć, że w innych regionach globu zmiany klimatu mogą wywołać poważniejsze skutki — najbardziej tragiczne dotkną kraje najbiedniejsze. Niektóre z nich zostaną zalane, a ich mieszkańcy ruszą w poszukiwaniu nowych ojczyzn. Zabraknie jedzenia, pojawią się zapomniane już choroby (malaria)... Wszystko to będzie miało wpływ na całe wielomilionowe społeczeństwa, a w erze globalizacji każdy kraj Europy odczuje skutki burzliwych zmian na globalnym południu.

Ci, którzy postanowili policzyć straty już dziś, twierdzą, że zmiany klimatu przyczyniają się do śmierci prawie 400 tysięcy osób rocznie i kosztują globalną gospodarkę 1,2 biliarda dolarów, obniżając światowy wzrost gospodarczy o 1,6%. Raporty wskazują także, że zanieczyszczenia spowodowane spalaniem paliw kopalnych przyczyniają się do śmierci 4,5 miliona osób każdego roku. A będzie tylko gorzej. Naukowcy przewidują, że w 2030 roku zmiany klimatu będą odpowiedzialne za spadek wzrostu o 3,2% w skali świata, przy czym będzie to aż 11% w przypadku krajów najbiedniejszych. Liczby i przykłady można by mnożyć...

Walka ze zmianami klimatu jest kosztowna, ale to tylko mały ułamek wydatków, które przyjdzie nam wszystkim zapłacić, kiedy spełnią się czarne scenariusze. Wierzę, że coraz więcej Polaków

będzie się interesować środowiskiem naturalnym, zmianami klimatu i ich konsekwencjami. Rosnąć będzie grupa uznająca za oczywiste, że nie są to jakieś odległe problemy, które dotyczą tylko wysp Pacyfiku i Afryki, ale nas wszystkich. Solidarność musi mieć wymiar ogólnoświatowy. Wiedza, zrozumienie globalnych zależności czy powiązania z ruchami w innych częściach Europy spowodują, że w Polsce narodzi się aktywny front poparcia dla reform w duchu zrównoważonego rozwoju oraz walki z antropogenicznymi czynnikami zmian klimatu. Któraś z partii politycznych przełamie „węglowy” monolog i zagospodaruje ten elektorat. Jak pokazuje przykład duński, dbałość o środowisko da się wpisać w program wszystkich ugrupowań. Może w Polsce będzie to formacja liberalna, która zrozumie, że nie da się poszerzać sfery wolności bez przeciwstawienia się katastrofalnym skutkom zmian klimatu. Środowisko, w którym żyjemy, jest wartością nadrzędną i jeśli dziś je zrujnujemy, jutro przyjdzie nam się zmierzyć z wyzwaniem, które będą nas słono kosztować.

Miłosz Hodun — doktorant i wykładowca na wydziale prawa Uniwersytetu w Reykjavíku, sekretarz ds. zagranicznych Fundacji Projekt: Polska.

ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ TO DOBRY BIZNES

Zrównoważony rozwój do niedawna był ważnym tematem jedynie dla aktywistów ekologicznych. Dziś jest to olbrzymi rynek szacowany na 1700 miliardów euro w skali światowej, który przyrasta rocznie o 5%. Ochrona środowiska oznaczała kiedyś dodatkowe koszty dla firm, dziś General Electric zarabia 80 miliardów dolarów na zielonych rozwiązaniach, inwestując w nie 1,8 miliarda. Podsumowując, zrównoważony rozwój to wielki interes.

Globalne trendy już się nie odwrócą: surowce stają się coraz cenniejsze, a konsumenci oczekują „czystych” produktów. Już ponad 7 miliardów ludzi zamieszkuje naszą planetę, a każdego dnia przybywa dodatkowo 200 tys. Coraz więcej coraz bogatszych ludzi oznacza eksplozję konsumpcjonizmu. Produkcja żywności będzie musiała się podwoić, by zaspokoić potrzeby wszystkich. Podobnie rzecz się ma, jeśli chodzi o popyt na surowce.

Zyski firm wyparowują tak szybko, jak wzrastają ceny energii i środków produkcji. W tym roku Akzo Nobel [wielki holenderski koncern produkujący farby, produkty chemiczne i farmaceutyczne, właściciel fabryki Nobiles — przyp. red.] wydał na zakup

surowców o 800 milionów euro więcej niż w roku bieżącym. Unilever — nawet 2,5 miliarda euro.

Wzrost cen energii był wieloletnim trendem, do którego przedsiębiorstwa mogły się przyzwyczaić, ale decyzja Chin o wprowadzeniu zakazu eksportu rzadkich metali spadła na firmy jak grom z jasnego nieba. Stało się jasne, że nie tylko bilans energetyczny, ale i handel surowcami wpłynie na relacje międzypaństwowe. Wiele łatwych w eksploatacji złóż surowców się wyczerpuje, więc dalsze ich wydobywanie będzie bardzo energochłonne (czyli kosztowne). Wzrasta również zagrożenie zniszczenia środowiska naturalnego.

Świat zbliża się do granic wytrzymałości, jak przewidział w 1972 roku Klub Rzymski. Światowa gospodarka będzie musiała stać się zrównoważona, ponieważ innej możliwości po prostu nie ma.

Żyjemy w przededniu zielonej rewolucji przemysłowej. Podstawowe pytanie brzmi, czy zielonymi potęgami staną się kraje europejskie. Według raportu opublikowanego przez Boston Consulting Group nowi liderzy zielonych przemian to państwa rozwijających się gospodarek, takie jak Chiny czy Brazylia. Bruksela czuje wynikające z tego zagrożenie i stara się gonić liderów, jednak wiele krajów członkowskich oraz szefów korporacji popiera z całych sił utrzymanie modelu gospodarki opartej na kopalinach.

Przedsiębiorstwa, które podjęły ryzyko i zostały pionierami zielonych przemian, znalazły się już w nowej epoce. Wysokie ceny ropy i surowców spowodowały, że wszelkie alternatywy stają się atrakcyjne. Za dziesięć lat koszt produkcji energii elektrycznej z odnawialnych źródeł będzie tylko trochę wyższy od tej wytwarzanej z paliw kopalnych, takich jak węgiel czy gaz. Panele słoneczne już niebawem staną się korzystną inwestycją, nawet bez subsydiów rządowych. Historyczny przełom w produkcji samochodów na prąd jest na wyciągnięcie ręki.

Nie ma czasu na wahanie. Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: włączamy się w proces zmian czy mu się przeciwstawiamy? Odpowiedź jest tylko jedna: zielony plan ataku. Cała Europa musi zacząć sobie lepiej radzić z surowcami. Jak? Wskazałem konkretne rozwiązania jako sprawozdawca ds. efektywności surowcowej w Parlamencie Europejskim.

Przede wszystkim Europa potrzebuje traktatu dotyczącego kwestii śmieci. Nie tylko ludzie powinni przekraczać swobodnie granice w Europie, lecz także odpady. Odpady stanowią duży problem, ale są też bogatym źródłem surowców. Niestety jak na razie mamy do czynienia z gąszczem przepisów regulujących ich przewóz pomiędzy krajami. Przedsiębiorstwa muszą sobie radzić z różnorodnymi przepisami lokalnymi i zdobywać regionalne pozwolenia, co czyni transport odpadów bardzo trudnym i uniemożliwia powstanie w Europie centrów recyklingu. To wstyd, ponieważ można by się zająć odzyskiwaniem i przetwarzaniem materiałów, które wciąż lądują na przestarzałych składowiskach śmieci. Powtórne użycie materiałów jest rozwiązaniem niezbędnym, jeśli chcemy stać się geopolitycznie niezależni od Chin. Partia D66 chce wprowadzić zakaz zakładania wysypisk śmieci i spalania cennych surowców wtórnych, by zmusić wszystkich do recyklingu.

Jednocześnie wzywam wszystkie kraje członkowskie do wprowadzenia obniżonej stawki podatkowej na materiały z odzysku. Dziś surowce pierwotne są często tańsze ze względu na wielką skalę wydobycia. Obniżając podatki na materiały pochodzące z recyklingu, obniżyłoby się ich cenę i uczyniło bardziej konkurencyjnymi.

Także konstrukcja samych produktów konsumenckich jest istotna. Na przykład do produkcji telefonów komórkowych wykorzystuje się znaczną ilość metali rzadkich, takich jak złoto. Nawet jeśli uda się nam stworzyć bardziej efektywny system zbierania

zużytych aparatów, to odzyskiwanie metali z telefonów jest trudne. Dla przykładu iPhone — piękny produkt, ale nie można z niego wyjąć baterii. Komisja Europejska musi przyjąć nowe regulacje, między innymi unijne wytyczne dotyczące ekowzornictwa, by tylko te produkty, których recykling jest możliwy, mogły zostać dopuszczone do sprzedaży w Unii Europejskiej.

W końcu wzywam do redukcji dotacji, które przyczyniają się do pogorszenia stanu środowiska naturalnego. Niektóre dotacje, mimo wątpliwych rezultatów i o kosztach przewyższających korzyści, utrzymuje się ze względu na czyjeś interesy. Obecna trudna sytuacja budżetowa jest okazją, by ciąć te wydatki. Kraje członkowskie wydają, przykładowo, 54 miliardy euro na leasing samochodów. Drogich i zanieczyszczających środowisko. To przez te dotacje firmy nie inwestują w bardziej efektywne technologie, które byłyby tańsze.

Ceny powszechnie kupowanych produktów rosną w alarmującym tempie. Konsumenci widzą to nie tylko na stacjach benzynowych, ale i w supermarketach czy sklepach budowlanych. Tak jak zarządy wielkich spółek, politycy europejscy muszą się obudzić i zacząć dbać o zrównoważony wzrost. Nie wolno nam przegapić tej szansy na rozwój.

tlum. Stefanie Von Arx, Miłosz Hodun

Gerben-Jan Gerbrandy — holenderski deputowany do Parlamentu Europejskiego, wybrany z list socjalliberalnej partii D66, członek grupy Porozumienia Liberalistów i Demokratów dla Europy (ALDE).

INFORMACJE O WYDAWCY

PROJEKT: POLSKA

projekt:polska®

Projekt: Polska to środowisko gromadzące ludzi, którzy chcą uczestniczyć w życiu publicznym, przyczyniając się do budowy Polski otwartej, gotowej do podjęcia wyzwania szybkiej modernizacji.

Projekt: Polska to:

- Stowarzyszenie Projekt: Polska — demokratyczna, ogólnopolska (21 ośrodków) organizacja członkowska, otwarta dla każdego, ośrodek decyzyjny środowiska.
- Fundacja Projekt: Polska, która jest pierwszym w Polsce liberalnym, interdyscyplinarnym Think-Do Tankiem.

Projekt: Polska to platforma, która daje młodym ludziom szanse profesjonalnego, niepartyjnego, przygotowania do uczestnictwa w życiu publicznym. To również platforma, która pokoleniu profesjonalistów, którzy weszli w życie zawodowe po 1989 roku, da możliwość wykorzystywania doświadczeń w sprawach społecznych i przekazywania zdobytej wiedzy ludziom młodym. Projekt: Polska chce gromadzić apartyjnych ekspertów pracujących w administracji publicznej i szkolnictwie wyższym. Projekt: Polska chce gromadzić liderów organizacji pozarządowych

w taki sposób, aby głos sektora pozarządowego silniej przyczyniał się do zmian w kraju.

Misją Projektu: Polska jest organizowanie młodych ludzi oraz ekspertów wokół idei rozwiązań, które zmieniają Polskę w nowoczesne i otwarte państwo gotowe sprostać wyzwaniom szybkiej modernizacji.

ELF — EUROPEJSKIE FORUM LIBERALNE



Europejskie Forum Liberalne to europejska fundacja liberalna oraz think-tank, skupiająca czołowe ośrodki liberalne krajów członkowskich. Zajmuje się opracowywaniem koncepcji politycznych i poddawaniem ich pod publiczną debatę. Jej działalność jest finansowana ze środków Parlamentu Europejskiego.

Celem ELF-u jest propagowanie rozwiązań liberalnych oraz integracja organizacji członkowskich. ELF aktywnie wspiera integrację europejską oraz aktywne obywatelstwo na poziomie Unii, w szczególności pośród młodych. Ponadto ELF wspomaga proces demokratycznych przemian w krajach graniczących z Unią Europejską.

WWW.LIBERALFORUM.EU

PARTNERZY



Instytut NOVUM to słoweńska organizacja, działająca na polu edukacji i polityki, mająca siedzibę w Lublanie. Instytut dostarcza ekspertyz partiom politycznym i administracji rządowej, które mają wspomóc rządzących w utrwalaniu demokracji i dialogu społecznego. Celem Instytutu

NOVUM jest promocją praw człowieka, państwa prawa i zrównoważonego rozwoju.

WWW.INOVUM.SI

—



Otwarte Społeczeństwo i jego Przyjaciele (Atvira visvomenė ir jos drauga) to litewska organizacja pozarządowa powstała w 2005 roku, która skupia się na promowaniu liberalizmu i zacieśnianiu więzi pomiędzy sektorem społecznym a organami władzy. Otwarte Społeczeństwo chce być platformą, na której różne organizacje będą razem realizować projekty, by osiągnąć wspólne cele.

WWW.ATVIRAVISUOMENE.LT

—



SILBA to skrót od Support Initiative for Liberty and Democracy (Inicjatywa Wsparcia dla Wolności i Demokracji). SILBA to duńska organizacja pozarządowa powstała w 1994 roku. Jej głównym polem działań jest promocja demokracji, rządów prawa i praw człowieka w krajach Partnerstwa Wschodniego. W związku z tym SILBA organizuje warsztaty, konferencje, obozy letnie na Białorusi, Ukrainie, w Rosji, Mołdawii, Azerbejdżanie, Armenii i Gruzji. Ponadto SILBA regularnie wysyła obserwatorów na wybory w tych krajach.

SPIS TREŚCI

- 7 **miłosz hodun**
wstęp

STRACONE POKOLENIE

- 12 **tomasz chabinka**
śmieciowe pokolenie
- 18 **wojciech skrzypczak**
anatomia oburzenia
- 24 **alexander plahr**
(nie)zatrudnieni młodzi ludzie
- 27 **julian kirchnerr** rozmawia z **grahamem watsonem**
grozi nam polityczny przewrót
- 32 **piotr stolarczyk**
czas na reformy
- 37 **dimitris p. skalkos**
ochrona socjalna w liberalnym społeczeństwie

KOBIETA W SPOŁECZEŃSTWIE

- 44 **kamila łepkowska**
równouprawnienie na rynku pracy

- 52 **patrycja dołowy**
matka w społeczeństwie
- 61 **linda nordlund, ebba tornérhielm**
liberalny feminizm

NOWE MODELE RODZINY

- 66 **yga kostrzewa**
dlaczego legalizacja związków partnerskich
jest w polsce potrzebna?
- 72 **adam ostolski**
prawo do adopcji

KOŚCIÓŁ I RELIGIA

- 78 **jarosław kuisz, paweł marczewski**
polskie namiętności, czyli krótko o relacjach
państwo — kościół katolicki
- 82 **georgios sarigiannidis**
mur rozdziału

NOWOCZESNY PATRIOTYZM

- 90 **karolina wigura, szymon gutkowski**
patriotyzm współpracy, patriotyzm sporu
- 95 **piotr niemczyk**
tramwaj zwany patriotyzmem
- 99 **carlos vázquez padín**
liberalna definicja nacjonalizmu

NARKOTYKI

- 108 **kasja malinowska-sempruch, jan dąbkowski**
wolność to rozsądek
- 113 **przemysław kozłowski**
hard core poland

- 119 **antonio eloy**
zalegalizujmy je! — o alternatywie,
która definiuje państwo prawa
- 124 **joanna łopat**
świat bez sztuki
- 129 **anthony askew**
współczesny mecenat

K R Y Z Y S

- 134 **krzysztof iszkowski**
korekta po kryzysie
- 141 **aleksander łaszek**
liberalne recepty na kryzys
- 146 **håkan tribell**
kryzys demokracji
- 151 **michał żakowski**
kryzys. europa na zakręcie

I N V I T R O

- 162 **karolina wigura**
zasady racjonalnej debaty o *in vitro*
- 167 **jan hartman**
hipokryzja *in vitro*
- 174 **giulio ercolessi**
zarodek nie jest jednym z nas
- 179 **wojciech białożyt**
dryf rozwojowy czy zryw innowacyjny?
- 185 **paweł ciacek**
demografia a kwestia umowy społecznej

ROZWÓJ DLA PRZYSZŁYCH POKOLEŃ

- 194 **emil dyred**
równanie liberalne

WOLNOŚĆ ONLINE

- 200 **katarzyna szymielewicz**
internet — systemowy kryzys wolności
- 206 **mirosław filiciak**
piraci, pajęczarze i nieformalna ekonomia mediów

ABORCJA

- 214 **tomasz stefanicki**
liberalizm przeciw aborcji
- 221 **anna abrahamson**
wspieranie możliwości bez uwzględniania terażniejszości?
liberalne spojrzenie na debatę aborcyjną

EDUKACJA

- 230 **jakub wojnarowski**
szkolnictwo wyższe — dylematy i wyzwania
- 236 **daria hejwosz-gromkowska**
liberalne koncepcje w edukacji.
kto powinien płacić za edukację wyższą?

ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ

- 246 **miłosz hodun**
front jedności narodowej
- 251 **gerben-jan gerbrandy**
zrównoważony rozwój to dobry biznes
- 255 informacje o wydawcy

WOLNOŚĆ. ANTOLOGIA
pod redakcją Miłosza Hoduna
Warszawa 2012

© Copyright for the texts by the Authors and European Liberal Forum asbl., 2012

© Copyright for this edition by European Liberal Forum asbl., 2012

Wydanie I
Printed in Poland

ISBN 978-83-93611-01-0

Redakcja / Miłosz Hodun
Redakcja językowa / Mariusz Mikliński
Opracowanie redakcyjne i korekta / Anna Papiernik | tessera.org.pl
Projekt graficzny i typograficzny, skład i łamanie / Marcin Hernas | tessera.org.pl

Książkę złożono pismami *Calluna* Josa Buivengi
oraz *Gibson* Roda McDonalda, Patricka Griffina i Kevina Allana Kinga

Wydawca / Fundacja Projekt: Polska, ul. Andersa 29, 00-159 Warszawa

Druk / ?????

Wydano przez Europejskie Forum Liberalne przy wsparciu Fundacji Projekt: Polska. Sfinansowano ze środków Parlamentu Europejskiego. Parlament Europejski nie odpowiada za zawartość tej publikacji. Wyłącznie odpowiedzialność za poglądy wyrażone w niniejszej publikacji ponoszą autorzy tekstów w niej zawartych. Poglądy te nie muszą odzwierciedlać stanowiska European Liberal Forum.

